

OPORADNIK DLA ŻYWYCH I UMARŁYCH • EKOLUKSUS DLA WYBRANYCH • EKOPALIWA NA ŁĄCE

PRZE KROJ

EKODOMY PRZYSZŁOŚCI

>64

PILCH O MATCE
WSZYSTKICH
HAKÓW >74

VARGA KRZYWDZI
SWOICH
BOHATERÓW >60

BYĆ POLICJANTEM
I PRZEŻYC >22

NR 10 / 376 / 9 MARCA 2010

CENA 4,95 ZŁ

/ W TYM 7% VAT /



PRZEKROJ.PL

Neckermann

...to udany urlop!

Wybierz **KURS** na tanie wakacje!

www.neckermann.pl



Kieszonkowe
do **300 zł***

Zniżki w marcu
do **30%**

50% upustu
dla **dzieci***

Rabat*
do **500 zł**

Bez dopłat
**Gwarancja
niezmiennej
ceny!**

REZERWUJ BEZ OBAW
Ubezpieczenie AllRisk by Mondial Assistance
w pakiecie ubezpieczenia kompleksowego
i rodzinnego!

* w wybranych hotelach, szczegóły na www.neckermann.pl

** na wybranych kierunkach: **Costa del Sol, Majorce, Costa Brava, Krecie, Rodos, Kos, Malcie, Sycylii, Turcji**

NA
POCZĄTEK

RACZKOWSKI

NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



W TYM TYGODNIU O KIM NIE PISZEMY...

...o prezydencie Lechu Kaczyńskim i jego wyjaśnieniu, dlaczego nie startuje (na razie) w wyścigu o reelekcję („bo nie mam jeszcze poparcia żadnej formacji politycznej”). Różnie już określano Jarosława Kaczyńskiego, ale żeby nazwać go „formacją polityczną”? I to kto, własny brat? Meldujemy, że to może się nie spodobać. Proponujemy w zamian „deformację polityczną”.

...o Januszu Palikocie i jego pomysły na to, na jaką karę zasłużył od swojej „formacji

politycznej” – za zbrodnię kolejnej niesubordynacji. „Na niewypowiadanie się” – wyznał. Panie Januszu, nigdzie nie znajdzie pan większego zrozumienia niż w tej rubryce. Bo my tę karę musimy odcierpieć co tydzień.

...o Aldonie Kameli-Sowińskiej i jej wpadce z książką plagiatem. Była minister, obecnie wykładowcą uczelni, zaciągnięto do sądu za obfite czerpanie z cudzej publikacji internetowej, ale bez choćby zdawkowego powołania się na źródło. A nie piszemy o pani profesor, żeby nie

wyszło na jaw, że mamy w kraju już nie tylko kserostudentów, lecz i kseroprofesorów.

...o Siergieju Szojgu, rosyjskim ministrze spraw nadzwyczajnych, i jego zamiarze grzmotnięcia po kieszeni meteorologów za zbyt dobre prognozy. Ogromne opady śniegu w Moskwie zaskoczyły i drogowców, i przepowiadaczy pogody. Dawniej posłańców skracano o głowę za przekazywanie złych wieści. Teraz na odwrotną – za ich brak. Już sami nie wiemy, co robić, żeby ocalić skórę.

– ju

PRZE KROJ

4 | Świat według „Przekroju”
Marka Zająca i Orbita „Przekroju”
Beaty Bochińskiej

6 | Krótko

WSZYSTKO NA EKO...

8 | Eko dla bogatych
12 | Ekologiczny mąciwoda
– Rajendra Pachauri
14 | Ekopaliwa rosną na łące
16 | Ekorewolucja w śmieciach
18 | Ekoświecenie bez żaru
20 | Ekoelementarz dla każdego

KRAJ I ŚWIAT

22 | Ratownicy potrzebują pomocy
26 | Sekielski obnaża polityków
28 | Niedyplomatycznie
o dyplomacji UE
30 | Mossad bohaterem narodowym

SYLWETKA

34 | Najstłub pyta Zbigniewa Holdysa,
czy nie męczą go powroty
38 | Salif Keita – cesarz albinosów
i ambasador muzyków
40 | Kathryn Bigelow na terytorium
wroga

KULTURA

42 | Dokument: Rock na wojnie
z PRL-em
46 | Muzyka: Afrykańskie brzmienia
48 | Film: Słaby i nie o Jasienicy
50 | Ale kino: Westerplatte padło
52 | Teatr: Nyczek zza kulis
54 | Książki: Można czytać Schmitta...
58 | ...ale polecamy też
coś ambitniejszego

60 | Lektura: Marcin Sendek
rozmawia z Krzysztofem Vargą

OTWÓRZ OCZY (I TU ZNÓW NA EKO...)

64 | Ekoarchitektura z głową
w chmurach

ZAWSZE W „PRZEKROJU”

45 | Czwarta strona kultury
Bartka Chacińskiego
70 | Rozmaitości z krzyżówką, jolką
i felietonami
73 | Stopklatka
74 | Dziennik Jerzego Pilcha
70, 72 | Raczkowski

LAST MINUTE

+ Krzysztof Plyta +

Ekonomia ma własną logikę:
taksówkarze protestują
przeciwko przewozowi osób.

MAREK ZAJAC – Z-C4 REDAKTOR NACZELNEJ

Zabawna dykteryjka. Ale zarazem – niepokojąca.



BEATA BOCHIŃSKA

Miliard euro pomocy unijnej z Programu Operacyjnego Innowacyjna Gospodarka w latach 2007–2011. Tyle firmy w Polsce mogą dostać na zakup projektów od profesjonalnych designerów, na urządzenie do produkcji, doradztwo, badania rynku, promocję. Właśnie powstał pierwszy polski podręcznik z zarządzania wzornictwem, za moment ruszają pierwsze w Europie warsztaty e-learningowe dla firm i projektantów (dostępne w portalu www.zsz.com.pl). Europa patrzy na nas z niedowierzaniem i podziwem, projektanci i firmy zbroją się w wiedzę i uczą wspólnego języka. Tworzenie profesjonalnego otoczenia biznesu w obszarze wzornictwa nie jest jednak warte zainteresowania dziennikarzy. Kiedy nasze media zauważą, jaka jest różnica między trendem a trydem? Kiedy przestaną infantylizować jeden z najbardziej poszukiwanych na rynku zawodów, jakim jest projektant produktu i usługi? Na razie z większym zrozumieniem piszą o naszych projektantach „Financial Times” i „BluePrint”, więc nie ma się co dziwić, że zatrudniają ich chętniej zachodnie znane marki za granicą.

Autorka jest prezesem zarządu Instytutu Wzornictwa Przemysłowego

**PRZE-
KROJ**

Zalozyl w roku 1945 w Krakowie Redaktor Marian Elie

ADRES REDAKCJI: UL. KOTOWAGRODZKA 100, 00-695 WARSZAWA, TEL. 22 525 93 93, **FAKS** 22 525 99 88, **WWW.PRZEKROJ.PL**, **E-MAIL:** redakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNA: NOWAKOWSKA JANOWSKA **ZASTĘPCY REDAKTOR NACZELNEJ:** Juliusz Urbanowicz, Marek Zająz **DYREKTOR ARTYSTYCZNY:** Anna Mysliw **SEKRETARZ REDAKCJI:** Magda Gedziorska, Piotr Winiarski

SEKRETARIAT: Karolina Łajkowska, tel. 22 525 99 33 **KULTURA:** kultura@przekroj.pl, Malgorzata Sadowska (szef), Marcin Sendek (zastępca szefa), Tadeusz Nycza, Karolina Pasternak; stałe współpracowniki: Lukasz Derdzinski, Sebastian Frackiewicz, Mariusz Jerma, Jerak Sieradzki, Jarosław Szubrych, Bartek Winczewski **KRAJ:** kraj@przekroj.pl, Krzysztof Szczepaniak, Bartek Winczewski (redaktor), Maciej Jarkiewicz, Joanna Woźniczko - Czeczot **CYWILIZACJA:** nauka@przekroj.pl, Olwa, Kaliber 40

ROZMAITOŚCI, KRAJOWKA: rozrywka@przekroj.pl, Marcin Pieszczyk; stałe współpracowniki: Ola Salwa, Kaliber 40

FOTODYEDYCJA: foto@przekroj.pl, Marcin Kapcia (szef), Anna Bajorek, Bogdan Krężel, Marek Szczepaniak; stałe współpracowniki: Marcin Cichoński, Bartek Chaciński **KOREKTA:** Dorota Dud, Tatiana Hardej

TECHNICZNA: Kuba Dąbrowski, Tomasz Kniolke, Marcin Zegarek **PROJEKT GRAFICZNY:** Marek Nap **STRONA INTERNETOWA:** Marcin Cichoński i Bartek Chaciński

ARCHIWUM: Dominika Bok **OBROBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU:** Absolut Meat



GREMI
GRUPA

tel. 22 525 99 69 **PRZĘK RUCH SA** – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.pol.pl

ARTYKUŁÓW
NIEZAMÓWIONO
NIE ZWRACAMY
REDAKCJA
ZASTRZEGA
SOBIE PRAWO
DO ZMIAN
I SKRÓTÓW
W NADEŚLANYM
ARTYKUŁACH

www.kier.eu SALONY I STOISKA FIRMOWE: Białystok 085 664 92 02, Bieleńsk-Biała Góra 033 498 71 04, Bydgoszcz 052 373 59 77, Częstochowa 034 368 34 47, Dobrozdzieln 034 352 91 66, Gdańsk: 058 520 38 03, 058 522 60 96, Gliwice 032 279 48 05, Gorzów Wlkp. 095 728 82 83, Jarosław 016 621 04 02, Jelenia Góra 073 647 24 31, Katowice 032 256 61 97, 032 735 27 10, Kalisz 062 757 03 88, Kielce 041 334 00 06-07, Koszalin 094 347 32 35, Kraków 012 266 38 43, Lublin 081 746 59 09, Lublin 076 774 63 35, Łódź 042 037 37 16, Nowy Sącz 014 619 67 66, Nowy Targ 018 256 10 42, Olkusz 098 533 04 84, Opole 077 463 01 50, Ostrow Wlkp. 062 735 01 50, Poznań 061 893 30 71, Poznań Swarzędz 061 815 93 99, Raciborz: 032 415 07 78, 032 419 08 14, Radom 048 365 57 37, Rybnik 032 423 39 02, Rzeszów 017 850 29 80, Szczecin 091 461 34 67, Toruń 056 678 75 71, Warszawa: 022 894 35 61, 021 21 90, 022 654 64 02, 022 61 34 49, Wrocław: 071 359 09 74, 071 39 12, Zielona Góra 068 329 03 06. SALONY I STOISKA AUTORYZOWANE: Belchatów 044 632 87 22, Krosno 013 437 25 04, Sochaczew 046 861 91 21, Stalowa Wola 015 843 28 41, Warszawa 022 638 08 77. BELGIA: Bruksela +352/56755011; USA: Chicago 1/773/7889700. KANADA: Toronto 1/905/5200989.



TYLKO DO 31.03 PRZY ZAKUPIE MEBLI ATRAKCYJNY PREZENT DO WYBORU

MARCOWE BONUS KLER

KRÓTKO

RAFAL MIAŁ SŁONE PALUSZKI

Dotacja na relacje

Zrobili to, czego sami uczą

POLSKIE STOWARZYSZENIE Fundraisingu z Krakowa dostało 850 tysięcy złotych dotacji unijnej na przeszkolenie dla ciągu dwóch lat 120 fundraiserów. Takich pieniędzy nie dostała od UE żadna podobna organizacja na kontynencie. Polacy przekonali urzędników, że zbieraniem środków dla fundacji, hospicjów, szkół i innych potrzebujących powinni zająć się profesjonalści. Dostaną europejski certyfikat potwierdzający, że potrafią budować takie relacje z darczyńcami, które pobudzą ich hojność. Polscy fundraiserzy mają dobrą markę. W lutym szef PSF Robert Kawałko reprezentował Europę na konferencji w Tokio, którą poświęcono raczkującemu fundraisingowi japońskiemu. – *ana*

Dio schodzi z boiska

Czerwona kartka za bluźnierstwo

WŁOSKI ZWIĄZEK piłki nożnej zdecydował, że za bluźnierstwo na murawie zawodnik dostanie czerwoną kartkę, a trener za to samo następny mecz obej-

rzy z trybun. Jeśli sędzia nie dosłyszeli piłkarza, nagranie obejrzy specjalna komisja. Sprawdzi choćby po meczu, czy zawodnik bluźnił, nawet jeśli miałaby to wyczytać z ruchu warg. Winny będzie zawieszony na następny mecz. Czytanie z ust może być kłopotliwe, bo wargi układają się podobnie przy słowach „Dio” (Bóg), „zio” (wujek) i „Dino” (męskie imię). Karanie bluźnierców wymyślił Gianni Petrucci, szef włoskiego komitetu olimpijskiego. Według niego chodzi wyłącznie o etykę i przykład dla młodzieży. – *syl*

Zalecona pelerynka

Sanepid uczynił strój frywolniejszym

NOSZENIE PELERYNEK, choćby przezroczystych, zalecili fryzjerkom inspektorzy sanepidu po wizycie w zakładzie w Jastrzębiu-Zdroju, gdzie panów strzygą panie w *dessous*. Według przepisów fryzjerka ma mieć na sobie „odzież roboczą wykonaną z materiałów umożliwiających jej dezynfekcję”. Z pewnością bielizna spełnia te warunki. Ale zdaniem sanepidu negliż sprzyja skałczeniu się nożyczkami lub zarażeniem fryzjerki łuszczyką, grzybicą lub łupieżem. Pelerynki mają częściowo temu zapobiec. – *aj*

GŁOSY



Demokracja na raty

Unurzane w tuszu palce więźniów z Abril, 300 kilometrów na północ od Bagdadu, po głosowaniu w wyborach do parlamentu. Poszli do urn w minionej czwartek, razem z pacjentami szpitali, policjantami i żołnierzami. Wątek głosowania w Iraku – cztery za granicą, a w niedzielę reszta uprawnionych w kraju. Wyniki – za kilka dni. Nowy rząd zdominują szyici i Kurdowie, bo z 400 kandydatów sunnickich dopuszczono 26. Reszcie zarzucono współpracę z Sademem Husajnem. – *rk*

CISZA KRZYSZTOF SZCZEPANIAK

Przedział bez gadania

W cichych strefach pociągu nie dzwoni komórka, pasażer nie gada. Takie wagony jeżdżą już po Europie, w Polsce chce je doczepiać poseł PO Jan Rzymelka

KASJERKA W KOPENHADZE SPYTAŁA, CZY chce jechać w przedziale cichym, czy normalnym. Zdziwiłem się – opowiada Jan Rzymelka, poseł PO z Katowic. Dowiedział się wtedy, że ciche strefy – przedziały lub wagony – istnieją w pociągach wielu krajów Europy. – Nie wolno tam rozmawiać przez telefon, słuchać muzyki nawet przez słuchawki, a także rozmawiać z drugim pasażerem. Przecież człowiek ma prawo wypocząć lub się przespać – tłumaczy Dirk Oelschläger, specjalista transportu pasażerskiego z Międzynarodowego Związku Kolei w Paryżu. – A w polskich głośnych pociągach ludzie krzyczą do komórki, zapominając o sąsiadach – oburza się poseł Rzymelka, który już poprosił sejmowe biuro studiów i ekspertów o sprawdzenie, jak ciche strefy funkcjonują w prawie innych krajów. Na przykład w Wielkiej Brytanii w każdym pociągu dalekobieżnym musi być choć jeden cichy wagon – *silent car*. Oznaczony symbo-

lami przekreślonego telefonu i słuchawek zwykle podczepiany jest za lokomotywą, by nie tupali po nim pasażerowie z całego pociągu. – Im więcej będziemy ze sobą rozmawiać, tym społeczeństwo będzie zdrowsze – kręci głową Zbigniew Rynasiewicz, także poseł PO, przewodniczący sejmowej komisji infrastruktury. – Nie bójmy się drugiego człowieka w wagonie – apeluje.

Poseł Jan Rzymelka nie ustępuje: – Prawie 20 lat temu zaproponowałem strefy bezdymne w Sejmie i wtedy też każdy się dziwił. Dziś o całkowitym zakazie palenia debatuje cała Unia Europejska – przekonuje i dodaje: – Gdyby polscy przewoźnicy nie chcieli cichych stref, zapis wymuszający ich stworzenie można będzie wprowadzić na przykład ustawą o usługach kolejowych. Na razie PKP Intercity obiecało „Przekrojowi”, że o ciche strefy zapyta pasażerów w ankiecie na stronie internetowej.

Rosja w Europie

JUKOS SIĘ ODGRYZA

ROSYJSKI RZĄD STANIE PRZED SĄDEM w Strasburgu. Europejski Trybunał Praw Człowieka zgodził się zająć skargą przedstawicieli resztek koncernu Jukos. Firma – na początku lat 90. naftowy potentat na skalę światową – została doprowadzona do upadku jej majątek zlicytowany, a założyciel Michail Chodorkowski

w 2005 roku trafił do kolonii karnej na Syberii. Kreml twierdzi, że firma nie płaciła podatków. Piers Gardner, prawnik Jukosu, skarży się jednak w Strasburgu, że działania władz były polityczne, arbitralne i dyskryminujące. Domaga się prawie stu miliardów dolarów odszkodowania. Trybunał zapewne takich pieniędzy nie przyzna, ale jeśli zawyrokuje, że kłopoty Jukosu wiązały się z polityką, sprawa będzie mógł się zająć Trybunał Arbitrażowy w Hadze. Orzeczenia trybunału w Strasburgu są wiążące dla Rosji jako członka Rady Europy, jednak niewiele z tego wynika. W zeszłym roku rosyjski Sąd Najwyższy zgodził się z trybunałem, że aresztowanie Platona Liebediewa, jednego ze współpracowników Michała Chodorkowskiego, było nielegalne. Mimo to do dziś siedzi on w więzieniu. – *raf*

Wą będzie mógł się zająć Trybunał Arbitrażowy w Hadze. Orzeczenia trybunału w Strasburgu są wiążące dla Rosji jako członka Rady Europy, jednak niewiele z tego wynika. W zeszłym roku rosyjski Sąd Najwyższy zgodził się z trybunałem, że aresztowanie Platona Liebediewa, jednego ze współpracowników Michała Chodorkowskiego, było nielegalne. Mimo to do dziś siedzi on w więzieniu. – *raf*

Media publiczne

NISZA CORAZ MNIEJSZA

NIE ZABIERAJCIE NAM JEDYNEJ oazy w morzu mainstreamowej papki muzycznej – apeluje już ponad 100 tysięcy Brytyjczyków w Facebooku, którzy bronią 6 Music – niszowej stacji radiowej BBC. Pod apelem podpisał się też David Bowie, a piosenkarka Lily Allen pyta: „Czy będziemy odtąd skazani na utwory w stylu Pussycat Dolls?”. Wtórzy jej Eleanor „Eli” Jackson z duetu La Roux. Decyzję dyrektora generalnego BBC Marka Thompsona kwestionują nawet podwładni. Publicysta Jeremy Paxman pytał szefa, czy inne programy pełnią misję lepiej niż 6 Music. Ten bronił się, twierdząc, że utrzymanie radiostacji, której słucha tylko 700 tysięcy osób tygodniowo, kosztowało w 2009 roku 9 milionów funtów. Dla porównania: na rozgłośnię BBC2 docierającą



Szef BBC Mark Thompson podłącza się do mainstreamu

co tydzień do 13,3 miliona Brytyjczyków wydano 40 milionów funtów.

Brytyjski nadawca chce też zlikwidować Asian Network, która prezentuje artystów brytyjskich pochodzenia azjatyckiego. Znikną witryny internetowe niektórych

lokalnych rozgłośni. Dyrekcja BBC przekonuje, że oszczędności (około 600 milionów funtów) przeznaczy na produkcję flagowych programów. Krytycy twierdzą, że BBC zapomina o swej misji, która nakazuje mu pamiętać także o wielbicielach niszowej sztuki. – *rk*

Interes z wartością

Katolicycy biznesmeni bogacą się duchowo

BIZNESOWE GRUPY NETWORKINGOWE rosną jak grzyby po deszczu, ale tylko te spotkania 30 przedstawicieli różnych branż poprzedza część duchowa. Modlitwy nie ma, katolicycy przedsiębiorcy przy porannej kawie słuchają fragmentów „Życia duchowego, czyli doskonałości chrześcijańskiej” (2 połowa XIX wieku) autorstwa świętego biskupa Józefa Sebastiana Pelczara. – Rozdział o wykorzystaniu czasu to doprawdy doskonały podręcznik *time managementu* – ocenia Maciej Gnyska, organizator spotkań w warszawskiej pijalni Wedla przy ulicy Szpitalnej, która specjalnie na tę okazję, w piątki, otwiera się godzinę wcześniej, czyli o 7 rano. Gnyska wyjaśnia, że grupa „nie ma charakteru konfesyjnego” i nie trzeba być chrześcijaninem, by do niej należeć. Ale dodaje: – Dla większości z nas wspólnota wartości jest jednak ważna choćby dlatego, że pogłębia więź i wzmacnia zaufanie – przekonuje. Oprócz wzajemnej pomocy w interesach zebrani planują cykle szkoleń na przykład z autoprezentacji. W najbliższy piątek ostatnie otwarte spotkanie, potem chętni założą formalne towarzystwo. Roczny cykl uduchowionych śniadań będzie kosztował tysiąc złotych. Plus VAT. – *mil*

REKLAMA



56 złotych kieszonkowego

miesięcznie dają średnio rodzice dzieciom – wynika z badań ośrodka Ipsos. To tyle samo, ile w 2008 roku. Zdaniem specjalistów rodzice – mimo kryzysu – nie oszczędzają, bo nie chcą przed



Z GÓRNEJ PÓŁKI MILENA RACHID CHEHAB

BOGACI GRAJĄ W ZIELONE



DROGO, SNOBISTYCZNIE I LUKSUSOWO. HANDEL EKOLOGIĄ TO NOWY POMYSŁ NA BIZNES. EKOMETKI DYNDAJĄ PRZY TOWARACH DLA ELIT, ZAPEWNIJĄC KUPUJĄCYM PRESTIŻ I POPRAWIAJĄC IM SAMOPOCZUCIE

POWYCIĄGANI WELNIANY SWETER ZE SZLACZKIEM, trapery ubłocone ziemią z Doliny Rospudy, biżuteria etno z drugiego końca świata. Jeśli tak wyobrażasz sobie ekologa, czas wrócić do teraźniejszości. Dzisiejsi miłośnicy ekologicznego stylu życia coraz rzadziej przypominają działaczy frontu na rzecz ochrony rzadkiego ślimaka. Ekologia to nowa metka luksusu.

Biżuteria z misją (humanitarną)

Naprawdę trudno być bogaczem. To ciągłe wysiłki, by nie wypaść z kasty. Wynajdywanie coraz nowszych oznak swego statusu, kiedy po piętach wciąż deptają ci nieznosni nowobogacze. Jeśli dziś o przynależności do grupy świadczy torebka od Prady, możesz być pewien, że w przyszłym sezonie każda przedstawicielka klasy średniej będzie nosić jej gorzej lub lepiej wykonaną podróbkę. Jeśli szykiem jest podjechać pod restaurację bentleyem, jutro nowobogacze playboye z pewnością zaopatrzają się w wóz tej marki.

To właśnie jest motorem rynku dóbr luksusowych. By nie pozwolić hordom z ambicjami zagarnąć swoich terytoriów, prawdziwie bogaci ludzie muszą dokonywać wielu uników – co sezon zmieniać kod dostępu do sezamu. Dlatego z entuzjazmem przyjmują nowe pomysły, które wyróżnią ich z tłumu przeciętniaków.

Ekologia spełnia wszelkie warunki marki luksusowej, bo z natury jest droższa – ekoludnictwo jest mniej wydajne, a przyjazne środowisku technologii wymagają dodatkowego nakładu pieniędzy i pracy. Klient musi zapłacić więcej, co zalicza go do grupy ludzi wyjątkowych. A ideologia, która wiąże się ze stylem życia przyjaznym środowisku, jeszcze zwiększa to poczucie – tłumaczy Leszek Stafiej, specjalista od kreowania marki.

W Polsce ekoluksus dopiero raczkuje. Nie ma na przykład butików z ekologicznymi gadżetami z górnej półki, jakie dobrze prosperu-

ją w USA czy Wielkiej Brytanii. Wyjątkiem jest specjalizująca się w naturalnych kosmetykach polska marka Fridge by yDe (opakowanie ręcznie robionego kremu kosztuje tyle, ile analogiczny specyfik Lancôme, a wystrój sklepu z wielkimi kwiatami wymalowanymi na ścianach bardziej przypomina galerię sztuki niż drogerię) i warszawski sklep Ego & Eco. Klienci – głównie obcokrajowcy i klientki sąsiednich ekskluzywnych butików na Nowym Świecie – wydają tu nawet po kilka tysięcy złotych, przede wszystkim na produkty z lnu, naturalne kosmetyki, gadżety do wystroju wnętrza (takie jak podstawki z przetworzonych butelek po winie) czy jedwabną biżuterię. Wszystko naturalne, wyprodukowane w Polsce, często na specjalne zamówienie sklepu. – Co ciekawe, mamy też sporą grupę klientek, które zaczynają dopiero przygodę z ekologią, na przykład licealistki czy studentki. Z całej Warszawy zjeżdżają się tu po zrobione specjalną techniką wielkie lniane broszki w kształcie róż – opowiada pracująca w Ego & Eco Barbara Karczewska, wskazując na grupę dziewczyn tłoczącą się przed wystawą.

– W Polsce mamy raczej namiastkę ekoluksusu, ale na Zachodzie to już trend – mówi Aldona Janasik, twórczyni portalu Ekoistka.pl, który śledzi, co w zielonej trawie piszczy. Ci, którzy zwracają uwagę na metki, zmianę tę zauważają przede wszystkim w modzie. Wszelkie hasła z zielenią w tle (*Green Is the New Black* – zielony to nowy czarny, *The Queen Goes Green* – królowa chodzi w zielonym) coraz częściej reklamują marki z wyższej półki. Jedną z nich jest Vegan Queen stworzona przez Amerykankę polskiego pochodzenia Evelinę Kulikovskę. Jej torebki ze sztucznej, nadającej się do recyklingu skóry, wyściełane organiczną bawełną i produkowane w USA z poszanowaniem praw pracowników noszą ponoć celebrytki takie jak Michelle Obama, Madonna, Demi Moore czy Anna Wintour. W zależności od modelu koszt-

ują od 400 do 900 dolarów, czyli mniej więcej tyle, ile torebki od Marka Jacobsa czy Chloé.

Vegan Queen daleko jednak do takich gwiazd ekomodry jak Linda Loudermilk, w której sukniach pojawiają się gwiazdy (od Jane Fondy po Tori Amos), a o jej kolekcjach ekocouture coraz częściej donoszą prestiżowe magazyny o modzie z „Vogue” na czele. Stroje Lindy Loudermilk (kosztują od kilkuset do kilku tysięcy dolarów) są wykonane z naturalnych, nieprzetwarzanych chemicznie tkanin wytworzonych na przykład z bambusa, kukurydzy, alg morskich czy liści trawy sasawashi, a ich kroje są na tyle nowatorskie, że projektantka ochrzczona została „ekologiczną wersją Vivienne Westwood”. Sporo szumu zrobiła również jej kolekcja dodatków Water Is a Human Right (woda jest prawem człowieka), szczególnie wisiorki w kształcie kranu, z których spływa kropla wykonana z kamienia szlachetnego (wersja srebrna – za 150, złota – za 1250 dolarów, z czego jedna piąta wspiera dostęp do czystej wody w najbardziej ubogich krajach).

Modowe podziemie idzie po Oscara

Zastanawiasz się, jak to możliwe, że nawet jeśli trochę interesujesz się modą, nigdy nie słyszałeś o Lindzie Loudermilk? – Ekomoda, choć coraz popularniejsza, rozwija się obok głównego nurtu i znają ją ci, którzy chcą ją znać – mówi Aldona Janasik z Ekoistka.pl. Powód? – Właściwie oprócz Stelli McCartney, która od początku swej kariery stawiała na tkaniny przyjazne środowisku i etyczną produkcję, mało jest dużych firm, które decydują się na bycie eko. Wiąże się to bowiem z bardzo wyśrubowanymi normami dotyczącymi produkcji ubrań, więc by je spełnić, producenci muszą pogodzić się z większym wysiłkiem i mniejszym zyskiem – tłumaczy Aldona Janasik. Dlatego większość ekoprojektantów – którzy dzielą się na zwolenników przede wszystkim recyklingu, naturalnych materiałów i poszanowania praw pracowników →

→ (niezatrudnianie dzieci, godziwe zarobki itd.) – pokazuje swoje ubrania na własnych tygodniach mody, a ich butiki rzadko mają najbardziej prestiżowe adresy.

Jednak niedługo może się to zmienić. Wszystko za sprawą osób takich jak choćby Suzy Amis Cameron (żony Jamesa Camerona). W tym roku po raz pierwszy zorganizowała konkurs dla młodych projektantów pod hasłem „Czerwony dywan, zielona sukienka”. Projekt zwyciężczyni utrzymywany jest w tajemnicy. Strój został uszyty z *peace silk*, czyli jedwabiu pozostającego z kokonów zniszczonych po wykluciu się jedwabnika. Nie ma też żadnych ozdób, które utrudniłyby ewentualny recykling. Suzy Amis Cameron od miesiąca zapowiadała, że wystąpi w tej sukni na największej imprezie świata filmowego, czyli tegorocznym rozdaniu Oscarów [czy wystąpiła? „Przekrój” zamknął przed galą – przyp. red.], więc ekologiczna sukienka ogólnosiwiatową reklamę ma więcej niż pewną. I na pewno nie obędzie się bez kontrowersji.

Podróż po czystą wodę

Bo ekoluksus, choć zyskuje orędowników, a nawet ma swój organ prasowy (brytyjski „Above Magazine”), wzbudza też gorącą dyskusję. – Oczywiście można stwierdzić, że skoro ktoś kocha luksus, to lepiej, by wybierał jego przyjazną środowisku wersję. Ale z drugiej strony to rodzaj hipokryzji – mówi Kamila Tyniec ze stowarzyszenia eFTe propagującego świadomą konsumpcję. – W ekologicznym stylu życia chodzi przecież o zerwanie z rozbuchanym materializmem, przepychem czy posiadaniem rzeczy, które nie są nam do niczego potrzebne, tylko zaśmiecają świat. Ważne jest też, że świadome kupowanie przeciwdziała masowemu wykorzystywaniu pracowników fabryk. Ograniczenie zakupowego szaleństwa prowadzi bowiem do ograniczenia dzikiej produkcji. A w ekoluksusie tego brakuje. Istnieje natomiast obawa, że trend ten przerodzi się w zagłuszanie sumienia, czyli konsumpcję pod płaszczykiem troski o środowisko – tłumaczy Kamila Tyniec.

Najlepszym tego przykładem są coraz popularniejsze ekopodróże. Specjalizują się w ich



W butelce à la krople do oczu są bezalkoholowe perfumy firmy Fridge by yDe (195 złotych za 50 ml). Ekoluksus lepiej pachnie, gdy na ramieniu wisi nam torebka Vegan Queen ze „skóry ekologicznej” (650 dolarów), a na szyi wisiorek „Woda jest prawem człowieka” (150 dolarów – srebro, 1250 dolarów – złoto)

organizowaniu włoska firma EcoLuxury oferuje wypoczynek w 150 miejscach na całym świecie, w których można spędzić wakacje, nie niszcząc środowiska. – Ośrodki zasilane są energią odnawialną, przy ich utrzymaniu nie używa się detergentów, woda w spa jest wielokrotnie oczyszczana, jedzenie pochodzi niemal prosto z ogródka. Wszystko odbywa się w zgodzie z naturą, a właściciele kurortów troszczą się o lokalną społeczność, dając pracę za godziwe pieniądze czy remontując drogi. To luksus w najczystszej wydaniu – poziom pięciogwiazdkowy, ale z troską o środowisko znacznie większą niż w typowym hotelu, gdzie często ekologia kończy się na informacji, by nie oddawać do prania czystych ręczników – zachwala Lydia Vaglica z EcoLuxury, polecając na luksusowy odpoczynek w sercu natury ośrodek North Island na Szeszelach za 1,8–2,8 tysiąca euro od osoby za dobę pobytu. Rozpływając się nad zaleciami ekologicznych wakacji w Nowej Zelandii, Tajlandii, na Madagaskarze czy Wyspach Karaibskich, nie wspomina o jednej, dość istotnej wadzie urlopu przyjaznego środowisku. Trzeba tam dolecieć bardzo nieekologicznym samolotem.

Choć z usług EcoLuxury korzystają zamożni ekokonsumenci z całego świata, Lydia Vaglica nie pamięta, kiedy ostatni raz ich klientami byli Polacy. Pod względem świadomości konsumpcyjnej jesteśmy dobrych kilka lat za Zachodem. We Francji, w Niemczech czy Anglii zielone za-

kupy robi przeciętny przedstawiciel klasy średniej, a często także i niższej. Socjologowie na ich określenie ukuł termin LOHAS (od Lifestyles of Health and Sustainability, czyli styl życia stawiający na zdrowie i zrównoważony rozwój). Łohasi to świadomi konsumenci, którzy są w stanie zapłacić więcej za produkt przyjazny dla zdrowia i środowiska. Zarabiają powyżej średniej i są wykształceni, więc dla producentów ta grupa to smakowity kąsek. Według Worldwatch Institute w 2006 roku rynek LOHAS był wart 300 miliardów dolarów. – Część lohasów zna jednak „łatwą etykę”, czyli decydują się na wybór tych produktów czy usług ekologicznych, które nie utrudnią im życia. Zamiast przejechać się z paliwożernego SUV-a do transportu publicznego, kupują samochód duży, tylko z napędem hybrydowym, i jeżdżą nim w pojedynkę. Bywają podatni na *greenwashing*, czyli zielone pranie mózgu – firmy udają, że są ekologiczne, lecz w rzeczywistości to działania pozorowane, służące jedynie poprawie wizerunku – mówi Aldona Janasik.

Tymczasem w Polsce ekologia to zabawa dla bogatych, nawet jeśli nie polega na noszeniu ubrań Lindy Loudermilk, a jedynie na zakupach w ekologicznych stoiskach w spożywczakach Społem. W krajach starej UE różnica między eko a zwykłym produktem wynosi średnio 10–20 procent. W Polsce rzeczy eko bywają nawet dwa–trzy razy droższe od swych maso-

ILUSTRACJA GETTY/FPM; FOT. SHUTTERSTOCK, MATERIAŁY PRASOWE (3), RIPAMI MASSIMO, SIME/FREE, FRANK HEUER/LAIF/EK PICTURES

wych odpowiedników. Dotyczy to też artykułów ze znacznikiem Fair Trade, czyli sprawiedliwego handlu, gwarantującym, że producenci szanują prawa pracowników Globalnego Południa (tak określa się teraz kraje rozwijające się). Marka ta, znana 90 procentem Brytyjczyków i dwóm trzecim Niemców, u nas dopiero raczkuje. Różnice w cenach można prześledzić na jednym z najpopularniejszych produktów FT, czyli czekoladzie. Tabliczka ekologicznej Mascio, mieszanki kakao z boliwijskiej spółdzielni Fair Trade El Ceibo z nierafinowanym cukrem trzcinowym ze spółdzielni Alter Trade z Filipin, kosztuje w Polsce 10 złotych – mniej więcej tyle, ile na Zachodzie (choć w brytyjskiej sieci Sainsbury's tabliczkę mlecznej FT kupimy już za równowartość 6 złotych). W sklepach we Francji czy w Niemczech tabliczka dobrej czekolady kosztuje około 2 euro. W Polsce – równowartość 1 euro. Trudno więc się dziwić, że w Niemczech na „sprawiedliwe zakupy” regularnie decydują się 4 miliony osób mających do dys-

Ekomoda ucisza sumienie. Oferuje produkty czy usługi, które nie utrudnią życia, a poprawią wizerunek

pozycji 30 tysięcy sklepów z takim asortymentem. U nas produkty z logo Fair Trade można znaleźć jedynie w mniej więcej 150 punktach w całej Polsce, a wydajemy na nie łącznie niecały milion złotych rocznie (nasi zachodni sąsiadzi ponad tysiąc razy więcej).

(Nie)sprawiedliwy handel

Ekskluzywność ekoproduktów bierze się stąd, że większość pochodzi z importu. I że nie zalewają masowo naszego rynku. Wylaczając jedną warszawską palarnię kawy, żaden polski producent nie zdecydował się dotąd na sprowadzanie kawy czy kakao bezpośrednio od producentów z krajów Globalnego Południa. – Dla nich wciąż jesteśmy zbyt małym rynkiem, żeby opłacał im się eksport. Zmieni się to, gdy w Polsce wzrośnie świadomość marki Fair Trade lub gdy wejdziemy do strefy euro, bo wtedy nasze ceny upodobnią się do zachodnich – przewiduje Tadeusz Makulski, prezes stowarzyszenia Trzeci Świat i My, największego importera FT do Polski. Na razie to luksus dostępny dla nielicznych, którzy chcą dopłacić za lepsze samopoczucie.

Kamila Tyniec z eFTe przyznaje, że kupuje produkty *organic* czy Fair Trade, jeśli nie są drogie, na przykład kawę i herbatę ze znacznikiem FT, bo ma świadomość, że nikt po drodze nie zbija na tym kokosów, a jedynie płaci godnie producentom. Ale ekoluksusowych butów za 800 złotych nie kupiła, bo spokojnie może się bez nich obyć. Gdy jednak już zdecyduje się zapłacić więcej za organic czy Fair Trade, nie marudzi. – Mam bo-

wiem wrażenie, że warto, ponieważ ta różnica w cenie to wartość dodana podobna do tej, jaką daje zakup produktu ze znaną metką. Tylko że nie dopłacam za markę, czyli za zademonstrowanie statusu społecznego i możliwości finansowych, ale za ideały, wierność swoim przekonaniom – tłumaczy.

Ekologia fastfoodowa

Specjalista od kreowania marki Leszek Stafiej widzi w tym szerszy trend. – Nie bójmy się tego powiedzieć: eko stało się nową marką. W połączeniu z marką właściwą powoduje wzrost wartości średnio o 10–15 procent, a w takich kategoriach jak żywność – nawet o 50 procent – szacuje Stafiej. Według niego takie połączenie stworzyło nową jakość, którą najlepiej widać po samochodach. – Gdy na rynku pojawiła się toyota prius, nagle wielu chciało ją mieć, bo dzięki niej mogli nie tylko udowodnić, że stać ich na nowinkę techniczną, ale i że należą do elitarnego klubu (w Polsce liczącego dziś około 500 osób, na świecie sprzedano dwa miliony aut) dbających o środowisko i myślących o nim w szerszej perspektywie. O tym, że promowanie ekosamochodów jako ekskluzywnych się sprawdza, świadczy chociażby to, że wprowadzenie modeli z napędem hybrydowym bardzo szybko zaczęły zapowiadać inne marki: Nissan, Lexus, Kia, Renault – tłumaczy znawca branży reklamowej.

Według niego ta tendencja obecna właściwie na całym rynku ekoproduktów wywoła dwa efekty. Pierwszy to oczywiście zwiększenie świadomości ekologicznej. Drugi to stratyfikacja ekoluksusu. Ten towar, który stanie się bardziej dostępny, straci aurę wyjątkowości. Nie będzie już wejściówką do grona zamożnych. Stanie się ekologią fastfoodową.

Obok tego coraz prężniej będzie się rozwijać ekologia dla wybranych. Tych, których stać na ekowakacje na Szeszelach. Powstanie też jeszcze wyższa zielona półka. Na niej będą leżeć powyciągane wełniane swetry z norweskim wzorkiem i biżuteria etno z drugiego końca świata. Ta skromność będzie jednak kosztować tysiące dolarów. Bo żeby bronić się przed farbowanymi lisami chyłkiem usiłującymi dostać się do wyższej sfery, bogaci stosują jeszcze jeden zabieg – umiar. Sztuka bycia bogatym nie polega na blichtrze – trudno się z tym pogodzić nowobogackim, którzy potrzebują widocznego potwierdzenia statusu.

I może na tym właśnie zyskają działacze frontu na rzecz ochrony rzadkiego ślimaka. Sprzedają swoje trapy ubłoczone ziemią z Doliny Rospudy za ciężkie pieniądze. Tym, którzy nie mają czasu ani ochoty koczować tygodniami w obronie przyrody, ale bardzo by chcieli, żeby tak ich postrzegano. Ślimaki zostaną uratowane. Przynajmniej dopóki bogatych będzie bawiła moda na eko. □



Kawiarnia Naukowa
PRZEKROJ NAUKI
ZAPRASZA NA DYSKUSJĘ

„O ZWIĄZKACH
– INACZEJ”

Pożądanie, przywiązanie, przyjaźń.
Czy znajdujemy odpowiedniki tych uczuć
u zwierząt? Jaką funkcję pełnią one
w ich życiu?

Bogactwo form życia społecznego zwierząt
pozwala nam znaleźć wszelkie możliwe
formy związków. Nie są one jednak normą
powszechną. Każdy gatunek
ma określoną specyfikę, a w obrębie
populacji danego gatunku występują
ogromne różnice indywidualne.
Bez wątpienia jednak uczucia nie
pojawiały się nagle i nie jesteśmy jedynym
zwierzęciem w nie wyposażonym.

Spotkanie Kawiarni Naukowej
15 marca 2010 r. o godz. 18

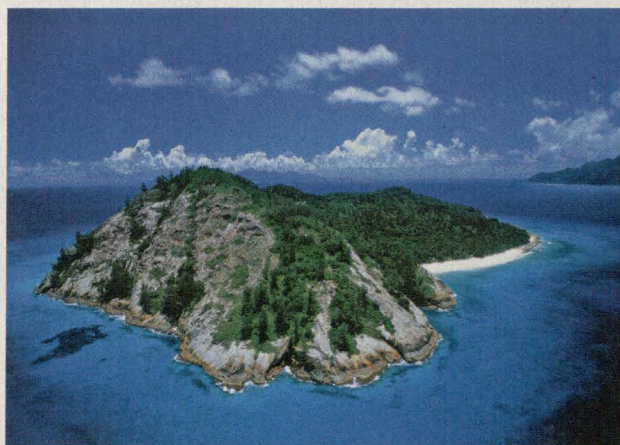
Skwer – Filia Centrum

Artystycznego „Fabryka Trzciny”,
ul. Krakowskie Przedmieście 60a



Gościem kawiarni będzie
prof. Wojciech Pisula, psycholog, etolog
ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej

Wstęp wolny



Pobyt w ekologicznym ośrodku na Szeszelach kosztuje około dwóch tysięcy od osoby za dobę. „Eko” to między innymi naturalne kosmetyki w lokalnym spa

Akademia Pana Klimatologa

SKANDALE MILENA RACHID CHEHAB

Jak zarobić na globalnym ociepleniu? Poradź się naczelnego klimatologa świata. On zbija na tym miliony

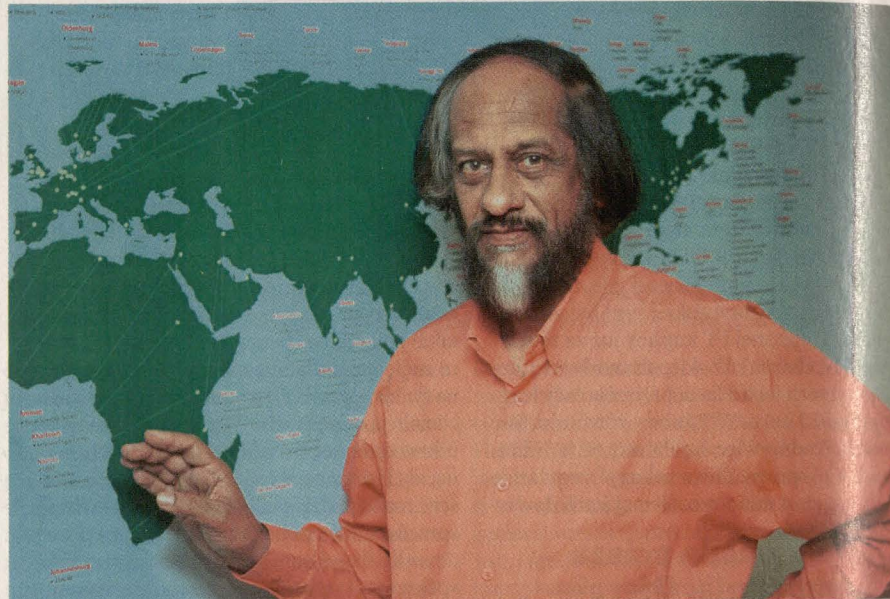
Znaki szczególne: fizjonomia Pana Kleksa, pewność siebie granicząca z beczelnością i całkowita odporność na krytykę. Dyplom z lokomotyw i nos do interesów. Znać go? Powinniście. W końcu to on się dla was poświęca, dla was walczy. Donkiszot globalnego ocieplenia, naczelnym klimatolog świata – Rajendra Pachauri.

Kiedy w 2007 roku ramię w ramię z Alem Gore'em odbierał Pokojową Nagrodę Nobla, płomienną, pełną odniesień do hinduskiej filozofii mową przyćmił amerykańskiego polityka. Niewdzięcznik – w końcu to właśnie polityce USA zawdzięcza swe stanowisko. Bo szefem ONZ-owskiego Międzynarodowego Zespołu do spraw Zmian Klimatu (IPCC) został dzięki poparciu George'a Busha, któremu zależało na utrąceniu protokołów z Kioto narażających Stany Zjednoczone na wysokie kary finansowe za nadmierną emisję gazów cieplarnianych. Wybór był świetny. W kategorii utrącania szczytnych idei klimatycznych Pachauri jest prawdziwym mistrzem.

Jego panowanie na ONZ-owskim klimatycznym tronie to niekończąca się seria kolejnych *climategate*. Najślynniejsza afera zapewniła mu nawet miejsce na publikowanej przez magazyn „Foreign Policy” liście najbardziej wpływowych intelektualistów świata. Pachauri wyładował, precyzyjnie rzecz biorąc, między Barackiem Obamą a Hillary Clinton.

Czeski błąd Hindusa

Ów zaszczyt to wynik błędu. Czeskiego błędu Brytyjczyka powtórzonego przez Hindusa. Mętna historia? No to po kolei. Międzynarodowy Zespół do spraw Zmian Klimatu to instytucja, do której zadań należy między innymi wydawanie raportów dotyczących globalnego ocieplenia. Zespół ten nie prowadzi jednak własnych badań, lecz dokonuje „metaanalizy źródeł naukowych”. Za jedno z nich uznał raport organizacji WWF, która z kolei przedrukowała część artykułu opublikowanego w brytyjskim tygodniku „New Scientist” w 1999 roku. Artykuł mówił o badaniach glaciologa szacującego, że największe lodowce zatopią świat, rozpuszczając się do 2350 roku. Problem w tym, że do tekstu w „New Scientist” wdarł się błąd przyspieszający katastro-



Rajendra Pachauri przekonuje o katastrofie. Sam jest największym nieszczęściem dla klimatu

fę klimatyczną o, bagatelka, 300 lat (rok zmieniło na 2035). Po opublikowaniu feralnego raportu w 2007 roku ONZ zalała fala protestów przysyłanych przez naukowców. Na podstawie swojego raportu Pachauri forswał bowiem zmiany w gospodarce wielu państw i produkcji wielkich koncernów.

Ciemne chmury nad głową Pachauriego zgęstniały, kiedy w grudniu 2009 roku ze współpracującego z IPCC ośrodka badawczego Climate Research Unit na University of East Anglia wyciekły e-maile sugerujące, że naukowcy zajmujący się globalnym ociepleniem manipulują danymi. Zrobił się skandal, ale naczelnym klimatolog świata zapowiedział, że do dymisji się nie poda. Trudno mu się dziwić, bo jego tytuł ustawia go na resztę życia. Dzięki niemu Pachauri mógł między innymi zostać członkiem zarządu londyńskiej odnogi TERI – ośrodka badawczego finansowanego przez koncern Tata (właściciela kilku marek motoryzacyjnych). Wśród licznych tytułów i synekur posiada prezesostwo organizacji non profit TERI-NA finansowanej między innymi przez cztery agencje rządowe, koncerny naftowe, dostawcę sprzętu wojskowego, największego na świecie producenta żywności transgenicznej i dwóch światowych liderów handlu emisjami dwutlenku węgla.

Gdy w 2002 roku Pachauri obejmował szefostwo w IPCC, wydawało się, że to bezpieczna, mało kogo interesująca synekura. Nikomu nie przeszkadzało więc, że ten 62-letni wówczas Hindus nie ma nawet formalnego wykształcenia. **Najważniejszą na świecie osobą od zmian klimatu** ma być inżynier kolejnictwa z doktoratem z ekonomii? A czemu nie! Aż do ubiegłego roku zasiadał w zarządach firm związanych z branżą paliwową (i bynajmniej nie chodzi tu o paliwa odnawialne) takich jak India Oil? Drobnostka!

Doradza także w zakresie energii odnawialnej Credit Suisse i Fundacji Rockefellera. Do niedawna był doradcą firmy Toyota Motors, która przekazała na rzecz TERI 80 tysięcy dolarów. Krótko po tym akcie szczodrości koncern Toyota otrzymał nagrodę w wysokości półtora miliona dolarów za promowanie zmian technologicznych. Przewodniczącym jury był... a jakże – Pachauri.

Bóg do dymisji

Nie powinien więc już chyba dziwić, że do zeszłego roku znajdował się on także w zarządzie największego w Indiach producenta elektryczności i że jest szefem Instytutu Zmian Klimatu i Energii przy Uniwersytecie Yale finansowanego przez amerykańskie agencje rządowe i korporacje.

W rodzimych Indiach wiedzie żywot półboga. Mieszka w najdroższej dzielnicy Delhi, w domu, którego wartość ocenia się na 10 milionów dolarów. Choć trzeba przyznać, że coraz rzadziej pokazuje się w strojach za dwa tysiące dolarów. Idąca z tym w parze narastająca niechęć do mediów, które nie wychodzą z halu IPCC, wydaje się w pełni zrozumiała. Nikt nie lubi monotonii, a Rajendra Pachauri ciągle musi odpowiadać na to samo pytanie: „Kiedy poda się pan do dymisji?”

ZOSTAŃ ECOISTA

Kup ecoauto rocznik 2010 z ecorabatem



Clio
Ecorabat 3600 zł

Mégane
Ecorabat 6000 zł



Renault w wersji eco² jest ekonomiczne i ekologiczne: spala mniej paliwa i emituje mniej CO₂. Teraz przy zakupie wybranych modeli Renault w wersji eco² otrzymasz korzystny rabat i kredyt „3 raty bez spłaty”, w którym nie zapłacisz trzech wybranych przez Ciebie rat. Sprawdź także inne oferty promocyjne.

Renault zafca elf



Kredyty oferowane przez RCI Bank Polska S.A. na zakup wybranych modeli marki Renault. Minimalna wpłata własna 35%, okres kredytowania 36 i 48 miesięcy. Kredytobiorca może dowolnie wybrać 3 raty, których nie zapłaci, oprócz pierwszej obowiązkowej. W wersjach eco²: Clio i Mégane spalanie wynosi od 4,4 do 5,9 l/100 km, emisja CO₂: 115-139 g/km. Szczegóły oferty u Autoryzowanych Partnerów Renault i na www.renault.pl. Rabat nie dotyczy Clio z serii limitowanej „Dwudziestka”. Stan oferty na dzień 1.03.2010 r. Niniejsze ogłoszenie nie stanowi oferty handlowej w rozumieniu przepisów kodeksu cywilnego. Szczegółowe informacje dotyczące odzysku i recyklingu samochodów wycofanych z eksploatacji na www.renault.pl



Z ŁĄK I SADZAWEK PIOTR KOSSOBUDZKI, PIOTR STANISŁAWSKI

Zielone paliwo dla tych, co jeżdżą...

Z ekologicznym prądem jest dość łatwo – buduje się elektrownie wiatrowe albo wodne. No, ostatecznie hektary nieużytków zabudowuje się panelami słonecznymi. Wprawdzie wydajność baterii słonecznych pozostawia wiele do życzenia, a zapory i elektrownie wodne nie mogą osiągać monumentalnych rozmiarów – bo wtedy zamiast chronić, niszczyłyby środowisko – ale ekologiczna technologia wciąż idzie w tych dziedzinach naprzód. Schody zaczynają się, gdy próbujemy zastąpić benzynę i olej napędowy. Samochody na prąd byłyby świetne, gdyby nie mało pojemne akumulatory. Auta na wodór? Mamy kłopot z taną produkcją tego gazu, a nawet z jego magazynowaniem. Najbardziej realną alternatywą wydają się biopaliwa.

Alkohol i... gazu?

Wiadomo, że benzynę mógłby zastąpić alkohol etylowy, czyli etanol. Produkcja spirytusu z roślin nie jest niczym nowym (w Polsce mamy w tym zakresie bogate doświadczenia przemysłowe i hm... chałupnicze). Na razie jednak umiemy wydajnie wytwarzać alkohol tylko ze składników bogatych w cukry, na przykład z ziaren kukurydzy czy z trzciny cukrowej. Ale to ślepa uliczka. Gdyby całe zbiory kukurydzy rosnącej w USA przerobić na etanol, udałoby się zaspokoić niecałe 15 procent potrzeb paliwowych tego kraju. A co z kukurydzą potrzebną do celów spożywczych i na pasze? W 2008 roku Stany przeżyły boom na produkcji spirytusu z kukurydzy. Efekt? Spory skok ceny surowca i burzliwa debata na temat rozdziału uprawy zbóż do celów spożywczych i energetycznych.

Rozsądniejszym wyjściem wydawałoby się zatem odpuszczenie sobie etanolu i skupienie się na biodieslu, czyli roślinnych substancjach olejowych. Rodzinnym kandydatem jest rzepak – podobno tłoczony z niego olej można łąć do baku silników wysokoprężnych. Takie biopaliwo wykorzystują niektórzy rolnicy – za ich ciągnikami snuje się subtelna woń frytek.

W Polsce biopaliwa kojarzą się z awanturą o dopłaty do rzepaku. A na świecie trwa wyścig, kto łąki i stawy przerobi na złoża paliw. Wygrywają... wielkie koncerny naftowe

Niestety, narodową dumę musimy w tym przypadku schować do kieszeni. Bo rzepak nie jest królem wydajności. Z obsianego nim hektara rocznie można uzyskać około 1600 litrów paliwa. Ale już z hektara plantacji palmy oleistej uda się wycisnąć jakieś 6 tysięcy litrów. Są jednak organizmy, dla których nawet taki wynik jest śmiechu warty.

To mikroskopijne, jednokomórkowe glony. Są niemal w każdym zbiorniku wodnym – ponad połowa masy żywych organizmów w oceanach to właśnie one! To jeden z ważniejszych producentów tlenu i pochłaniacz dwutlenku węgla. Na ich konto trzeba zapisać aż jedną trzecią zachodzących na ziemi procesów fotosyntezy. A że znamy ponad 20 tysięcy ich gatunków, to można znaleźć taki, który będzie dobrze sobie radził w dowolnym miejscu na świecie.

I już pojawili się spryciarze, którzy chcą na tym zrobić biznes. W listopadzie zeszłego roku ExxonMobil ogłosił, że inwestuje 600 milionów dolarów w badania nad glonami prowadzone we współpracy z firmą Synthetic Genomics. Firmę tę założył niejaki Craig Venter znany między innymi z rewolucyjnych osiągnięć w badaniu ludzkiego genomu, pracy nad sztucznym życiem i twardym, komercyjnym podejściem do genetyki. Trzeba tu jed-

nak dodać, że ExxonMobil nie był pionierem, a jedynie nadrabia straty do BP i Shella, które już kilka lat wcześniej rozpoczęły warte po kilkaset milionów dolarów badania nad biopaliwami. Ten wyścig ekobrojeń zastrzył jeszcze w połowie stycznia amerykański Departament Energii, przeznaczając 78 milionów dolarów na projekty badawcze nad biodieslem z glonów.

Bo glony są bezkonkurencyjnym kandydatem. Szacuje się, że niektóre gatunki mogłyby rocznie dostarczać nawet kilkudziesięciu tysięcy litrów oleju z jednego hektara hodowli (rzepaku, nie płacz). Trwają więc szeroko zakrojone badania nie tylko nad doborem (lub modyfikacją genetyczną) odpowiedniego gatunku, ale także nad optymalną technologią hodowli. Czy będą to otwarte, płytkie baseny, czy systemy zamkniętych rurek – jeszcze nie wiadomo.

Eureka – ścieki!

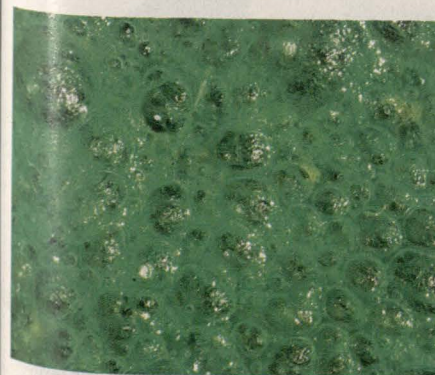
Wiadomo za to, że cały proces nie będzie tak prosty, jak sądzono jeszcze rok-dwa lata temu. Właśnie ukazały się wyniki badań naukowców z University of Virginia, którzy ostrzegają, by dobrze przyjrzeć się kosztom wytwarzania paliwa z glonów. Owszem, mają one fantastyczną wydajność, ale nie za darmo. Trzeba im dostarczyć sporo nawozów, by mogły pokazać, co potrafią. Na dodatek zużywają też duże ilości wody, potrzebują dodatkowych dawek dwutlenku węgla. Aha, jest jeszcze kosztowny energetycznie proces pozyskiwania z glonów oleju wymagający między innymi odwirowania ich z wody. Po zsumowaniu kosztów ekopaliwo z glonów nie wygląda już tak różowo, to znaczy – zielono. Na szczęście zespół profesora Andresa Clarensa stosuje się do biznesowej dewizy ojca motoryzacji Henry'ego Forda: „Nie przynoście mi problemów, przynoście rozwiązania”. Gdyby plantacje glonów zakładać przy oczyszczalniach ścieków, to złapałobyśmy dwie sroki za ogon. W ściekach komunalnych i rolniczych są zwykle wysokie stężenia

azotanów i fosforanów, a ich wyeliminowanie kosztuje i nie jest proste. Ale gdyby w podczyszczonych ściekach założyć hodowlę glonów, to zaoszczędziłoby się na usuwaniu tych związków i na dostarczaniu nawozów roślinom energetycznym. A co z dwutlenkiem węgla? Rozwiązanie opracowano już kilka lat temu. Dzięki niemu można poprawić standardy ekologiczne klasycznych elektrowni (i innych fabryk). Jak? Wychwytując produkowany przez nie dwutlenek węgla. Wystarczy, by oczyszczone z toksyn spaliny przepuszczać przez zbiorniki z gloniastą hodowlą.

Szejkowie znad Wisły

A co, jeśli doświadczenia z glonami jednak nie wypalą? Ekologiczne paliwo można wytwarzać na łądzie. I to wcale nie konkurując z produkcją żywności. Duże nadzieje wiąże się z trawami. Rosną szybko i byle gdzie. W Polsce do ich uprawy można by wykorzystać leżące odłogi grunty orne (obecnie około 1,5 miliona hektarów) oraz gleby skażone przez przemysł i transport (około 1,8 miliona hektarów). O Polsce wspominamy nieprzypadkowo. Od wielu lat w naszym kraju prowadzi się badania nad roślinami energetycznymi, w tym także trawami – spartina preriową i trzcinnikiem olbrzymim, czyli *Miscanthus*. Trawa ta w ciągu jednego roku dorasta do czterech metrów wysokości, a zbiór z hektara może dostarczyć tyle energii, ile 25 ton węgla! Nasza wiedza o trawach jest zresztą coraz rozleglejsza – w lutym w „Nature” opublikowano pracę o budowie genu trawy *Brachypodium*. Teraz ma ona szansę stać się organizmem modelowym, dzięki któremu poznamy procesy zachodzące w trawach i nauczymy się je kontrolować – tak by wpływać na rozwój roślin oraz wytwarzane przez nie substancje energetyczne.

Na koniec niespodzianka: Polska będzie miała w tym udział, bo współautorami badań nad *Brachypodium* są naukowcy z Wydziału Biologii i Ochrony Środowiska Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Może w przyszłości naszą energetyczną specjalnością przestanie być węgiel, a nad Wisłą zaroi się od szejków trawiasto- i glonowo-naftowych? □



Glony mogłyby dostarczyć kilkudziesięciu tysięcy litrów oleju z hektara hodowli

...i dla tych, co latają Czy koniec ery ropy oznacza koniec lotnictwa? Sytuację może uratować rydz

SAMOCHODOM TO DOBRZE. CHOĆ ŻAŁUJEMY IM ropy, w kolejce czekają już liczne pomysły na coraz to lepsze napędy. Tymczasem samolotom nie jest wcale łatwo. Od lat latają na lotniczej naftcie, czyli kerozynie stanowiącej prosty produkt destylacji ropy naftowej. Jednak ekolodzy kładą nam do głowy: „Ropa to zło! Jej spalanie zanieczyszcza i ociepla klimat”. Czym jednak ją podmienić, by się nie uziemić?

Przede wszystkim od razu możemy zapomnieć o tym, by samoloty latały napędzane silnikami innymi niż wykorzystujące spalanie paliwa. Nie tylko bowiem nie mamy innej podobnie efektywnej technologii, ale nawet brak nam pomysłu, na czym mogłaby się ona opierać. Dość wspomnieć, że duży samolot pasażerski waży 400 ton, a podnieść go z ziemi muszą cztery silniki.

Druga kwestia to konieczność zachowania status quo. Czas życia samochodu to jakieś 10 lat, dla samolotu okres ten jest trzykrotnie dłuższy. Jeśli chcemy już dziś uzyskać ograniczenie emisji gazów cieplarnianych (lotnictwo odpowiada za dwa procent z nich), to musimy wprowadzić rozwiązania, które można zastosować w obecnie latających samolotach.

W tej sytuacji pozostaje tylko jedno – nowe paliwo, które będzie dobrze działało w starych silnikach, a jednocześnie nie będzie pochodziło z ropy naftowej. I znowu samochodom jest łatwiej, bo rażąco łatwo jest napędzane etanolem. Tyle że nafta lotnicza niesie o 60 procent więcej energii, a w lotnictwie każdy kilogram podnoszony z ziemi to pieniądze. Nowe paliwo musi też świetnie sprawować się w bardzo niskich temperaturach – na wysokości 10 tysięcy metrów panuje od minus 40 do minus 60 stopni.

Skoro już tyle namotaliśmy, czas na rozwiązanie. W tej chwili poważnie bierze się pod uwagę dwa – GTL i BTL. Pod tymi skrótami kryją się nazwy opisujące sposób produk-

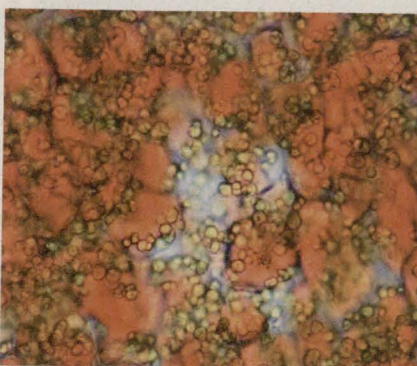


cji paliwa: Gas To Liquid i Biomase To Liquid. GTL to syntetyczne paliwo otrzymywane z gazu ziemnego, który przetwarza się do postaci płynnej. Na to rozwiązanie stawia Airbus, który w lutym 2008 roku przeprowadził pierwszy lot komercyjnego samolotu A380 napędzanego mieszkanką paliwa GTL i kerozyny. Zasoby gazu są znacznie większe niż pokłady ropy, a w dodatku uzyskane z niego paliwo wolne jest od siarki. Niestety, podczas jego spalania powstaje tyle samo dwutlenku węgla, ile podczas spalania paliw opartych na ropie, więc rozwiązanie do idealnych nie należy. Dlatego kolejnym krokiem, do którego dopiero zdąża Airbus, a który realizuje już Boeing, jest BTL, czyli paliwo wytwarzane z biomasy. Klasyczne biopaliwa zdążyły już narobić sobie fatalnej prasy, jednak w tym przypadku chodzi o znacznie nowocześniejsze rozwiązanie – biopaliwa drugiej generacji (o szczegółach czytaj obok).

Przede wszystkim produkowane są one z roślin, które nie konkurują z uprawami służącymi wytwarzaniu żywności. Może to być na przykład lnianka siewna – zapomniana do niedawna roślina, którą wyparł bardziej plenny rzepak. Ma ona jednak zasadniczą przewagę – świetnie rośnie na słabych glebach, na których inne rośliny sobie nie poradzą. To od lnianki zwanej kiedyś rydzem i jej wyjątkowo małym wymaganiom wzięło się przysłowie: „Lepszy rydz niż nic”.

Właśnie paliwo uzyskane z lnianki, glonów i jatrofy stanowiło 50 procent zawartości zbiorników podczas testowego lotu boeinga 747-300, który odbył się w styczniu 2009 roku. Co ważne, zarówno podczas testów Airbusa, jak i Boeinga, testowe samoloty nie były w żaden sposób modyfikowane – oba typy paliwa działały nie gorzej od kerozyny. Prawdę mówiąc, BTL miało nawet lepsze od niej parametry energetyczne.

Oczywiście spalanie biopaliw również powoduje emisję dwutlenku węgla, jednak trzeba pamiętać, że rośliny, z których powstaje paliwo, pochłaniają CO₂ podczas wzrostu. Zależnie od gatunku można uzyskać różny bilans końcowej emisji, jednak w porównaniu z paliwami kopalnymi biopaliwa to dla atmosfery i tak czysta przyjemność. □



Paliwo z jatrofy to same zalety. Krzew ma małe wymagania i dużą wydajność

Ta płatanina rur
i beczek to testowa,
działająca
w skali 100:1
wersja maszyny
do przetwarzania
plastiku



PETROELEKTRO PIOTR STANISŁAWSKI

Śmieci płyną prądem

Jak w kilku prostych ruchach zamienić kupę odpadków w kupę pieniędzy

Karton po mleku czy soku – marzenie producentów żywności i koszmarny specjalistów od recyklingu śmieci. Każdy ze składników tetra paku (jak nazywa się ten typ opakowania): plastik, karton, aluminium – powinien być osobno przetworzony i trafić w inne miejsce. Niestety, rozdzielenie kompozytowej kanapki graniczy z cudem – nie poradzi sobie z tym żadna maszyna ani człowiek.

Rozpuszczanie kanapek

Sprawa wydawała się beznadziejna, do czasu gdy przyjrzeni jej się specjaliści z polskiej firmy Kamitec. Skoro nie da się mechanicznie, to zabierzmy się do rzeczy chemicznie – uznali. I opracowali organiczny rozpuszczalnik, który – podgrzany – wypłukuje plastik sklejający warstwy tetra paku. Potem ciężka, namoknięta tektura opada na dno, płatki aluminium unoszą się na powierzchnię, a plastik pozostaje rozpuszczony w roztworze. Papiernia odkupi wysuszony surowiec, czyste aluminium łatwo można przetopić, a plastik...

Rozdzielenie kanapki to dopiero początek. Kamitec postawił sobie ambitniejszy cel – ze śmieci zrobić prąd i sprzedać go z zyskiem. Dziś większość odpadków trafia na wysypisko (to żadne rozwiązanie) lub do spalarni, która została stworzona do tego, by pozbyć się śmie-

ci, a nie po to, by czerpać z nich profity. Powstające w wyniku spalania ciepło to efekt uboczny, z którym coś staramy się zrobić. W zimie można nim ogrzewać mieszkania. Ale w lecie nikt od spalarni ciepła nie kupuje i interes przestaje się opłacać. W dodatku nikt nie chce spalarni w pobliżu miast (chciałbyś?), a one nie są w stanie dostarczać ciepła na większe odległości.

Rozwiązaniem jest przesyłanie prądu. Jedyny sensowny sposób przetwarzania energii cieplnej na elektryczną to użycie turbin paro-

wych. Nieefektywne i drogie. Dlatego Kamitec postanowił podejść do sprawy nietypowo. Skoro tworzywa sztuczne to pochodne ropy naftowej, to spróbujmy przetworzyć je z powrotem do postaci zbliżonej do ropy. Ale jak?

Przede wszystkim trzeba być realistą. W Polsce trudno o dobrze posortowane odpady. Proces musi być więc przygotowany tak, żeby surowcem mogły być i kotlety ze szkłem, i butelki z gazetami, i zardzewiałe śruby z foliówkami. Dlatego Kamitec postawił na kompleksowe przetworzenie odpadów komunalnych.

W skrócie cały proces sprowadza się do odzyskania wszystkiego poza plastikiem, a następnie rozpuszczenia go w specjalnie przygotowanym płynie. Potem powstały materiał gotuje się w temperaturze zbliżonej do 400 stopni: plastik zamienia się w ciecz, a później gaz. Ten po skropleniu staje się pełnowartościowym paliwem mogącym zasilać silnik Diesla. Nawet lepszym od tego ze stacji, bo bez siarki.

Prąd czeka na lepsze czasy

Skoro mamy już paliwo, to tylko od nas zależy, kiedy je zużyjemy. Agregaty Kamitecu czekają na czas, gdy jest największe zapotrzebowanie na energię i prąd można sprzedać po najwyższej cenie. Jeśli akurat popyt jest niski, paliwo trafia do zbiorników. No i prąd bez problemu można przesyłać setki kilometrów. Proste i genialne.

A co z biomasą i odpadami, które nie dały się przetworzyć na paliwo? Są suszone i pozbawiane chloru oraz innych niebezpiecznych substancji. Reszta poddawana jest procesowi zwęglania. W efekcie powstaje doskonały węgiel, na który tylko czekają elektrownie. I to węgiel zielony, bo pochodzący z recyklingu.

Cały ten proces Kamitec opracowuje od ośmiu lat. Przetestowano już wielokrotnie każdy etap. Teraz trwa w Toruniu budowa pierwszego zakładu przetwarzania odpadów. Stopniowo uruchamiany pełną sprawność uzyska za mniej więcej dwa lata. A wtedy, przetwarzając 500 kilogramów śmieci na godzinę, dostaniemy 17 megawatów czystej energii – dość, by zasilic 30-tysięczne miasto.

ROBIMY ROPĘ Z PLASTIKOWYCH ŚMIECI

PIERWSZY ETAP TO USUNIĘCIE ze śmieci szkła, metalu i zanieczyszczeń mineralnych. Tu używa się technologii znanych od dawna – są skuteczne. Po wysuszeniu i rozdrobnieniu masa śmieci trafia do maszyny nazywanej ekstraktorem. W nim zalewa się wszystko rozpuszczalnikiem organicznym i poddaje działaniu wysokiej temperatury, dzięki czemu rozpuszczają się tworzywa sztuczne przydatne do dalszego przetwarzania – składające się głównie z węglowodorów

poliolefiny. Na tym etapie odpada PCV – tworzywo zawierające chlor. Ma ono wyjątkową zdolność korodowania maszyn, więc nie może pojawić się w dalszej części cyklu. Wszystko poza poliolefinami zostaje wytrącone w postaci biomasy – o niej za chwilę. Z pozostałych tworzyw odparowany zostaje rozpuszczalnik, poliolefiny są poddawane rozkładowi w temperaturze około 400 stopni Celsjusza. Rozbite zostają długie łańcuchy stanowiące o ich wła-

ściwościach. To na tym etapie do cyklu trafia plastik, który rozpuściliśmy z naszego tetra paku. Efekt przypomina gotowanie plastiku – początkowo stały zamienia się w postać płynną, a następnie gazową. Teraz „plastikowy gaz” trafia do chłodnicy, które skraplają go tak, by rozdzielić całość na frakcje o różnej gęstości. I tu dzieje się rzecz najciekawsza – zmieszane w odpowiedniej proporcji skroplone pochodne plastiku są paliwem dla silników Diesla. Nie zawiera ono siarki, więc jego spalanie jest mniej szkodliwe dla środowiska.

SONY
make.believe

BRAVIA

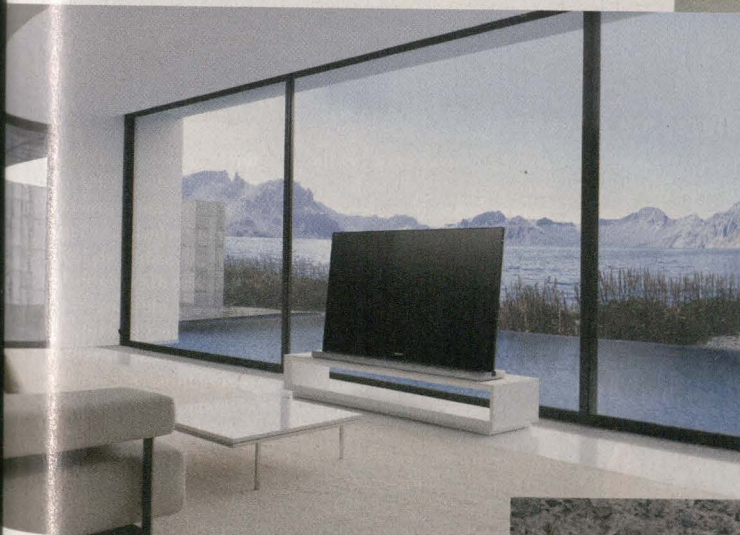
Monolityczne wzornictwo

Czas na zmiany -
nowy styl w każdym wnętrzu



Telewizory BRAVIA serii NX700

- proste, oryginalne, nowoczesne wzornictwo
- najwyższej jakości materiały
- dostęp do wybranych materiałów wideo z Internetu
zapewnia funkcja BRAVIA Internet Video



Telewizor można
odchylić o 6°
- zapewnia to
komfort oglądania,
także kiedy
odbiornik
jest ustawiony
na niskich meblach.



Więcej na www.sony.pl

Infolinia: (0)801 500 500 lub 22 33 88 700 (koszt połączenia wg taryfy operatora)

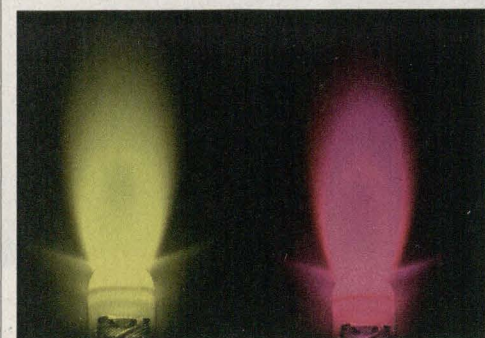
„Sony make believe” i „BRAVIA” są zastrzeżonymi znakami handlowymi Sony Corporation.

Światło przyszłości jest zimne

Świecić, nie grzać!
Najwyższy czas odejść
od źródeł światła, które
są tylko nieznacznie
lepsze od ognisk
i zamiast rozjaśniać
– rozgrzewają. Wreszcie
mamy technologię, która
na to pozwala – LED

JASNOŚĆ PIOTR STANISŁAWSKI

Klasyczna żarówka ma ponad 130 lat i jest rozpaczliwie nieefektywna – ponad 90 procent pożeranej energii przetwarza na ciepło. A przecież jej rolą jest świecić, a nie ogrzewanie. Szukamy więc rozwiązań bardziej wydajnych – no dobrze, nie tyle sami szukamy, co jesteśmy zmuszani do tego przepisami nakazującymi przesiadkę ze sztucznych źródeł światła drugiej generacji na generację trzecią. O co tu chodzi? Otóż pierwsza generacja to źródła wykorzystujące proces spalania – od ogniska, przez pochodnię, po lampę naftową. Druga generacja to właśnie lampy żarowe, czyli staruszki żarówki. Trzecia to lampy wyładowcze – pod tą nazwą kryją się wszelkiego rodzaju świetlówki. Również te nazywane żarówkami energooszczędnymi. Ale to nie koniec postępu. Zapewne wkrótce trzecia generacja zniknie pod naciskiem czwartej – światła elektroluminescencyjnych znanych lepiej jako diody świecące lub LED. To prawdziwe światło przyszłości.



Kolor to podstawa. Choć początkowo diody były tylko czerwone, dziś potrafią świecić niemal wszystkimi barwami, a na dodatek zahaczają o podczerwień i ultrafiolet. Do niedawna ich biel była trupioblada, jednak już potrafimy zmusić je do generowania bieli ciepłej, czyli światła zbliżonego barwą do słonecznego. Więcej o kolorach na następnej stronie.



Sto razy dłużej niż żarówka

Jedną z największych zalet LED-ów jest fenomenalny czas życia sięgający stu tysięcy godzin. To stukrotnie więcej niż w przypadku zwykłej żarówki, ale uwaga – liczba ta, podawana często przez producentów, może być

myląca. Żarówka żyje pełnią życia, świecąc stale jasno i równo, a potem nagle umiera. Tymczasem światło diody stopniowo, powoli przygasa. Dlatego w przypadku LED-ów mających oświetlać mieszkania czy biura za czas ich życia należy przyjąć okres, po upływie którego światło straci około jednej trzeciej swej pierwotnej intensywności. Poniżej tej wartości dioda staje się po prostu zbyt ciemna, by mogła nadal dobrze spełniać swoją funkcję. Dla większości LED-ów czas

ten to około 35–50 tysięcy godzin – wciąż znacznie więcej, niż może pracować zwykła żarówka. Świetlówki mogą pochwalić się lepszym wynikiem niż światła drugiej generacji, ale to wciąż tylko 10–15 tysięcy godzin. Jednak LED to nie tylko oszczędność, ale i wielka wygoda. Nie zdarzy się bowiem sytuacja, w której nagle zostaniemy zaskoczeni brakiem światła – po prostu coraz słabiej świecąca dioda nieuchronnie będzie nam przypominać o konieczności jej wymiany.



Jak zrobić lampy LED

Pojedyncza dioda świecąca to dopiero początek. By stała się przydatna dla zwykłego użytkownika, trzeba z niej zrobić lampę LED. Zwykle buduje się ją, łącząc kilkanaście czy kilkadziesiąt diod i umieszczając je w obudowie pozwalającej na wkręcenie do typowej oprawki. Ponieważ diody muszą być zasilane niskim napięciem, w oprawce żarówki montuje się zasilacz impulsowy zmieniający napięcie sieciowe 230 voltów na potrzebne diodom kilka lub kilkanaście voltów.

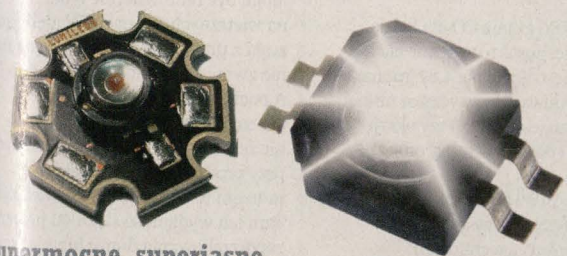
Diody świecące również wytwarzają ciepło, dlatego lampę wyposaża się czasami w specjalny radiator mający je rozpraszać. To niezbędne, ponieważ dioda nie emituje ciepła wraz ze strumieniem światła tak jak normalna żarówka. Odpowiedni radiator odprowadza ciepło w stronę przeciwną niż kierunek świecenia. Dzięki temu lampy diodowe doskonale nadają się do oświetlania obiektów, którym promieniowanie podczerwone mogłoby zaszkodzić – choćby roślin czy dzieł sztuki.



Sztuka tworzenia bieli

Diody świecące mają całe mnóstwo zalet, ale też pewną znaczącą wadę – nie potrafią świecić na białe. No bo czym ostatecznie jest białe światło? Wrażeniem, jakie wytwarza nasz mózg, gdy oczu odbiera mieszaninę różnych barw. Tymczasem LED-y z samej swej istoty działania potrafią generować światło niemal monochromatyczne – może to być kolor czerwony, zielony, niebieski czy żółty, ale nie wszystkie naraz. By uzyskać wrażenie bieli, stosuje się różne

sztuczki. Najprostsza z nich to oszukanie mózgu, który widząc jednocześnie światło czerwone, zielone i niebieskie wymieszane w odpowiednich proporcjach, odbiera je jako białe. Można więc umieścić koło siebie trzy diody w zestawie i odpowiednio nimi sterować, by świeciły w dokładnie dobrany sposób. Inną metodą to pokrycie diody luminoforem, który zmienia barwę światła emitowanego przez diodę.

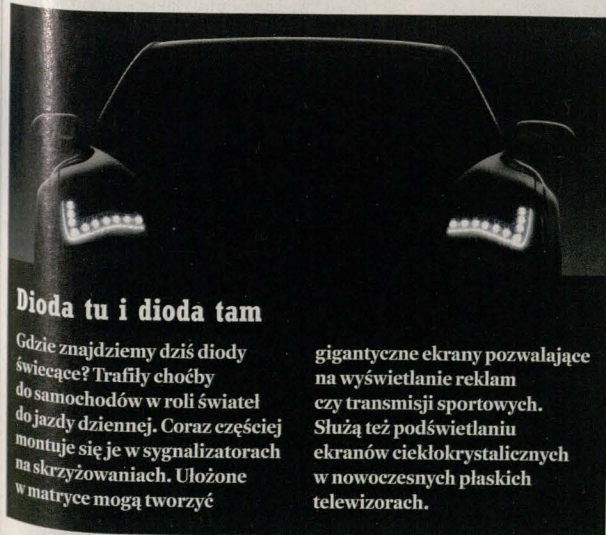


Supermocne, superjasne

Diody znamy od lat – świecą w rozmaitych kontrolkach, wyświetlaczach kalkulatorów, podświetlają tablice rozdzielcze. Jednak dopiero od niedawna możemy używać ich w roli normalnych żarówek. Co się zmieniło? Nauczyliśmy się

budować superdiody, które świecą światłem dość silnym, by nadawało się do poważnych zastosowań. To tak zwane High Power LEDs (HPLED), które są na tyle jasne, że pojedyncza dioda może zastąpić żarówkę w latarce. Połączenie kilku

takich diod daje równie dużo światła, co klasyczna duża żarówka. Wadą tych konstrukcji jest konieczność zastosowania systemów chłodzących – uruchomiona bez nich HPLED zakończy życie szybkim i efektywnym usmażeniem się.



Dioda tu i dioda tam

Gdzie znajdziemy dziś diody świecące? Trafiały choćby do samochodów w roli światła do jazdy dziennej. Coraz częściej montuje się je w sygnalizatorach na skrzyżowaniach. Ułożone w matryce mogą tworzyć

gigantyczne ekrany pozwalające na wyświetlanie reklam czy transmisji sportowych. Służą też podświetlaniu ekranów ciekłokrystalicznych w nowoczesnych płaskich telewizorach.

Active Jet

2008
KRYTYKA
2009

M
Liderzy Marki

JAKOŚĆ ROKU
ZŁOTO

activejet.com activejet.pl

LED – NOWOCZESNE ROZWIĄZANIA

- żarówki POWER LED odpowiadają halogenowi o mocy 35W
- redukcja kosztów o ponad 80%
- duża skuteczność świetlna
- czas świecenia 30 000 h

Wymień halogen 35W na żarówkę LED 2,8W



POWER CHIP LED

POWER LED



ENERGY SAVING

Active Jet

15W
75W

Active Jet

Active Jet

ŚWIETLÓWKI
KOMPAKTOWE

ActiveJet – sponsor grupy kolarskiej



Nie ochronisz ziemi przed wszystkimi zagrożeniami. Ale jest coś, co możesz zrobić dla przyrody. Oto kilka sposobów, by twoje życie szkodziło światu mniej

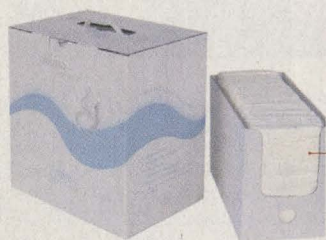
■ URSZULA DĄBROWSKA

1. NA SVOJE ŻYCIE WYBIERZ ODPowiednie Miejsce

Według prowadzonego przez Uniwersytet Yale rankingu EPI (Environmental Performance Index) najbardziej ekologicznym krajem w 2010 roku jest Islandia. Na ostatnim miejscu spośród 163 przebadanych państw uplasowało się Sierra Leone. Twórcy rankingu sprawdzili stan środowiska naturalnego kraju, zanieczyszczenie powietrza i wód, różnorodność biologiczną, ilość terenów zalesionych, poziom rolnictwa i zmiany klimatyczne, a także politykę państwa wobec ochrony przyrody. Polska zajęła 63. miejsce (USA – 61.) i nie jest to wcale wynik najgorszy w Europie. Za nami są Bułgaria, Grecja, Cypr, a nawet Belgia.

2. CHŁOŃ DOBRE WZORCE OD MAŁEGO

Dzisiaj liczy się ekologiczny chów nie tylko trzody i drobiu, ale nawet potomstwa. A kwestia pieluszek nie jest błaża. Zwyczajny pampers rozkłada się nawet 500 lat. Jako przeciętny bobas, zanim zaczniesz kontrolować fizjologię, zabrudzisz ich nawet pięć–sześć tysięcy. Rozwiązaniem są wielorazowe pieluszki. Niestety, zużycie wody, prądu i proszku do prania pieluszek materiałowych niweczy prawie cały trud ekologiczny. Nawet korzystanie z energooszczędnej pralki i ekologicznych detergentów nie pomaga. A pracy przy tym co niemiara. Oszczędź swych niewyspanych i umęczonych rodziców i wybierz salomonowe rozwiązanie: ekologiczne pieluszki jednorazowe. Może mniej estetyczne (zwykle be-



7 RAD NA DŁUGIE ZIELONE ŻYCIE (I ŚMIERĆ)

zowoszare), ale za to produkowane bez chloru. Do tego jedynie z naturalnych tworzyw (u niektórych producentów wyjątek stanowi sztuczna warstwa pochłaniająca wilgoć). To sprawia, że pieluchy ulegną biodegradacji, zanim pójdziesz do przedszkola.

3. JEDZ EKOLOGICZNIE

Nie chcesz przejść na wegetarianizm? Szkoda, bo to najlepszy sposób, by ograniczyć emisję gazów cieplarnianych i uratować parę żywych istot. Ale skoro nie możesz wyrzec się regularnych posiłków z białkiem zwierzęcym, zastanów się, jakie mięso wybierasz. Uwzględnij to, ile dwutlenku węgla wydziela się przy produkcji porcji odpowiadającej jednej kilokalorii. W ten sposób można porównać tylko chów zwierząt w przemysłowych hodowlach. Ale to przecież właśnie takie mięso jemy najczęściej. Zdecydowanie najmniej ekologiczne jest hodowanie owieczek. Jedna kilokaloria w jagnięcinie kosztuje przyrodę aż 25,97 grama dwutlenku węgla. Wołowina i wieprzowina do ekologicznych też nie należą – kilokaloria kosztuje odpowiednio 13,82 i 9,03 grama CO₂. Najmniejsza emisja gazu towarzyszy intensywnej hodowli drobiu (1,67 grama CO₂). Jednocześnie to ona budzi największy sprzeciw obrońców zwierząt. A co z żyłkami wodnymi? Krewetki raczej odpadają. Przy ich hodowli po-

wstaje 30,86 grama CO₂ na każdą kilokalorię. Łosoś to zupełnie ekologiczne mięso – jedynie 4,87 grama. Ale zdecydowanym zwycięzcą niskiej emisji gazu jest śledź. Przy okazji smaczny i bogaty w kwasy omega-3.

4. ROZMAWIAJ ZE SŁOŃCEM

Nie rezygnuj z korzystania z nowoczesnych technologii! Po prostu rób to mądrze. Obniżenie jasności monitora w laptopie i drukowanie dwustronne to dużo, ale możesz zrobić więcej. Na przykład zdecyduj się na telefon komórkowy z baterią słoneczną. Firma LG wprowadziła już taki model na polski rynek. To GD510 Eco Solar. Każde 11 minut kąpieli słonecznej twojego telefonu to trzy minuty rozmowy dla ciebie. Dodatkowo możesz śledzić, ile drzew chronisz w ten sposób przed ścięciem. Liczy to za ciebie specjalny program w komórce. I przyjemnie, i pożytecznie.

5. SEGREGUJ I RÓB, CO CHCESZ

Piwo w butelce czy w puszcze? Nieważne w czym, ważne, by było smaczne. A dla środowiska kluczowe jest, by opakowanie trafiło do recyklingu. Produkcja aluminium, z którego robi się puszki, pochłania mnóstwo energii. Jeden kilogram wymaga około 20 kilowatogodzin

energii elektrycznej. To tyle, ile 42-calowy telewizor LCD zużywa przez 100 godzin. Powtórne wykorzystanie aluminium pozwala zaoszczędzić nawet 95 procent prądu. Także użycie stłuczki szklanej do produkcji nowego szkła bardzo się opłaca. I producentom, i przyrodzie. Po pierwsze, oszczędza się na surowcach: sodzie, mące wapiennej i piasku. A po drugie, przedłuża się żywotność pieca i zmniejsza zużycie energii, bo stare szkło pozwala obniżyć temperaturę wytopiania surowca.

6. POSTAW NA PRZECIĄG

Jeśli zamieszkasz na północy kraju, twoje gospodarstwo w łatwy sposób może ograniczyć wydzielanie dwutlenku węgla do atmosfery. A ty możesz zaoszczędzić na prądzie. Wystarczy, że zbudujesz sobie wiatrak. Małe elektrownie wiatrowe mogą być rentowne, ale tylko na wietrznych terenach. W głębi łądy zyski z pracy wiatraka czasem nigdy nie zwracają kosztów jego produkcji. A poczynione dzięki jego pracy oszczędności w emisji gazu często nie rekompensują strat poniesionych przy produkcji. Ale wiatraki nad morzem to bardzo dobra inwestycja. Tam ich wydajność sięga 40 procent zapotrzebowania domu lub małego gospodarstwa. Dzięki temu koszt budowy zwróci ci się w ciągu roku.

7. UMIERAJ PRZYJAŹNIE DLA ŚRODOWISKA

Już teraz weź sprawy w swoje ręce. Przede wszystkim wybierz tradycyjny pochówek, a nie kremację. Ze spalaniem wiąże się emisja dwutlenku węgla. Po drugie, już dziś zainteresuj się swoją trumną. Dopilnuj, aby była zrobiona z niskogatunkowego drewna lub wikliny. Po co zakopywać w ziemi dębowe deski z drzewa, które rośnie kilkaset lat. Pamiętaj też, że kleje, farby i lakiery powinny być jak najbardziej naturalne. Dowiedz się od producenta, czy w trakcie ich rozkładu nie powstają trujące substancje. Jeszcze lepiej, jeśli zdecydujesz się na trumnę tekturową z makulatury (dostępne na polskim rynku). W końcu mniej znaczy więcej, a próżność post mortem nie przystoi. Za to dbanie o środowisko jak najbardziej.

Energia zostaje w domu, a zła pogoda na zewnątrz

Superenergooszczędne szyby zapobiegają stratom ciepła, co obniża wydatki na energię. To nie jedyna korzyść. Okna do poddaszy VELUX wyposażone są od zewnątrz w szyby hartowane, odporne na najgorszą nawet pogodę, a od wewnątrz w bezpieczne szkło klejone. Wpuszczają świeże powietrze i naturalne światło ale także ciepło promieniowania słonecznego. Niewątpliwie bezpieczeństwo i naturalne ciepło dodadzą pozytywnej energii Twojemu domowi.

Poznaj 5 kroków do domu pozytywnej energii na stronie www.velux.pl/pozytywnaenergia

Życie pełne światła

+
Pozytywna
energia

VELUX®

RATUJMY RATOWNIKÓW

PRZEZ LATA GROMADZĄ SIĘ W ICH GŁOWACH DRASTYCZNE OBRAZY I PRZEŻYCIA. TO DLATEGO POLICJANTÓW CZĘŚCIEJ NIŻ BANDYCI ZABIJAJĄ CHRONICZNY STRES I TRAUMA. **TE SAME DEMONY PRZEŚLADUJĄ STRAŻAKÓW I RATOWNIKÓW**

Ostatnia głośna tragedia ruszyła ministerialną bryłę z posad – resort sprawiedliwości przyspieszył prace nad zaostreżeniem kodeksu karnego. Za zabicie każdego, kto staje w obronie prawa – dożywocie albo 25 lat więzienia. Wyższe kary więzienia dla bandytów, którzy z bronią napadną na policjanta.

Koronny argument za zmianą przepisów: odstraszyć przestępców takich jak ci, którzy 10 lutego tego roku zabili Andrzeja Struja. Warszawski policjant, wracając w cywilu z zakupów, zwrócił uwagę dwóm przeklinającym nastolatkom. Gdy funkcjonariusz wszedł do tramwaju, chuligani rzucili w wagon koszem na śmieci. Motorniczy zatrzymał tramwaj, policjant wysiadł. Zaczęła się szarpanina, jeden z napastników, Mateusz N., wyciągnął nóż. Mimo reanimacji raniony Andrzej Struj zmarł.

Argument drugi: podobne ataki to niemal codzienność. Oto przykłady z ostatniego tygodnia. 2 marca wieczorem w Puławach trzech pijanych nastolatków rzuciło się na policjanta, który po służbie wracał do domu. Poturbowany funkcjonariusz schronił się w pobliskim sklepie. Tego samego wieczoru w Podzamczu w Lubelskiem rozwścieczony mężczyzna ruszył z siekierą na policjanta. Ten strzelił dwa razy w powietrze, dwa w ziemię, ale furiat wciąż szedł w jego stronę. Stał dopiero po strzale w udo.

Na koniec, by nie było żadnych wątpliwości, statystyka: w ciągu ostatnich 12 lat z rąk bandytów zginęło co najmniej 126 policjantów, czyli średnio 10 rocznie.

Ale jeżeli dobrze przyjrzeć się danym, wtedy okaże się, że bandyci nie są aż tak groźni

dla funkcjonariuszy jak zawodowy stres i trauma. Są one na przykład – zdaniem psychologów – główną przyczyną policyjnych samobójstw. W ubiegłym roku 30 funkcjonariuszy próbowało odebrać sobie życie, 20 nie udało się uratować. Rok wcześniej na życie targnęło się 24 policjantów, 17 niestety skutecznie.

Tylko nieliczni mają odwagę przyznać, że robota wysysa z nich siły. Inni, gdy nawet chcą do siebie wyrzucić i umawiają się na spotkanie, w końcu nie przychodzą. Albo rozmawiają godzinami, lecz na koniec proszą, żeby jednak o słabości nie pisać. Bo nikt nie chce wyjść na mięczaka, który poci się na samą myśl o pracy.

Nie znoszę pożarów

Policjant A. nerwowo się śmieje i co chwila natrętnie powtarza jedno słowo: tak.

– Nie wierzę w twardzieli, tak. Ale trzeba mieć w sobie twardość, skoro widzi się całe to bagno, jakiego inni nie muszą oglądać, tak. Wchodzi się do mieszkania, tak, i co widać? Martwe dziecko, którym ojciec rzucił o ścianę.

Z kolei strażak B. zapłata i rozplata palce. Zapłata, rozplata. Jego koledze strażakowi C. drżą nogi. Niby siedzi, a jakby zaraz miał się poderwać.

Każdy z nich jednocześnie zapewnia, że uwielbia swoją pracę. To prawda, że robota jest wyczerpująca, ale potrzebna. Zresztą co mieliby powiedzieć? Że chcą skoczyć do gardła szefowi, który wysłał ich na ryzykowną akcję, a potem nie podziękuje? Że mają dość gapiów, którzy robią zdjęcia komórkami? Albo że zaczyna ich prześladować zapach krwi? Widok kawałka nogi w bucie?

Weźmy wezwanie do otwarcia, jak mundurowi nazywają akcję wyłamania drzwi i sprawdzenia, czy w mieszkaniu nie leży trup.

Strażak pierwszy: – Drzwi były antywłamaniowe, więc my podnośnikiem na siódme piętro. Czerwiec, piękna pogoda. A tam kobieta martwa od dawna, już się rozplywa, bez twarzy, w robakach, w muchach. Muchy z tego trupa, wyobraź sobie, lecą do ciebie. Do oczu, do nosa.

Strażak drugi: – Po akcji tak śmierzimy, że trzeba się szorować i wszystkie ciuchy są do prania. A takich wezwań jest coraz więcej. I coraz więcej wypadków.

Pierwszy: – Wolę wypadki, nie znoszę pożarów.

Drugi: – A ja pożary znoszę, nienawidzę wypadków.

Jest adrenalina, jest OK

– Z policjantami jest nieco inaczej niż ze strażakami – wyjaśnia profesor Nina Ogińska-Bulik, psycholog z Uniwersytetu Łódzkiego. – Strażacy częściej doświadczają stresu ostrego, a policjanci cierpią na ogół z powodu stresu chronicznego, kumulowanego latami. Podobnie jak ratownicy medyczni – dodaje profesor, która od lat bada tę problematykę. Z analiz psycholog można się dowiedzieć, że na przykład ratownikom najbardziej dokucza poczucie zagrożenia. Do tego żalą się na złe warunki pracy. Z kolei funkcjonariusze policji to najbardziej wyczerpana emocjonalnie grupa zawodowa.

I to akurat nie jest jakaś wyłącznie polska słabość. Z badań przeprowadzonych w Wielkiej Brytanii wynika, że tam połowę policjantów psychicznie wyczerpuje moment aresztowania przestępcy. Na 100 policjantów 38 przeżywa stres, gdy rozmawiają z ofiarą przemocy. Stresujące jest ponadto zawiadomianie o czyjejś śmierci i chodzenie do sądów na rozprawy.

A i tak najgorsze są te wszystkie obrazy, których w żaden sposób nie można wymazać z pamięci.

Tomek, 11 lat w straży pożarnej, ale od 4 lat już nie wyjeżdża do akcji. Siedzi w dyżurce i przyjmuje zgłoszenia.

– Był taki wypadek – wspomina. – Płonęła altana, wchodzimy, a tam człowiek siedzi w fotelu. Spieczony jak kurczak. Skóra brązowa, →





→ kości wychodzą jak w drobiowych skrzydełkach.

– Bzdury – ocenia sanitariusz Roman, który 15 lat przejeździł w karetkach. Do tego był też dwa razy na misjach wojskowych w Libanie i dwa razy w Iraku. – Spalony człowiek nie skojarzy się z kurczakiem. Kurczak pachnie, a po człowieku zostaje smród niepodobny do niczego. Wcisną się w mózg, że aż oczy łzawią.

Gdy wybuchła pralnia w Diwaniji, Roman wynosił z pogorzeliska spalone kawałki dwóch kobiet. – Człowiek od tego i rzygał, i płakał – opowiada. Teraz może się do tego przyznać. Kiedyś nie chciał nic mówić, szczególnie psychiatrze, z którym rutynowo rozmawia każdy powracający z misji.

– Co on mógłby mi doradzić? Czy wie, jak to jest, gdy równocześnie ma się 25 rannych i zabitych? Na początku oczywiście człowiek działa jak automat. Wyciąga, układa, segreguje. Ten do szpitala, ten do kostnicy. Szyb-

ko, szybko. Jest adrenalina i jest OK. Dużo gorzej, gdy już nie trzeba się spieszyć. Gdy zostaje umycie ostatniego martwego ciała, podwiązanie bandażami pourywanym rąk, żeby trzymały się tułowia. Wtedy dopada cię to straszne uczucie bezsilności, że czyjeś życie przepadło.

Roman, gdy o tym mówi, co chwila łapczywie wciąga powietrze. Od ostatniej misji coś go dusi. – To z nerwów – tłumaczy. Tam duży go po każdej akcji. Myślał, że po powrocie mu przejdzie. Nie przeszło. Rzucił tę robotę.

Dwa miesiące huśtawki

Co roku z wielkopolskich komend policji i komisariatów odchodzi średnio 300–400 osób. – Najczęściej z powodu wypalenia lub ostrego stresu, braku pewności co do uprawnień emerytalnych i braku perspektyw – mówi „Przekroju” podinspektor Andrzej Szary, przewodniczący wielkopolskiego ZW NSZZ Policjantów.

Gdy jesienią 2008 roku sekcja psychologów bydgoskiej komendy przeprowadziła wśród policjantów anonimowe ankiety, niemal wszyscy przyznali, że stres jest stałym elementem ich służby. W wielu przypadkach zniszczył im życie rodzinne, doprowadził do alkoholizmu.

Rok wcześniej podczas badań poznańskich funkcjonariuszy zapytano policjantów między innymi o zadowolenie z pracy. Co czwarty z nich nie był zadowolony. Co im dokuczało? Odpowiedzi były takie: brak wsparcia przełożonych, brak awansu, brak finansowych nagród.

Sierżant sztabowy Michał Wojtkowiak z Poznania zapewnia, że jemu akurat o finansowe wyróżnienia nie chodzi. – Nie ratuje się ludzi dla pieniędzy – podkreśla. W ubiegłym roku wraz z dwoma kolegami odebrał Krzyształow Gwiazdę, symboliczną nagrodę wręczaną wielkopolskim policjantom za szczególne poświęcenie na służbie.

– Dostaliśmy sygnał, że w mieszkaniu na osiedlu Wichrowe Wzgórze kobieta chce sobie odebrać życie – wspomina. – Wyważyliśmy drzwi. W wannie leżała para: kobieta i mężczyzna. Podcięte żyły, krew. Kobieta raz odzyskiwała przytomność, raz ją traciła. Trzeba było ją wyciągnąć, reanimować. To, co zwykle. Tyle że po akcji okazało się, że i ona, i on są zarażeni HIV.

Policjanci musieli zrobić badania, czekać na wynik. Potem kolejne badanie kontrolne, więc znowu nerwy. Dwa miesiące huśtawki, a sierżant sztabowy Wojtkowiak wciąż mi teraz, że wcale się nie bał i nie miał ochoty rzucić pracy w policji w diabły.

Odejść od Boga, ale nie z pracy

– Nie trzeba jechać do Iraku, żeby przeżyć makabryczną próbę – mówi młodszy brygadier Daniel Kowaliński z jednostki straży pożarnej w Kamieniu Pomorskim. Jego oddział walczył z najtragiczniejszym w ostatnich latach pożarem, który wybuchł w nocy 13 kwietnia ubiegłego roku w domu socjalnym przy Wołńskiej.

Gdy przyjechali pierwsi ratownicy, jeszcze nie wszystkie okna zajął ogień. Stali w nich ludzie i krzykali: „Ratunku!”. Ale na początku była tylko jedna drabina.

– I czterech strażaków – wspomina Kowaliński. A ci są wyszkoleni tak, żeby ludzi ratować metodycznie. Tyle że jak ktoś robi ze strachu w majtki, to nie ma zamiaru czekać w kolejce do strażaka. Chce żyć. Gdy dowódca zespołu stał na szczycie drabiny, rzuca się na niego pierwsza kobieta. W panice pcha się, napiera. Jeszcze chwila i spadną oboje. A w oknach obok czekają kolejni. Kto nie może się doczekać, skacze. Jakaś kobieta leci ciężko poparzona. Inna wyrzuca dziecko, ale sama nie ma odwagi odbić się od parapetu. Ginie w płomieniach jak 22 innych mieszkańców tego domu.

Strażacy mówią, że gdy policzyli wszystkich martwych, to zupełnie jakby ktoś ich kowadłem walnął w brzuch. Taki to był ciężar. Ponad siły człowieka. Jeden młody wrócił do domu, zobaczył rodziców, rozplakał się. Drugi, stary, doświadczonego, zaczął się trząść, gdy żona postawiła przed nim talerz gorącej zupy.

– Trzeba było te emocje przetrwać, porozmawiać o nich – tłumaczy młodszy brygadier Kowaliński. Po pierwsze, opowiedzieć komuś o diabelnym stresie podczas gaszenia. Po drugie, pogadać o traumie, gdy wyciągali już same zwłoki. No i o tym, że jeszcze trzeba było wytrzymać szczegółowe dochodzenie. A to kolejna męczarnia. Jak z mokrej szmaty wyciska się wtedy z człowieka każdy detal – gdzie w danej minucie stał, co robił. I czy mógł coś zrobić lepiej. W domyśle – czy mógł uratować więcej ludzi.

Mieli rozmowy z psychologiem, obóz terapeutyczny. – Ale co się komu i jak poukładało w głowie, to trudno wypowiedzieć – mówi

młodszy brygadier Kowaliński. Jemu na przykład w skrajnie ciężkich momentach pomaga Bóg. – Tyle że jak ktoś ma kruchą wiarę, to po takim piekle może od Boga odejść – przyznaje.

I niech nikt go już po tym wyznaniu nie pyta, dlaczego czasem strażak woli odejść od Boga niż z pracy.

Blondynek w głowie

Zapytałam o to młodszego brygadiera Cezarego Dobrodziej. Wykłada psychologię w Szkole Głównej Służby Pożarnej i potwierdza, że część strażaków nie ma już ochoty do pracy, a mimo to wciąż trwa na posterunku. – Ludzie boją się odejść ze służby – tłumaczy Dobrodziej. – Myślą: to jednak stabilizacja, świadczenia, uznanie społeczne. Z takiej pracy się nie rezygnuje.

W 2000 roku, gdy udało się dość gruntownie przebadać psychikę strażaków, u mniej więcej ośmiu na stu rozwijał się zespół stresu pourazowego, czyli PTSD (*posttraumatic*

Koniec końców sama tylko świadomość, że coś strasznego znów się wydarzy, zaczyna paraliżować. Wtedy człowiek już wcale nie chce wyjść do pracy

stress disorder). Mechanizm jest prosty – umysł zapisuje obrazy związane ze śmiercią, z ranami, zagrożeniem życia. Trudno je skasować.

Na przykład młodszy brygadier Dobrodziej w głowie ma cały czas martwego dwupiętelnego blondynka. – Za każdym razem, gdy widzę podobne dziecko, wraca tamten smutek – mówi. – Mnie to akurat przestrasza, bo ja wiem, że ludzki umysł działa na zasadzie twardego dysku w komputerze. Zdarzenia się zapisują tam w kolejnych folderach: wypadki z dziećmi, wypadki z udziałem kobiet, spalone ciała. Tak więc jest oczywiste, że na zasadzie skojarzeń co jakiś czas na wierzchu wyłazi obraz, o którym chciałoby się zapomnieć. Ale przecież zapomnieć się nie da. Trzeba się z tym pogodzić.

Dobrze by jednak było, żeby człowiek miał czas na segregowanie tych wszystkich obrazów, racjonalizowanie ich. Czyli mówiąc krótko – na dojście do siebie. Tyle że policjanci, strażacy czy ratownicy aż tyle czasu nie mają, bo muszą szybko wracać do zawodowych obowiązków.

Przez ten pośpiech zdarzenia nakładają się na siebie, wspomnienia kumulują. Powracają nieustannie w postaci natrętnych myśli, nieznomych makabrycznych snów. Trzeba to wszystko przeżywać od nowa. Aż koniec końców sama tylko świadomość, że coś strasznego

go znów może się wydarzyć, zaczyna paraliżować. Wtedy człowiek już wcale nie chce wyjść do pracy.

– Zwykle towarzyszą temu nerwice, fobie oraz myśli samobójcze. A dotyka to przynajmniej 1,5 tysiąca strażaków – wzdycha młodszy brygadier Cezary Dobrodziej. – Zresztą to tylko jedna z wielu konsekwencji służby. Są jeszcze depresje, alkoholizm, dysfunkcje seksualne.

– Nie ma specjalnych środków na etaty dla psychologów – rozkłada ręce Paweł Frątczak, rzecznik prasowy straży. – Trzeba je wykrajać z tego budżetu, który mamy.

Na razie więc w straży pożarnej jest 14 psychologów, a strażaków – 30 tysięcy. W Olsztynie fachowiec od psychiki pracuje na jedną czwartą etatu, w Szczecinie – zaledwie na pół. Zupełnie bez psychologa muszą się obejść strażacy we Wrocławiu, w Toruniu, Gorzowie Wielkopolskim, Rzeszowie, Białymstoku. – Psychologów już wkrótce będzie dwa razy więcej – zapowiada młodszy brygadier Dobrodziej. Ale to i tak da stosunek: jeden psycholog na ponad tysiąc strażaków.

Pod tym względem 98 tysięcy policjantów ma o niebo lepiej. Do ich dyspozycji pozostaje 175 fachowców, do tego trzeba doliczyć kilkunastu we wszystkich szkołach policyjnych. Poza tym w Warszawie w Komendzie Głównej Policji działa infolinia psychologiczna, choć konia z rzędem temu, komu policja zdradzi, ilu funkcjonariuszy z niej korzysta. – Jest za interesowanie, ale statystyki nie są prowadzone – ucina Grażyna Puchalska z biura prasowego KGP.

„Psycholog w pogotowiu?! Piękne, ale, niestety, pozostaje w sferze marzeń! – napisał na forum ratowników medycznych w końcu stycznia użytkownik ricko1st. – Na pewno by się przydał, bo niejednokrotnie po powrocie z »wrednego wyjazdu« człowiek chętnie odreagowałby swoje napięcie rozmową z kimś, kto w jakiś sposób potrafiłby zwyczajnie nas wysłuchać. Strażak czy policjant ma taką możliwość, a my...”

Szczekać na widok człowieka

– Ja z wszystkimi rannymi i zabitymi, których mam w głowie, świetnie sobie radzę – zaklina się Roman. Ten, który 15 lat pracował jako ratownik i był na czterech misjach. – Ale na przykład nie mogę oglądać filmów o zabijaniu, zaraz rzycę.

No i po ostatniej misji miał kłopoty, żeby dogadać się z żoną. W końcu się rozwiódł. Długo był odludkiem, nie chciał się z nikim spotykać, wciąż nie ma stałej pracy. – Na widok człowieka miałem ochotę szczekać – opowiada.

Minęły dwa lata, odkąd nie jeździ w karetce i nie musi się zrywać w środku nocy, żeby pomagać innym. – Ale to i tak raczej drzemki, naskłuchiwanie – tłumaczy. Śpi tak samo nerwowo jak wtedy, gdy musiał biec na każde wezwanie. □



ROZMOWA KAROLINA PASTERNAK

Zasypiałem z Kaczyńskim

Jak kłamie władza i po co łyż w filmie o polityce – mówi nam **Tomasz Sekielski**, którego „Władcy marionetek” mają wstrząsnąć opinią publiczną

Chciał pan zostać polskim Michaeliem Moore'em?

– Niezupełnie. Moore prowadzi widza za rączkę, tłumaczy mu, co ma myśleć, w którym momencie się śmiać. We „Władcach marionetek” interpretacja zdarzeń należy do oglądającego. Chociaż jeśli nasz dokument ma odnieść taki sukces jak filmy Moore’a, to dobrze, nie mam nic przeciwko temu porównaniu (*śmiech*). Miałam na myśli to, że od dawna nie mieliśmy w Polsce dokumentu rozliczającego polityków. Stąd skojarzenie z Moore'em. Może jeszcze „Jak to się robi” Marcela Łozińskiego obnażało mechanizmy polityki.

– „Jak to się robi” był sfilmowanym eksperymentem quasi-naukowym. Łoziński pokazuje, jak można manipulować jednostką i jak ta jednostka może z kolei manipulować zbiorowością. My pokazujemy, jakie przełożenie ma polityka na życie obywatela. Co się dzieje z deklaracjami, gdy kamery zostają wyłączone. To nie jest atak na polityków, ale co najwyżej rozliczanie ich z obietnic i słów. Wracamy do spraw, o których wszyscy dawno zapomnieliśmy.

Między innymi do głosnej akcji Platformy Obywatelskiej pod hasłem „4×TAK!”, podczas której zbierano nasze głosy

• **Amerykański autor filmów dokumentalnych**, laureat Oscara (za „Zabawy z bronią”) i Złotej Palmy (za „Fahrenheit 9/11”)

za referendum w sprawie działań poprawiających wpływ obywateli na politykę, a później te stosy papierów wylądowały w niszcarkach. Do posła Janusza Palikota, który tylko obiecywał zebrać lub przekazać z własnej kieszeni 200 tysięcy złotych piekarsowi rozdającym chleb bezdomnym, ale nic nie zrobił. Do Zbigniewa Ziobry, który oskarżył doktora G. o śmierć pacjenta, przez co gwałtownie spadła liczba transplantacji. Tego typu przykładów jest sporo. Ilość materiału, który pan zebrał, robi wrażenie.

– Był taki moment, że kładłem się spać i wciąż miałem przed oczyma Tuska i Kaczyńskiego. Obejrzenie archiwów, wydzwonienie ludzi, połączenie ich historii – to była benedyktyńska praca. Ale pomagało mi mnóstwo osób: Grzegorz Madej, współautor filmu, Marcin Litewka, główny montażysta, i wielu innych.

Po co zrobił pan ten film?

– Chcieliśmy się zastanowić, jaką w dzisiejszej polityce, w której rządzą specje od marketingu, bierze się odpowiedzialność za słowo. Czy nie

jest tak, że zbyt często zapomina się o politycznych deklaracjach.

Fakt medialny żyje krótko. To też wina nas, dziennikarzy.

– Oczywiście, sam się na tym łąpie: myślę czasem o jakiejś aferze i nie mam pojęcia, jak się zakończy-

Dokument Tomasza Sekielskiego pokazuje, jak w walce o góry pieniędzy politycy oszukują i zwodzą obywateli

ła. A politycy na tym korzystają. Żeby było jasne, nie uważam, że wszystko w polskiej polityce jest złe. Chciałem tylko pokazać, że zagonienie się w polityczne public relations ma fatalne skutki. Chciałem zabrać głos w dyskusji.

Zabrał pan ten głos tuż przed kampanią prezydencką. Chce pan na nią wpłynąć?

– Ależ skąd! Choć pewnie będą tacy, którzy na siłę zaczną szukać drugiego dna. Ten film został zmontowany, zanim Donald Tusk zadeklarował, że nie weźmie udziału w wyborach.

Informacje, które przedstawia pan w filmie, są dla premiera kompromitujące. Pokazuje pan debatę z 2007 roku. Tusk opowiadał w niej, że rozmawiał w szpitalu w Skarżysku-Kamiennej z pielęgniarką Ewą, co okazuje się nieprawdą.

– Z tego, co udało mi się ustalić, sięgnięto po dane pielęgniarki, która tam naprawdę pracuje, ale premier z nią nie rozmawiał. Tymczasem w debacie użył sformułowania: „Pani Ewa, którą spytałem, dostała...”. Prawdopodobnie ktoś mu to doradził, żeby wypadł bardziej swojsko. Zamierzałem o tym porozmawiać z Tuskiem, ale niestety nie chciał udzielić mi wywiadu.

Historia pielęgniarki Ewy łączy się w pewnym sensie z tym, co Artur Domosławski napisał w „Kapuściński non-fiction” o reporterze. Przecież w dziennikarstwie też manipuluje się słowem, a nawet faktami.

– I film o dziennikarstwie także byłby pasjonujący! Pytanie, kto go zrobi i kto sfinansuje (*śmiech*). Może jak zrobię parę filmów i będę niezależny, dobiórę się też do dziennikarstwa.

W filmie pyta pan polityków, czy nie kłamią. A panu nie zdarzyło się w pracy kłamać?

– Nie. Zdarzało mi się popełniać błędy. Na przykład gdy w „Teraz my” pokazaliśmy dom Romana Giertycha, który okazał się domem zupełnie innej osoby. Czym innym jest jednak błąd, a czym innym kłamstwo. W zawodzie dziennikarza kłamstwo jest niedopuszczalne.

Wydawałoby się, że w zawodzie polityka też.

– Jeden z bohaterów filmu na pytanie: „Dlaczego politycy kłamią?”, odpowiada: „Bo to chyba taki zawód: polityk”.

Nie obawia się pan oskarżeń o populizm?

Nie unika pan w filmie pokazywania łez, konfrontowania obywateli z politykami.

– Nie można abstrahować od ludzkich emocji związanych z tym, co robią politycy. Decyzje władzy mają konsekwencje dla życia obywateli: powodują łyż, sfrustrowanie. Wiem, że mistrzowie demagogii i populizmu, politycy, oskarżają mnie, że mój film jest też demagogiczny i populistyczny. Dla mnie „Władcy marionetek” to lustro, które im podstawiliśmy, by się wreszcie sobie przyjrzieli.

„Władcy marionetek”, reż. Tomasz Sekielski, Grzegorz Madej, emisja 14 marca, godz. 11.40, TVN24 i 15 marca, godz. 22.35, TVN



Niewidzialny przedstawiciel

Lady Ashton wcale nie jest szefową. Dyplomacja, którą się zajmuje, wcale nie jest unijna. I w zasadzie – to wcale nie jest dyplomacja

C. ASHTON
EU High Representative

Niedobrze, gdy trzeba być pesymistą, żeby mieć rację. Gdy 1 grudnia 2009 roku baronessa Catherine Ashton obejmowała urząd wysokiego przedstawiciela Unii Europejskiej do spraw wspólnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa, było wielu pesymistów. Dziś, po stu dniach jej urzędowania, jest ich jeszcze więcej. Wbrew szumnym zapowiedziom w UE nie istnieje wspólna polityka zagraniczna. Gorzej – widać wyraźnie, że nie istnieje nie tylko dlatego, że odpowiada za nią osoba bez odpowiednich kwalifikacji. Nie istnieje dlatego, że nie pozwala na to traktat lizboński; jego przyjęcie doprowadziło do tak dalekiego rozmycia kompetencji, że już nie wiadomo, kto i za co odpowiada.

Wspiera swoich i cudzych

Lady Ashton pracuje właśnie nad stworzeniem superefektywnego korpusu dyplomatycznego – Europejskiej Służby Działań Zewnętrznych (ESDZ). Nawet jeśli brzmi to nudnie, to wygląda dramatycznie. W założeniach miała to być struktura o rozmachu, jakiego Unia do tej pory nie widziała. Wszystkie przedstawicielstwa UE (a jest ich na całym świecie 135) będą miały status ambasad, zasiądzie w nich siedem tysięcy dyplomatów i urzędników (o dwa tysiące więcej niż dziś), a do dyspozycji będą mieli budżet liczony w milionach euro (jego dokładna wysokość ma być dopiero ustalona). I choć koncepcja ESDZ jest dopiero w powijakach, lady Ashton zdążyła już podpaść nie tylko Niemcom i Francuzom, ale nawet Brytyjczykom. Właśnie w tej kolejności.

Francusko-niemiecki gniew w postaci notatki sporządzonej przez MSZ w Berlinie przekieł do „Guardiana”. „Ashton faworyzuje swoich ludzi” – napisał londyński dziennik, powołując się na anonimowe źródło. Owi ludzie Ashton to czterech Brytyjczyków zajmujących kluczowe stanowiska (których jest 12) w ESDZ plus kilka ważnych funkcji dla znajomych dyplomatów. „Nadrepzentacja przedstawicieli Zjednoczonego Królestwa w ESDZ jest oczywista” – konstatowali niemieccy dyplomaci. Francuzi narzekali natomiast, że gdyby tylko Ashton mogła, na unijną placówkę do Kabulu też wysłałaby Brytyjczyka. A że ów Brytyjczyk pojechał tam jako wysłannik NATO, więc Londyn wcisnął pani minister drugiego swojego faworyta – popieranego przez ekipę Gordona Browna byłego szefa litewskiej dyplomacji Vygaudasa Usackasa.

Jednak o wiele większe gromy spadły na lady Ashton, gdy okazało się, że przedstawicielem Unii Europejskiej w Waszyngtonie zostanie João Vale de Almeida, bliski współpracow-

nik przewodniczącego Komisji Europejskiej José Manuela Barroso.

Ministrowie spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii i Szwecji, czyli młody jastrząb David Miliband i stary wilk Carl Bildt, przypuścili atak godny dwóch wspomnianych drapieżników. Nie mieli wątpliwości, że Almeida został przywieziony w tecze – Barroso zarządził, Ashton wykonała. Dlatego Miliband zaapelował o większą przejrzystość w doborze kandydatów. Bildt zadbał natomiast o merytoryczne uzasadnienie swego niezadowolenia. Według niego pozbawiony charyzmy Almeida jest bolesnym dowodem na to, że Bruksela zupełnie nie zdaje sobie sprawy z wagi stosunków transatlantyckich. Poprzednikiem Almeidy był twardy i skuteczny Irlandczyk John Bruton. „Bruton pokazał, że Amerykę da się zaangażować politycznie” – pisał szwedzki minister, dając do zrozumienia, że jego następcą znów postawi na nijakość.

– Nie wiem, czy Almeida będzie gorszy od Brutona – przyznaje John Wyles, komentator ukazującego się w Brukseli dziennika „European Voice”. – Moim zdaniem będzie, ale nawet jeśli się mylę, nie zmienia to faktu, że Barroso dokonał zamachu stanu. Instalując w Waszyngtonie swego współnika, poważnie osłabił pozycję baronessy.

– Nieprawda – odpowiada na to rzeczniczka szefowej dyplomacji UE Maja Kocijancic. – Catherine Ashton wyraźnie przecież powiedziała, że to była jej decyzja.

Nieprawda. Pani Ashton o niczym nie decydowała. Barroso po prostu poinformował ją o kandydaturze Almeidy. Jedyna grzeczność z jego strony – zrobił to z 24-godzinnym wyprzedzeniem.

Kakofonia stanowisk

John Wyles zgadza się z ministrem spraw zagranicznych Szwecji: – Wygląda na to, że Unii Europejskiej nie zależy na dobrych stosunkach ze Stanami Zjednoczonymi.

Wygląda na to, że jej zależy, tylko nie bardzo wie, jak to wyrazić. Nie udało jej się tego zrobić podczas grudniowego spotkania z amerykańską sekretarzą stanu Hillary Clinton. Trwało ono wprawdzie dłużej, niż planowano, ale nie przełożyło się na poprawę stosunków na linii Bruksela-Waszyngton. Kilka dni później na szczycie w Kopenhadze Barack Obama dogadał się z Chinami i Indiami za plecami Unii. A na początku roku poinformował, że nie weźmie udziału w szczycie USA-UE w Hiszpanii. Nic dziwnego – administracji Białego Domu wciąż łatwiej rozmawiać z poszczególnymi unijnymi krajami niż z jej ogólną reprezentacją. Unia jako partner do rozmów nie istnieje. Jej wspólne decyzje sprowadzają się a to do cofnięcia zgody na przekazywanie Amerykanom danych o kontaktach bankowych Europejczyków, a to do narzekania na wojnę w Afganistanie i traktowanie więźniów podejrzanych o terroryzm. Niektórzy członkowie UE (w tym Polska) miewają interesujące stanowiska w różnych sprawach do-

tyczących Stanów Zjednoczonych, ale 27 różnych stanowisk naraz to kakofonia, której nie da się wytrzymać.

Więc Amerykanie nie wytrzymują.

Cała masa przywódców

Unia Europejska ma dziś de facto trzy razy więcej prezydentów niż USA. Hermana Van Rompuy, który nie jest wprawdzie prezydentem, ale tak się go potocznie nazywa i jest bardzo ważny. José Barroso, który też nie jest prezydentem, ale jako szef Komisji Europejskiej jest jeszcze ważniejszy. I wreszcie José Zapatero, który tak w ogóle jest premierem, ale za to jego kraj do końca czerwca pełni w Unii

Lady Ashton dopiero zaczyna, więc zajmuje się na razie prostymi rzeczami. I zupełnie się w nich gubi

funkcję prezydenta. Ma też Unia szefa dyplomacji (o którym jego rzeczniczka mówi, że odgrywa potrójną rolę: kieruje polityką zagraniczną, bezpieczeństwem i przewodniczy Radzie Unii Europejskiej). A do tego jest jeszcze Rada Europejska i 27 niezależnych państw. To wystarczy, żeby nie móc zająć spójnego stanowiska w jakiegokolwiek sprawie. Gdyby wysokim przedstawicielem UE do spraw wspólnej polityki zagranicznej i bezpieczeństwa został ktoś o wiele bardziej doświadczony niż lady Ashton (Tony Blair na przykład), niczego by to nie zmieniło.

Powyższe nie znaczy wcale, że baronessa jest równie dobra jak były szef brytyjskiego rządu.

Jeszcze w listopadzie zeszłego roku wszyscy dali się przekonać, że Ashton nie została wybrana na swoje stanowisko ze względu na charyzmę. Braki w kompetencjach miała nadrobić zdolnościami negocjacyjnymi i skutecznością w pracy u podstaw. Dziś już

wiadomo, że jej zalet trzeba szukać jeszcze gdzie indziej.

– Wszyscy ją krytykują, bo tak jest najłatwiej – wyjaśnia rzeczowo Maja Kocijancic. – Ale to przecież początek drogi. Dajmy jej czas.

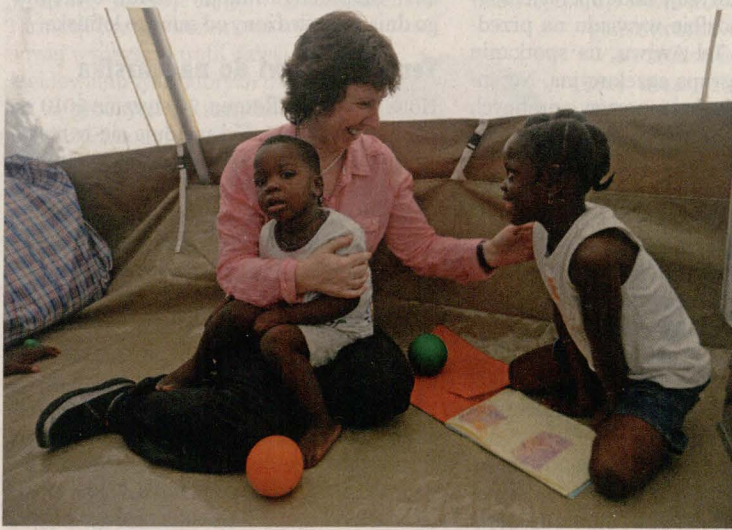
Właśnie, Ashton jest na początku drogi i na razie zajmuje się bardzo prostymi rzeczami. I zupełnie się w nich gubi. Pojechała na zaprzysiężenie prezydenta Ukrainy Wiktora Janukowycza. Kocijancic: – Słusznie, że pojechała. Dała jasny sygnał Ukrainie, że przygląda się jej poczynaniom.

Fakt. Kilka dni później, spotykając się z Janukowyczem w Brukseli, dała ten sygnał po raz drugi. *Repetitio est mater studiorum*. Problem w tym, że wybierając się do Kijowa, zaniedbała bardzo ważne spotkanie z szefem NATO i ministrami obrony państw UE na hiszpańskiej Majorce. Jej poprzednik Javier Solana nigdy by sobie na to nie pozwolił.

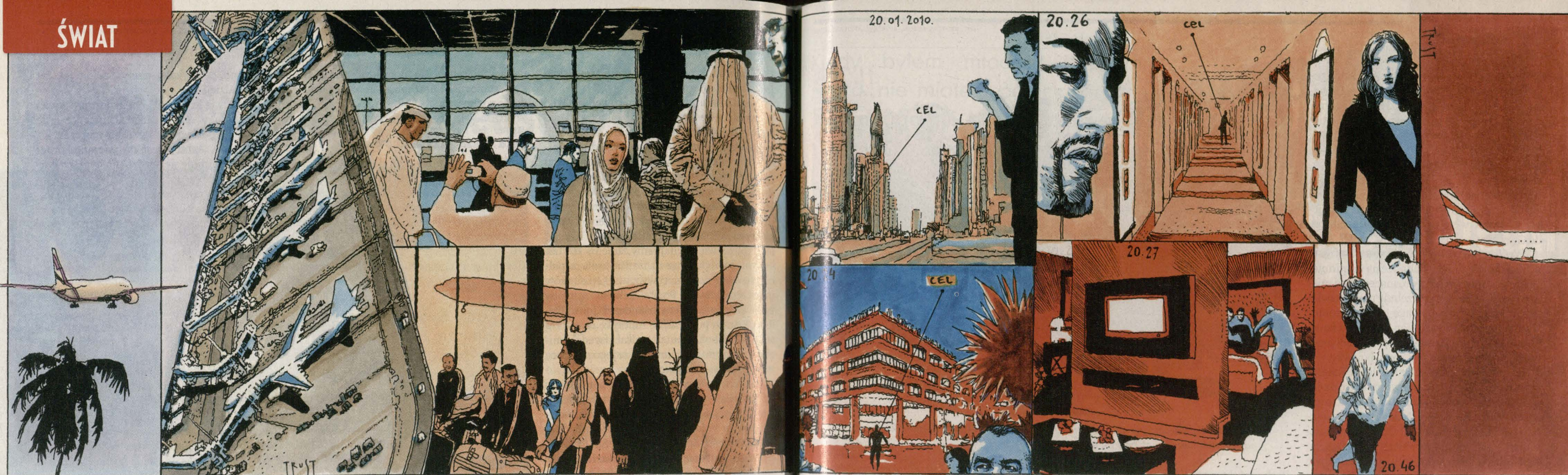
Kocijancic: – Pani Ashton nie mogła się rozdzielić. A José Barroso i Herman Van Rompuy mieli inne obowiązki.

Mieli. Jak donosi brytyjska prasa, pierwszy zjadł lunch z Kennethem Clarkiem, weteranem brytyjskiej Partii Konserwatywnej, a drugi wygłosił odczyt na Uniwersytecie w Brugii. Ich nieobecności na Majorce nikt nie zauważył. Nieobecność Ashton – owszem. – To znamienne, że dla podkreślenia wagi relacji UE-NATO mamy tu szefa Sojuszu, ale nie mamy wysokiego przedstawiciela Unii – mówi francuski minister Hervé Morin.

Majorca nie była pierwszym miejscem, na którym zabrakło wysokiego przedstawiciela. Na Haiti, gdzie trzęsienie ziemi zabiło co najmniej 220 tysięcy osób, dotarła dopiero półtora miesiąca po tragedii. W tym czasie inni wysyłali już pomoc do dotkniętych podobnymi kataklizmami Chile i Tajwanu. Wszystko wskazuje na to, że 17 marca zabraknie jej w Strefie Gazy, bo rząd Izraela właśnie cofnął jej zgodę na wjazd. Znów więc może być głośno o pani Ashton. Jak na Majorce powiedział holenderski minister obrony Jack de Vries: – Oto nieobecność przysporzyła jej sławy. □



Półtora miesiąca po trzęsieniu ziemi lady Ashton pojechała na Haiti. Krytycy twierdzą, że trochę zbyt późno



KONFLIKTY TEKST MACIEJ JARKOWIEC, ILUSTRACJE TRUST

Wschód bliski wojny

Po zamordowaniu w Dubaju jednego z palestyńskich liderów wnioski są dwa. Pierwszy: gdy zawodzą politycy, karty rozdaje Mossad. Drugi: do pokera zasiadł Iran. A to nie były szulery

Jeżeli – jak w 99 procentach przekonana jest dubajska policja – Mahmud Al-Mabuh z Hamasu zginął z rąk agentów Mossadu, to wyrok śmierci wydał Beniamin Netanjahu. Premier Izraela zawsze autoryzuje takie operacje, z reguły w siedzibie wywiadu na przedmieściach Tel Awiwu, na spotkaniu z szefem służby i grupą egzekucyjną. Netanjahu zapewne wysłuchał raportów z próbnych akcji, ale nad decyzją – jak na jastrzębiu przystało – długo się nie zastanawiał. Zebranie zakończyło zwyczajowe pozdrowienie premiera skierowane do agentów: „Naród Izraela ma do was zaufanie. Powodzenia”.

Żeby jednak poznać kulisy samej akcji, nie potrzebna jest wcale dziennikarska rekonstrukcja. Wystarczy połączyć się z Internetem i kliknąć na link na stronie „Przekroju”. Dubajska policja udostępniła bowiem zapis kamer przemysłowych minuta po minucie odslaniający przebieg operacji.

Lotnisko w Dubaju, 19 stycznia 2010 roku. Domniemani agenci Mossadu (Izrael oficjalnie nie przyznaje się do zamachu, ale na całym

świecie, także w Izraelu, opisuje się go jako dzieło Mossadu) przylatują z Paryża, Frankfurtu, Rzymu i Zurychu. Podejrzanych jest już w sumie ponad 20 osób. Przechodzą przez bramki bezpieczeństwa, pokazują paszporty. Cel – Mahmud Al-Mabuh – ląduje następnego dnia i jest śledzony od samego lotniska.

Tenisista mówi do nadgarstka

Hotel Al-Bustan Rotana, 20 stycznia 2010 roku, godzina 15.25. Cel melduje się w recepcji, jeden z agentów stoi obok. Dwóch innych w strojach tenisowych podąża za Al-Mabuhem do windy. Cel wchodzi do pokoju numer 230. Jeden tenisista mówi coś do swojego nadgarstka, a właściwie do umieszczonego na nim urządzenia komunikacyjnego. Zamachowcy zajmują pokój 237, naprzeciwko pokoju Al-Mabuha. 20.27 – dwóch agentów (w tym kobieta) monitoruje korytarz, kiedy zamachowcy dokonują zabójstwa (w domyśle, bo policja nie udostępniła zapisu momentu wejścia agentów do pokoju). 20.46 – ludzie Mossadu opuszczają hotel. 1.30 – po telefonach od żony Al-Mabuha obsługa hotelo-

wa wchodzi do pokoju. Al-Mabuh leży w łóżku. Nie ma śladów walki. Wygląda, jakby spał, ale nie można go obudzić.

Mimo tego kompromitującego rozszyfrowania operacji przez dubajską policję szef Mossadu Meir Dagan nie musi obawiać się o posadę. Nikt w Izraelu nie będzie na tyle szalony, by dziś nadszarpnąć renomę wywiadu. Z punktu widzenia żydowskiego państwa wokół niego znów zaciska się pętla. Świat bezradnie rozkłada ręce, gdy Żydzi alarmują, że Iran pracuje nad bronią jądrową. Hamas rządzi i dzieli w Strefie Gazy – szybko po powrocie do rozmów pokojowych nikt nie bierze na serio. Ostatnią libańską wojnę z Hezbollahem Izraelczycy de facto przegrali. Syria tylko czeka na potknięcie sąsiada. Uri Avnery, 86-letni działacz ruchu syjonistycznego, a potem pacyfistycznego, członek Knesetu wielu kadencji, „Przekroju” mówi krótko: – Sytuacja w regionie nigdy nie była tak zła.

W okresie burzy i naporu to właśnie Dagan – zatrudniony w 2002 roku przez innego jastrzębia Ariela Szarona – dowodzi na pierwszym, tajnym froncie wojny. Jak twierdzą źródła

dla bliskim izraelskim służbom – nie bez sukcesów. Mossad znacznie zwiększył aktywność w Libanie i Syrii. A przede wszystkim w Iranie. Bo to głównie reżim ajatollahów mać dziś w bliskowschodnim kotle.

Wegetarianin zleca zabójstwa

Jednym z największych bohaterów narodowych Izraela jest Eli Cohen, szpieg, który w latach 60. infiltrował syryjską elitę, aż został zdemaskowany i powieszony na miejskim placu w Damaszku. W żadnym innym narodzie uczucia wobec wywiadu nie są tak jednoznacznie pozytywne. Amerykanie, Anglicy czy Polacy czczą dzielnych żołnierzy ginących na frontach. Ale kochać agentów? Ludzi bez twarzy i nazwisk? Zgoda, oni są po naszej stronie, ale w ukryciu odwalają robotę brudną i moką. Skrytobójstwa, szantaże. To nie są bohaterowie na czytanke o patriotyzmie.

Zdecydowana większość Żydów uważa jednak, że ciemne sprawy Mossadu to sprawa całego narodu. Izrael bowiem musi za wszelką cenę przetrwać wciśnięty między wrogie kraje arabskie, znacznie przewyższające go ludnością i powierzchnią. Jest tak mały, że myśliwiec pokonuje jego terytorium wszędy w cztery minuty, nawet nie rozwijając prędkości ponaddwukrotnej. W razie konfrontacji siły zbrojne braki ilościowe muszą nadrabiać nie tylko wyszkoleniem i uzbrojeniem, ale przede wszystkim informacją. I tu wkracza Mossad. Jak pokazała historia, na przykład wojna sześciodniowa w 1967 roku – to między innymi dzięki wywiadowi Izrael rozstrzyga konflikty błyskawicznie, na terytorium wroga, wyprze-

dając uderzenia. Albo w ogóle dusi zagrożenie w zarodku – przez sabotaż bądź wojnę psychologiczną.

– Ludzie wielbią Mossad, jego mit jest mitem wojennym – tłumaczy Uri Avnery. – Agenci to w oczach społeczeństwa bohaterowie, bo zabijają tamtych, zanim tamci zabiją nas.

Większość Żydów obiema rękami podpisuje się pod słowami pierwszego premiera Dawida Ben Guriona, który na zarzut, że w tajnych operacjach Izraela giną niewinni Palestyńczycy, odpowiedział: „Ważne, żeby świat był pełen pokoju, braterstwa, sprawiedliwości i uczciwości. Ale jeszcze ważniejsze, żebyśmy my z tego świata nie zniknęli”.

Mossad, co po polsku znaczy po prostu Instytucja, powstał w 1951 roku. I choć – powtórzmy – zajmuje się głównie zbieraniem informacji czy sabotażem, do masowej wyobraźni trafił dzięki likwidowaniu tych, których uznano za groźnych dla Izraela. Ginęli już zachodni naukowcy pracujący nad nową bronią dla Iraku czy Egiptu, najbliżsi doradcy prezydenta Syrii, liderzy Czarnego Września, Organizacji Wyzwolenia Palestyny, Hezbollahu i Hamasu. Na listę wszystkich ofiar ledwie starczyłoby w tym artykule miejsca.

Na dodatek obecny szef Mossadu ma nie tylko ambicje, ale i służbowe polecenie, by nawiązać do najświetniejszych tradycji Instytucji. Zresztą Dagan też jest bohaterem narodowym – to we-

getarianin i artysta malarz z dyplomem akademii sztuk pięknych, weteran wojen sześciodniowej i libańskiej na skutek bitewnych ran podpierający się laską. Wedle słów jego towarzysza broni i politycznego promotora Ariela Szarona specjalnością Dagan jest „oddzielenie głowy Araba od reszty ciała”.

Premier wskazuje winnego

Pytanie tylko, czy strategia uprzedzania przemocy przemocą rzeczywiście poprawia bezpieczeństwo Izraela? Uri Avnery twierdzi, że nie: – Uniemożliwia dialog Izraela z Arabami, prowadzi do śmierci niewinnych ludzi (lista pomysłów Mossadu też nie jest krótka), a co najgorsze, sankcjonuje stan permanentnej wojny – mówi Avnery. Ostatnio ta strategia coraz bardziej rzutuje również na fatalny wizerunek

państwa żydowskiego za granicą. Wiele środowisk (również w Izraelu) niezmordowanie protestuje przeciw blokadzie Strefy Gazy uderzającej nie tyle w Hamas, ile w zwykłych Palestyńczyków (zobacz „Przekrój” nr 4/2010). Tym razem dyplomatyczną awanturę wywołało to, że agenci wysłani do likwidacji Al-Mabuha posługiwali się fałszywymi paszportami Wielkiej Brytanii, Irlandii, Francji, Niemiec oraz Australii. Opinia publiczna w tych krajach zażądała zaostrzenia polityki wobec Izraela.

Ale Netanjahu – z poparciem większości Żydów – niezmiennie twierdzi, że to władający →



Meir Dagan,
szef Mossadu
od 2002 roku,
weteran, inwalida
wojenny oraz malarz

→ w Gazie Hamas sabotuje proces pokojowy. Przypomina też w stylu Ben Guriona, że przecież sam ma do czynienia z terrorystami, którzy programowo mordują niewinnych. Zresztą nawet krytycy rządu, jak Uri Avneri, przyznają, że ocenę dodatkowo utrudnia wykorzystywanie kwestii palestyńskiej przez Iran. Al-Mabuh został zlikwidowany w Dubaju właśnie dlatego, że był odpowiedzialny za kontakty z Teheranem i to za jego pośrednictwem ajatollahowie dostarczali do Gazy broń.

Według wielu ekspertów Teheran wyrasta w bliskowschodniej układance na dominującą siłę destrukcyjną. Przy rosnącej presji międzynarodowej reżim potrzebuje nowej zawirachy, która odwróci uwagę od jego atomowych postępów. Dlatego Iran szczuje na Izrael Hezbollah i zbroi Hamas coraz bardziej przedzając się w zależną od niego bojówkę.

– Nie mam wątpliwości, że działania Teheranu niszczą perspektywę powrotu do rozmów pokojowych – mówi nam Michał Radoszitzki, działaczka Inicjatywy Genewskiej, poarzadowego porozumienia polityków i organizacji na rzecz pokoju między Palestyną i Izraelem. A podczas debaty, która odbyła się w połowie lutego na Uniwersytecie Warszawskim, naczelny prestiżowego dwumiesięcznika „Foreign Affairs” James Hoge ostrzegał, że w przypadku wybuchu kolejnej intifady rola Iranu w dozbieraniu i finansowaniu powstańców będzie o wiele większa niż w przeszłości.

Ajatollahowie grają na nosie

Najnowszy numer kierowanego przez Hoge’a pisma zamieszcza złowieszczą prognozę: Iran może dołączyć do nuklearnego klubu jeszcze przed upływem pierwszej kadencji Baracka Obamy. Ewentualna, choć mało realna, interwencja zbrojna jedynie odwlecze w czasie nieuniknione. Co to oznacza dla Izraela?

Żydzi nie muszą się bać atomowego ataku, bo wbrew propagandowym okrzykom o woli zniszczenia Izraela ajatollahowie chcą przede wszystkim budować potęgę kraju i umacniać swą władzę. Tymczasem atak na Tel Awiw czy Hajfę nie pozostałby bez odpowiedzi, a przy izraelskim arsenale nuklearnym odpowiedź ta oznaczałaby ni mniej, ni więcej, tylko koniec Iranu. I to dosłownie. Już podczas zimnej wojny mocarstwa nie naciskały atomowego guzika, bo doskonale znały zasadę: „Kto wystrzeli pierwszy, ten zginie drugi”.

Jednak uzbrojony w bombę Iran podważyłby technologiczną supremację izraelskich sił zbrojnych w regionie, a na niej – jak wspominaliśmy – zasadza się strategia obronna żydowskiego państwa. Jak zauważa Ariel Ilan



Irańska Gwardia Rewolucyjna nie ma zamiaru maszerować na Izrael, ale sama świadomość, że Teheran może być atomowym mocarstwem, ogranicza swobodę Tel Awiwu w regionie

Roth, dyrektor studiów bezpieczeństwa narodowego na Uniwersytecie Johna Hopkinsa w Waszyngtonie: – Pogrom państw arabskich w wojnie sześciodniowej czy bezpośrednio zagrożenie arabskim stolicom podczas wojny Jom Kippur w 1973 roku nie byłoby możliwe, gdyby Izrael musiał liczyć się z reakcją uzbrojonego w atom regionalnego hegemonu. A takim hegemonem staje się na naszych oczach Teheran. Pod jego skrzydłami wszelkie siły antyizraelskie poczuja się pewnie.

Ponadto irańska bomba może też rozpaść na Bliskim Wschodzie nuklearny wyścig zbrojeń. Trudno oczekiwać, żeby Egipt i Arabia Saudyjska zaakceptowały sytuację, w której monopol na atom w rejonie świata zdominowanym przez Arabów mieliby... Żydzi i Persowie. Optymiści upatrują tu wręcz szansy na dyplomatyczny przełom, w wyniku którego powstałoby żydowsko-arabskie partnerstwo przeciw zagrożeniu ze strony Teheranu.

Takie wbijanie klina między kraje arabskie a Iran przewiduje zresztą strategia lansowana przez administrację Baracka Obamy. Tyle że tu głos podniosą realności i wskażą na ostatnią podróż irańskiego prezydenta Mahmuda Ahmadineżada do Damaszku. Do wizyty, która była pokazem jedności obu skonfliktowanych z Izraelem narodów, doszło mianowicie w zaledwie kilka dni po apelu Hillary Clinton do Syryjczyków, aby „zaczęli oddalać się od Iranu”.

Jak na to wszystko reaguje wielu Izraelczyków? Mossadomanią. Zakłady optyczne zbierają setki zamówień na okulary w rogowej oprawie – podobne do tych, jakie nosili zabójcy w Dubaju. Internetowe sklepy z koszulkami dziesięciokrotnie zwiększyły sprzedaż T-shirtów z nadrukiem „Nie zadzieraj z Mossadem”. Na stronach internetowych Instytucja chwali się bezprecedensowym zalewem aplikantów. Tysiące Izraelczyków chcą podjąć obfitującą w podróże pracę „w młodym, niekonwencjonalnym otoczeniu”. „Powróciły dni naszej chwały!” – cieszy się w wywiadach były wiceszef Mossadu Ilan Mizrahi. A to znaczy jedno: wkrótce znowu ktoś zginie. Albo – mówiąc precyzyjnie – nie wstanie już z hotelowego łóżka.

Temperatura w bliskowschodnim kotłowni jest bliska wrzenia. Na początku lutego rząd Izraela zaczął rozdawać wszystkim obywatelom maski gazowe.

– Siedzimy tu jak na beczce prochu – relacjonuje Michał Radoszitzki z Inicjatywy Genewskiej. – Żyjemy w politycznej pustce bez realnych perspektyw na pokój. Ryzyko kolejnej intifady jest ogromne.

Możliwa jest też nowa wojna z umocowanym w Libanie Hezbollahem. A z każdej konfrontacji zawsze ucieszy się Teheran – będzie podsycał walki finansowo, militarnie i ideologicznie z jeszcze większym zapalem niż dotychczas.



15 z podejrzanych o zamach w Dubaju. Podawali się za obywateli brytyjskich (od lewej 1–6), australijskich (7–9), francuskich (10–12) i irlandzkich (12–15)

Kiedy byłem młodszy i piłem mleko, nie miałem pojęcia o tym, że pomaga mi budować zdrowe kości. Po prostu lubiłem jego smak. Piłem je i urosłem trochę większy niż inni. Teraz, gdy podczas meczu zablokuję swojego przeciwnika, tylko się uśmiecham. **Mleko rządzi!**

PIJ MLEKO!

będziesz Wielki





Rozmowa odbyła się 2 marca 2010 roku w Warszawie

TANIEC NA PARAPETECIE

Co to jest kosmos?

– Kosmos to jest wszystko, wszystkość.

A kto to jest Hołdys?

– Dla mnie też jakaś wszystkość, ale jednocześnie świadomość, że jestem wierzącym się ziarnkiem piasku na Saharze.

Więc tytuł pana pierwszego po 11 latach koncertu „Hołdys – Kosmos” oznacza znak równości między tymi pojęciami?

– Nie. Chodzi o to, że odrzuciłem limity, w tym momencie nie podlegam właściwie żadnym prawdom, wszystko się może zdarzyć, a sądzę, że i w kosmosie wszystko się może przytrafić. Muzyka ma w sobie całą masę reguł i chcą ją sprowadzić do matematyki...

Może do melodii?

– Nie wiemy, co to jest melodia, w muzyce Kurdów albo Hindusów są zupełnie inne nuty.

Dla każdego ludu melodia to jest to, co ów lud może powtórzyć.

– Właśnie. Problem w tym, że cywilizacja europejska umówiła się, że istnieje tak zwana 12-stopniowa skala, czyli oktawa, i tym się męczy od wieków. Inne kultury to odrzuciły, dźwięk to dla nich nieskończona liczba i skala. Więc dla mnie ten „Kosmos” to jest powiedzenie sobie: Hołdys, nie jest twoim przeciwnikiem taśma magnetyczna, sześć strun w gitarze, sześciu lub pięciu muzyków, liczba decybeli, to wszystko nie ma znaczenia, wszystko jest do twojej dyspozycji! Co chcesz zrobić, to zrobisz! Jak wyjdę na scenę i będę przez 30 minut w ciszy siedział, to też będzie to część kosmosu!

My chcemy, żeby pan śpiewał melodyjne piosenki, przy których będziemy albo skakać, albo płakać.

– Ile ja bym chciał, żeby inni ludzie dla mnie zrobili... Mam mnóstwo żądań, oczekiwań, ale rezygnuję z nich, bo przyjmuję, że scenariusz filmowy, w którym bierzemy udział, musi nas zaskakiwać. Owszem, nie uwolnię się od melodii, jestem kosmicznym inwalidą. Mnie natura, czyli system operacyjny i reakcje chemiczne

w moim mózgu, pozwalają fantazjować tylko w tej sferze. Wymyślam więc melodie dosyć łatwo. Biorę gitarę i już, to się dzieje poza mną.

Nie chce pan traktować struny, taśmy, zespołu jak przeciwnika... To jakieś olśnienie?

– Nie, już parę razy to robiłem, tylko za każdym razem to było postrzegane jako jakieś radykalne zachowanie. Przecież ludzie nie wiedzą, co ja robiłem w ciągu ostatnich 10 lat. Przecież między Perfectem a „Świniami” jest przepaść. W „Świniniach”, kiedy je nagrywaliśmy z Waglewskim, na jednej z pierwszych prób powiedziałem słowa, które – jak sam potem mówił – go sparaliżowały: chcę, żebyśmy zagrali jak nikt. W piłce nożnej oznaczałoby to, że na przykład zaczynamy grać jedni przeciwko drugim z własnej drużyny i strzelamy w określonego widza, a nie do bramki, że ustalamy własne reguły – kto „zbija” sędziego na przykład strzałem itd. Żebyśmy się uwolnili od narzuconej formy, która w muzyce jest przekleństwem. Narzucanym też przez konstrukcję instrumentów.

Instrumenty musiały się podporządkować formie, ale może ona jest tylko trampoliną dla treści, żeby pan mógł precyzyjnie i zrozumiale dla wielu ludzi je wypowiadać?

– Perkusja jest instrumentem, który ma służyć graniu rytmu. Człowiek ma dwie ręce i dwie nogi, więc skonstruowano urządzenie mechaniczne, które dwuręki i dwunogi człowiek jest w stanie ogarnąć. A co masz zrobić, jeżeli chcesz uderzyć w siedem trzyneli naraz?

Pat Metheny sobie z tym poradził i wymyślił orkestron.

– Do pewnego stopnia próbuje tak robić i to jest trik, ale ja zadałem pytanie bardzo proste: co ma zrobić gitarzysta, który grając na gitarze, nagle chce użyć dźwięku, którego ten instrument nie ma, poza skalą, chce zmienić jego barwę? Gitarzysta jest niewolnikiem swoich dwóch rąk.

Może to dobrze.

– Dla wielu ludzi tak, historia muzyki dowiodła, że jednym palcem na jednej strunie można skomponować coś równego piątej Beethovena, czyli „Satisfaction”.

To czemu pan chce wyjść poza formę? Może z braku talentu?

– Ja nie chcę życia niewolnika. Forma – już jest tylko muzyczna – dziś osiągnęła stadium karykaturalne, piosenka musi mieć tyle a tyle decybeli, stacje radiowe ją dewastują, bo używają swoich kompresorów dźwięku, a niszczą to, co ja zapisałem, bo nagrałem cicho, a u nich jest głośno. Jeszcze mi mówią, że piosenka nie może trwać dłużej niż 3.30, ponieważ nie wejdzie reklama! Zaczynamy żyć pod dyktando, w którym wysokość wystawy sklepowej mówi ci, jaka ma być długość spodni. A jeżeli chcesz spodnie 18-metrowe, takie, o które się zabijesz?!

I mówi to wszystko człowiek siedzący naprzeciwko mnie, który mi się wydaje na pierwszy rzut oka niewolnikiem formy, bo ma barwioną na czarno, precyzyjnie wymodelowaną brodę, stylowy kapelus z wystającą spod niego wstążką, malowane ręcznie buty, pomarańczowe skarpetki...

– Na to są dwie odpowiedzi.

Próżność?

– Może... Ale przede wszystkim nuda. Ostatnio zmieniliśmy meble w domu. Mielśmy przepiękne fotele jak z bajki, kolorowe, disnejowskie meble. Mielśmy je kilka lat i nagle kupiliśmy jakieś stare, używane meble i ja jestem tym zachwycony! Bo coś się zmieniło! Ile można patrzeć na swoją taką samą mordę w lustrze?

Ale pan patrzy na swoją mordę w kapeluszu od lat.

– Nie, przecież robię z tą mordą, co chcę: mam brodę taką, siaką, owaką, czasem jej nie farbuję, robi się jakaś siwa, jakaś białoczarna, bawię się i nie wychodzę wtedy z domu. Ja tego nie robię na pokaz, ja tak chodzę po mieszkaniu, moje psy mi się przyglądają ze zdumieniem, bo nie mogą się zorientować, czy to jestem ja.

Ma dwie ręce i dwa jamniki. Po 11 latach da głos na scenie. Nieskrępowany, nieustraszony, nawet jeśli będzie znacząco milczał. Zbigniew Hołdys powraca, by wywracać





→ Ile ich jest?

– Dwa. Fenomenalne psy, jeden jest dresiarzem, drugi jest księciem. Jeden jest wojownikiem, ten dresiarz, drugi jest melancholijnym poetą. Kilka dni temu, leżąc w wannie, nagle pomyślałem sobie tak: Najsztab pewnie zapyta, a dlaczego jesteś taki, siaki, to ja mu wtedy powiem: „wyjaśnij mi, dlaczego ten jamnik jest dresiarzem, a tamten jest księciem? Jaka jest definicja jamnika, która z nich jest prawdziwa?”

I ja pytam Hołdysa: dlaczego teraz chce zagrać koncert, po 11 latach?

– Który jamnik?

Ten, z którym rozmawiam. Dlaczego nie został już emerytem?

– Są zawody, które wymagają przejścia na emeryturę, ponieważ od sprawności człowieka, fizycznej bądź intelektualnej, zależy los innych ludzi. Twórca może napisać ostatnie dzieło w wieku 140 lat, a nawet kiedy się będzie zamykało wieko trumny, jeszcze coś może wyszeptać istotnego.

A właśnie teraz się w panu coś istotnego skumulowało?

– Mogę powiedzieć, dlaczego przez tyle lat nie, to jest chyba prostsza odpowiedź. Ona zabrzmi pewnie tak, jak brzmiała odpowiedź Gołoty, który kiedyś powiedział, że nienawidzi boks. Bo to jest jakaś paranoja, wychodzi na ring, dostaje w mordę i schodząc, mówi – nienawidzę boks. Uwielbiam muzykę, uwielbiam sztukę w ogóle, muzykiem jestem przypadkowym, wolę pisać, a piosenkę można skomponować w pięć minut. Ale nienawidzę show-biznesu, „ringu”, bo jest zaprzeczeniem świata, w którym chciałbym być. Jest jego przekleństwem, katem, mordercą, dusicielem z Bostonu, Kubą Rozpruwaczem, show-biznes powinien zostać zaaresztowany i włożony do stalowego tankowca, zaspawany i zatopiony! Trzeba rozróżnić dwie rzeczy – piękno samochodu i sposób jego wytwarzania i sprzedawania.

Pan nienawidzi sposobu i salonu samochodowego.

– Tak jest. Jestem człowiekiem, który bronili artystów disco polo przed atakami wysoko postawionych typów z establishmentu, twierdziłem, że jeżeli komuś disco polo jest potrzebne, jeśli komuś potrzebny jest pijany grajek, który mu rozjaśni pięć minut życia, to ten grajek jest bezcenny! Show-biznes to pięć potężnych korporacji, które obsługują właściwie 90 parę procent całego rynku muzycznego, i one ofiarowują za darmo płyty do grania w stacjach radiowych, co tydzień każda stacja radiowa dostaje od nich po kilkadziesiąt płyt zagranicznych, prestiżowych wykonawców, z prawami do ich publicznego wykonania. I dodatkowo, co tydzień, jedną, dwie czy trzy swoje polskie premiery. I oczekują, że to zostanie zagrane! I to kontrolują, bo przecież playlisty w stacjach radiowych są jawne. I co ma zrobić niezależny wydawca, który ma fajnego artystę, kiedy wielka stacja radiowa dopuszcza tygodniowo trzy do pięciu nowych piosenek, a taką ofertę mają już od tych wielkich korporacji? Geniusz, który tworzy coś poza tymi korporacjami, właściwie nie bardzo ma szansę zaistnienia – i to jest show-biznes! Zostaje Internet, ale tam przeczytasz najpierw o tym, że Doda zjadła psa, a nie przeczytasz, że jest jakiś fantastyczny muzyk, gitarzysta, poeta.

Założmy, że pójdę na pański koncert. Wyjdę i będę mógł sobie zanucić jakąś nową pieśń?

– Na pewno, o mnie. Coraz częściej już piszę teksty, które dotyczą mnie osobiście. Ostatnia piosenka „Kuba” jest o moim przyjacielu, w owym czasie najbliższym, który

musiał wyjechać z Polski w '68 roku. Ile kroć o nim mówię, mam łzy w oczach, to tak jakby ktoś siekierą rozrąbał przyjaźń 17-latków... To pierwsza zbrodnia komunizmu, której doświadczyłem. Będę też śpiewał o psach, o życiu w Internecie, dlaczego kreacja w Internecie jest równoważna z kreacją w realu... Niech pan popatrzy, co teraz robimy, siedzimy na dupach, mamy stolik, pan masz herbatę, wodę, ja mam colę light, pan jara cygarety, stoi magnetofon, ja mam kapelusz, a wszystko to się rozgrywa tak naprawdę w naszych głowach! Żyjemy wyobraźnią.

Internet jest totalną, idealną wyobraźnią?

– Traktuję Internet niemal wyłącznie jako miejsce kreacji. Czasem piszę na którymś z blogów zdanie, taką mam opinię na temat ten czy ów, i widzę ten dym, który to wznieca, to jest lepsze niż kreskówka!

No nie, kreskówka jest lepsza...

– Nie, ostatni Disney rzeczywiście był piękny, ręcznie namalowany, ktoś po LSD to narysował... Świat jest jedną wielką fantazją, rzeczy, które wykonujemy, to jest próba znalezienia iluzji i jestem zwolennikiem jej znajdowania. 11 lat temu po długiej przerwie zagrałem koncert w Sali Kongresowej i pamiętam niezwykle emocjonujące historie przed nim. Muzycy, którzy ze mną grali, byli fantastycznymi instrumentalistami i nagle okazało się, że oni się bardzo tym koncertem przejmują, o wiele bardziej niż ja, jeden stoi i nerwowo pali papierosa, pytam: „Co się dzieje?”, a on, że się strasznie trzęsie. Powiedziałem, żeby się nie bał, bo wszystko się skupi na mnie, to ja powinienem się bać, nie oni, bo to mnie ludzie rozliczą. I powiedziałem: Słuchajcie, jeśli zawiodę, to wtedy zwyczajnie powiem widzowi: „przepraszam, że miałem zamiar was rzucić na kolana, a widzę, że mi się nie udało”.

I był pan rzeczywiście gotów na takie wyznanie?

Zbigniew Hołdys, 59 lat, muzyk, współpracował między innymi z Marylą Rodowicz, Wojciechem Waglewskim i Liroyem. Kojarzony najczęściej z grupą Perfect, napisał dla niej takie przeboje jak „Autobiografia” czy „Chcemy być sobą”. W 1983 roku odszedł z zespołu, choć później z własnym składem pod szyldem Perfectu odniósł pewne sukcesy w USA. W 1989 roku kierował kampanią wyborczą stołecznej Solidarności, pracował jako korespondent radiowy i wydawca. Prowadził programy w MTV i TVP2, wykładał w Warszawskiej Szkole Filmowej, prowadził sklep muzyczny oraz fundację charytatywną Dzieci Ulicy. W ostatniej dekadzie nie koncertował, wyłączając krótki występ w Opolu w 2002 roku.

– Oczywiście! I że mam nadzieję, że przynajmniej byliście świadkami fajnej przygody, inaczej nie potrafię.

Nigdy pan tego nie robił, więc nie wie, czy potrafi.

– Ale jeżeli zagram na poziomie, który sobie zakładam, i to nie zostanie zaakceptowane, to cóż więcej mogę zrobić? Przepraszam, tak jak inny może przepraszam, że ma zęba, bo może spodziewali się niezadowolonego. Bo ja nie wychodzę na ring bić się z Gołotą, co zresztą chętnie zrobię za milion dolarów, tak jak stoję, bo potrzebuję gwałtownie kasy, a najwyżej dostanę w ryj. W świecie muzyki wychodzi się, prezentuje dzieło i albo komuś się ono podoba, albo nie.

W kwietniu zaprezentuje pan dzieło, a następnie już tradycyjnie za 10, 11 lat, jak będzie pan miał pod siedemdziesiątkę?

– Bardzo bym chciał zagrać tym razem więcej koncertów, jestem głodny grania na żywo, gram w domu, biorę gitarę, to jest trans, odlot, chciałbym grać. I jeśli się ten koncert powiedzie, a ludzie będą chcieli, to jestem gotowy zagrać tych koncertów więcej, kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt!

A nie jest pan gotowy na to, żeby zagrać jeszcze raz z Perfectem?

– A pan jest gotowy, żeby jeszcze raz wziąć ślub ze swoją żoną? Rozmawiano ze mną na ten temat tysiące razy, to jest taka huba, której nie mogę odrąbać! A mówię, że to jest najwyższy stopień waszego egoizmu, oczekiwanie ode mnie, żebym się poczuł źle ku waszej radości! Nie ma Perfectu, nie ma tamtej atmosfery, nie żyją ci muzycy, nie ma ich.

Ale są tamte piosenki.

– To ja je zagram, a wokalista, który tam wówczas był, też je gra z innymi ludźmi pod nazwą Perfect, nikomu to nie przeszkadza. Bardzo rzadko się ten temat pojawia w moim życiu, bo całe moje otoczenie dawno kłapę od śmietnika zamknęło.

Z czego pan żyje?

– Z szeregu różnych rzeczy. Jak wiadomo, miałem przez lata sklep.

Najdroższy sklep muzyczny w Warszawie, jak mówiono.

– Słyszę to pierwszy raz, dlatego że przecież doskonale znaliśmy ceny innych sklepów... Jedno jest pewne, w naszym sklepie nie można było kupić tanich szmatławych instrumentów, na przykład produkcji chińskiej, które zalewały rynek, z dwóch powodów – pragmatycznego, że czasami kładło się je na stole, a potem z niego brało i metalowe progi leżały na blacie, ale bardziej istotne było dla mnie wówczas to, że te gitary były produkowane w Chinach przez niewolników, przez dzieci.

Sklepu już nie ma.

– Żyję z honorariów autorskich, jako jeden z bardziej chyba honorowanych, potrzebnych autorów, na tyle że moja muzyka jest

grana tu czy tam. Jestem autorem scenariuszy teatralnych, pisuję felietony, wysyłam korespondencje z Polski na przykład do USA. Ale więcej „aktywnych” rzeczy robię za darmo. Kiedy masz stałe, nie najniższe dochody i masz trochę czasu, to stać cię na to, żeby charytatywnie tworzyć teatry w szkołach czy zakładać fundacje, pomagać ludziom chorym. I mówię to nie po to, żeby coś dobrego o sobie powiedzieć, bo szczerze mówiąc, opinii o sobie p...ę, ale na przykład mam taką zasadę – dzwonią do mnie, chcą, żebym przyjechał na konferencję, która dotyczy walki z patologią przemocy w szkole, ponieważ doszło do nich, że sztuki teatralne, które napisałem, w kilku szkołach zagrane przyniosły rozładowanie napięcia. To ja pytam, kto w tej konferencji bierze udział, i się dowiaduję, że profesor, kurator i tam jeszcze ktoś. Mówię, że mogę przyjechać, a oni pytają, jakie jest pańskie honorarium? I ja wtedy mam taką formułkę: ja to robię za darmo, ale jeśli ktośkolwiek z innych uczestników bierze pieniądze, to kosztuje to tyle a tyle tysięcy złotych, które proszę przełać na konto Pauliny Grodzkiej. Wtedy następuje konsternacja, bo się okazuje, że z reguły jestem jedynym, który robi to za darmo, i nie bardzo wiedzą, jak to ugryźć, bo stawka, której się domagam, nie jest mała i zmusza ich do pertraktacji z tymi profesorami, kuratorami, dla których psim obowiązkiem, kwestią pryncypiów zawodowych jest walka z patologią, zmusza ich do wycofania się z oczekiwań finansowych!

A co u pana podopiecznej chorej Pauliny?

– Jestem z nią w stałym kontakcie, dzwoni do siebie także bez powodu. Ona jest w sytuacji dziewczyny-słońca, na którą jakiś straszny satrapa wydał wyrok śmierci, teraz go pro-longował i zastanawia się, co z tym zrobić... Udało się doprowadzić do operacji, powstrzymać rozwój choroby, nie udało się jej cofnąć. Paulina ma dar, który ujawnia się w najbardziej krytycznych momentach. Spotkałem ją któregoś dnia pogodną i ona z uśmiechem mówi mi: wiesz, mistrzu, nie wiem, jak mam to rozumieć, właśnie zrobili mi rentgen i powiedzieli, że mam drugi nowotwór. Ja bym zemdlął, gdybym się o tym dowiedział, przy moim stosunku do życia, załamałbym się, a ona uśmiechnęła się i mówi dalej – ale do-bra, jesteśmy tu w innej sprawie... Potem poszliśmy na jakąś kolację, bawiliśmy się i śpiewaliśmy, ona umie pokonać coś, co chyba w każdym człowieku tkwi, nawet żebyśmy nie wiem jak byli pogodzeni z najgorszymi wyrokami, drzemie w nas niezgoda, rozpacz i chwytanie się pazurami parapeetu... A ona potrafi to przekuć w taniec na parapecie! Ona żyje ponad nami, to jest takie niezmiernie, kosmiczne, jest wyjątkowa.

Jej widok pomaga panu oswoić się z własnym parapetem?

– Mówi pan o piórniku?

Może być wazonik, zależy, co się komu podoba.

– Kiedyś to się mówiło, że „wskoczył do piór-nika”, jeszcze wtedy urna nie funkcjonowała. Myślę o tym pogodniej niż 10 lat temu, kryzys 40-latka polega chyba na tym, człowiek zaczyna się dowiadywać, że coś takiego może być nieuchronne, i się tym niepokoi. Ja na 10 myśli o zniknięciu z tego świata doczesnego mam już tylko jedną taką, w której jest niepokój, a w pozostałych jest w miarę spokój. W zamykaniu żalów pomaga mi kilka kluczyków, które zdobywałem w życiu jak w grze komputerowej. Najpierw przewartościowujesz swój los, kiedy cię spotyka ogromny sukces, taki, że ho, ho! Byłem uczestnikiem takiego sukcesu, jeśli chodzi o popularność, to kilku nas w Polsce takich było, relacjonuję fakty... I wchodzisz na ten swój Mount Everest, mało tego, jeszcze uważasz, że jest za nisko, i wspinasz się dalej po kryształkach zmarzniętego powietrza, a okazuje się, że się nic nie zmienia! Nadal na moment wchodzisz do klubu Akwarium, masz tych samych kolegów, wchodzisz do domu, pierdzi ten sam kaloryfer, budzisz się rano, boli cię głowa, masz nadciśnienie, ktoś coś jest ci winien, ktoś ma do ciebie pretensje, do kogoś ty masz pretensje, nie nie uległo zmianie. Możesz sobie kupić siedem tygrysów bengalskich, żeby cię drapały w plecy, ale to nie ma żadnego znaczenia.

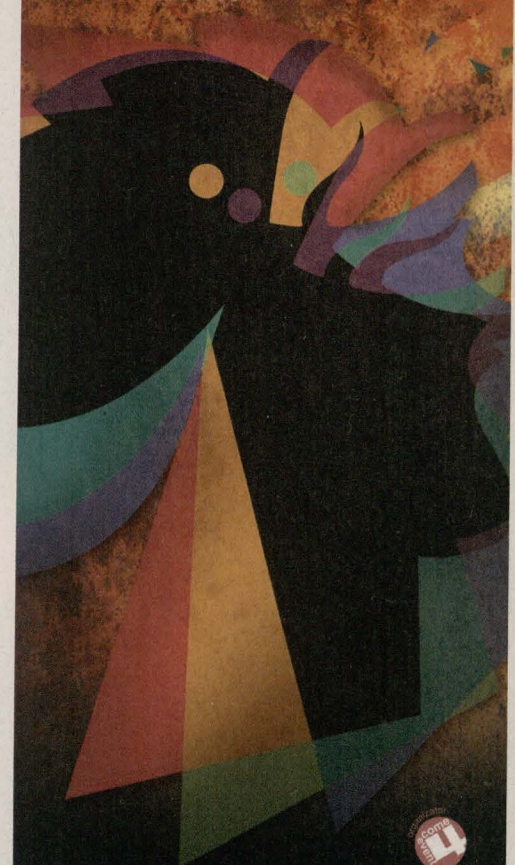
A jest coś zamiast drapania?

W takim momencie kluczowym – stąd kluczyki – zorientowałem się, że właściwie życie nie ma sensu, skoro się wspinaszdonikąd. Potem były momenty, kiedy musiałem pożegnać różnych swoich znajomych. Kiedy zmarł Staszek Dybowski, który z rakiem zmagął się kilka lat, poprosiła mnie Urszula, żebym wygłosił kilka słów o nim w kościełku w Michalinie, gdzie mieszkali. Powiedziałem, że Staszka przez kilka lat nie było w Polsce, że on umarł, znikł, nie dzwonił do mnie, ja nie dzwoniłem przez lata całe. Mieszkał w Ameryce, i teraz też wyjechał i też nie zadzwoni. Że jeśli miałoby się wszystko sprawać do tego, że Stasio Dybowski jest w tej urnie, w tej solniczce, to to nie ma sensu, bo ja wam powiem, kto to jest Stasio, słysz go, jak gra na gitarze, a przecież on nie musi być przy mnie, żeby to było. Wiem, jaką ma opinię na temat Boga, dzieci, na temat pieniędzy, bluesa, mogę go o to zapytać w tej chwili i usłyszeć jego odpowiedź, bo on jest obecny we mnie. Właściwie obecność człowieka ma tylko wtedy znaczenie, kiedy jest obecny w innych, a nie, że jest kupą proszku. Stasiek Dybowski żyje, umarło opakowanie. Więc ważne jest, czym ja wypełnię swoje życie, to jest taśma filmowa, na której ja nagrywam ciąg dalszy swojego filmu, w którym serwuję sobie fantazyjne odjazdy, a to zagram koncert jeszcze, zrobię wycieczkę albo napiszę sztukę teatralną, tej kreatywności mi wystarczy, żeby film był nadal barwny. Jak się ten koncert sp...o, to przecież nic... Cóż byłby wart film bez bohaterskiej śmierci. □

TV5MONDE

FRANCO PHONIC FESTIVAL 4

WARSZAWA



19 - 29 MARCA 2010

ROKIA TRAORÉ BABYLON CIRCUS

SLIM77 / ÉTIENNE DE CRÉCY SPEED CARAVAN

MADE MOBBELLE KAREN / BERRY / GAZA KULKA

CHOPIN INSPIRE GAINSBURG

JANE SHKIN, BERRY, CLAUDE DENAMUR, SMOLIK, JAGODZINSKI TRIO, GAZA KULKA

WWW.FRANCOPHONIC.PL



ZŁOTY GŁOS AFRYKI BARTEK CHACIŃSKI

Biały czarny ambasador

Dziecko cesarskiego rodu porzucone z powodu koloru skóry i wybitny śpiewak za wysoko urodzony, by zostać muzykiem. W zyciorysie **Salifa Keity**, który wystąpi we Wrocławiu, mieszają się wielkość i rozpacz

Albinosi w Afryce nie mają łatwego życia. Regularnie docierają do mediów alarmujące wieści z Tanzanii, gdzie co roku ginie ich przynajmniej kilku-nastu. Wstrząsający fotoreportaż Marcusa Bleasdale'a sprzed dwóch lat pokazywał życie 10-letniej niepełnosprawnej albinoski, której odcięto nogę – części ciała takich jak ona są bowiem drogim towarem na czarnym rynku substancji „magicznych”. Miejsco- wi szamani wierzą, że wykorzystywanie do czarów ciał albinosów zwiększa szanse na ich skuteczność, a bogaci biznesmeni kupują usługę, by mieć powodzenie w interesach. Narzekając przy tym jeszcze – co relacjonował Bleasdale – że czary stały się dużo droższe, odkąd policja pilnie strzeże albinosów.

W Mali – odmiennej kulturowo części kontynentu, dawnej francuskiej kolonii – nie wierzą, że albinosi przynoszą szczęście. Przeciwnie, uważają raczej, że to rodzaj przekleństwa. – Kiedyś przechodnie spluwali na widok albinosa. Teraz jest już na szczęście dużo lepiej, bo sporo się mówi o tym problemie – mówi „Przekroju” Salif Keita przez telefon ze swojego nowego studia nagrań w stolicy kraju Bamako.

Ale 60 lat temu, gdy przyszedł na świat w małej wiosce Djoliba nad Nigrem, niechęć społeczna była olbrzymia. Mimo że pochodził z linii potomków średniowiecznego cesarza, który rozciągnął imperium malijskie aż na terytorium dzisiejszej Mauretanii, po wybrzeżu Atlantyku, został w pierwszym odruchu odrzucony przez ojca – zresztą wspólnie z matką, którą też uznano z racji narodzenia albinosa za „niebezpieczną”. Mimo że albinizm jest cechą genetyczną, na dodatek w Afryce spotykana dużo częściej niż gdzie indziej.

Dopiero po jakimś czasie (i upewnieniu się u szamana, że dziecko nie ma w sobie złej magii) ojciec przyjął ich z powrotem pod swój dach. Przez lata jednak nie odzywał się do syna odrzucanego także przez rówieśników. Młody Keita chciał zostać nauczycielem, ale i to się nie udało – w dalszej nauce przeszkadzał mu

słaby wzrok charakterystyczny dla albinosów. Za to głos miał świetny, wyrobiony przy pracy w gospodarstwie ojca, który wysyłał go, by odstraszał ptaki z pól kukurydzy. „Złoty głos Afryki” – napisali o nim po wielu latach. Podpatrzył kilka technik gitarowych u jednego ze swoich nauczycieli i zajął się muzyką.

Na kolei i w motelu

Tradycyjnie muzykę w tej części Afryki tworzyli grioci – obecni w społeczeństwie jako oddzielna kasta od czasów imperium. Wędrowni śpiewacy i grajkowie utrzymujący się z przenoszonych z miejsca na miejsce ilustrowanych muzyką opowieści.

Do dziś spotkamy też w Mali wielopokoleniowe klany muzyczne, z których rekrutuje się wiele gwiazd tutejszego rynku, takich jak Toumani Diabaté czy Bassekou Kouyate (recenzje ich płyt na s. 46). Ale oprócz tego jest i zwykła edukacja – konserwatoria.

Kluczowe dla afrykańskiej muzyki okazały się lata 60. – okres odzyskiwania niepodległości przez kolejne kraje kontynentu. Lagos w po-



Czerwiec 2008 roku, występ na nowojorskim festiwalu **Celebrate Brooklyn**

bliskiej Nigerii stało się kolebką nowej muzyki łączącej funk z tradycyjnym brzmieniem ludowym, a o etiopskiej stolicy słynącej z zespołów jazzowych mówiono „swingująca Addis Abeba”. Także w Mali przemianom politycznym towarzyszyła muzyka – zaczęły tu powstawać orkiestry takie jak utrzymywana przez państwo Super Rail Band związana z miejscowymi kolegami i działająca w Bamako. Ta zatrudniała zdolną młodzież grającą w barach i na ulicach, już bez zaglądania im w drzewo genealogiczne. Wzięli też młodego Keitę na początku lat 70. Dzięki czemu przynależność do innej kasty nie odebrała mu szans na karierę.

– To był piękny okres dla muzyki w Mali – wspomina. – Mieliśmy wiele zmian nie tylko społecznych, ale też kulturalnych. Potem z kolei cały region przeżywał okres dyktatury i te-

raz, gdy wróciła demokracja, znów ma to dobry wpływ na scenę muzyczną.

Z kolejowego bandu Keita przeszedł do Les Ambassadeurs (Ambasadorów) – zespołu grającego w prestiżowym miejscu, w stołecznym Bamako Motel. Grali tu przybysze z całej zachodniej Afryki, a towarzystwo gości było tak międzynarodowe, że – jak wspomina Salif – można było tu poczuć wpływ obcych kultur. To ważne w jego wypadku, bo elementy muzyki z Karaibów czy Hiszpanii przeniknęły do jego twórczości właśnie w tamtym okresie. Poza tym Ambasadorzy – którzy wkrótce do nazwy dodali sobie epitet „międzynarodowi” – byli uwielbianym zespołem, który sporo jeździł po krajach afrykańskich. Zbierali nagrody, a w Gwinei Keita dostał nawet odznaczenie narodowe. Tak bardzo podobał się tam jego głos – dość wysoki, ale przy tym mocny, charakterystyczny dzięki rzadkiemu w tych rejestrach ciepłu, nawet lekkiej chrypcie.

To był przełom. Sława Ambasadorów dała mu szansę wyjazdu na nagrania do Ameryki, a potem, w połowie lat 80., osiedlenia się i pracy w Paryżu.

– Kante Manfila, gitarzysta tamtej grupy, pracuje ze mną do dziś. Na nowej płycie pojawił się też inny mój przyjaciel z tamtych czasów, Gwinejczyk Ousmane Kouyate – mówi Keita. Razem wykonują nową wersję utworu swojej starej grupy „Seydou”. Keita znów został Ambasadorem.

Na emigracji i u siebie

„Sprawia, że wibrujesz, sprawia, że tańczysz, sprawia, że marzysz – Afryka!” – śpiewał Keita w jednej ze swoich najsłynniejszych piosenek. Ale większość artystycznego życia spędził poza Czarnym Lądem.

W Ameryce, która dla muzyki rozrywkowej jest pekipem świata, nie zdecydował się osiedlić na stałe. – W Ameryce nagrywałem od 1981 roku, potem pracowałem tam z Vernonem Reidem z Living Colour, z jazzmanami, ale to wszystko nieistotne w porównaniu z tym, co Francja robi dla Afryki – tłumaczy Keita. I chociaż w USA chwalono jego fuzję world music i jazzu z płyty „Amen” (produkowanej przez Joego Zawinulę, z gościnnym udziałem Wayne’a Shortera i Carlosa Santany), a Wielką Brytanię podbił, uczestnicząc w słynnym koncercie na Wembley na 70. urodziny Nelsona Mandeli, przez lata pozostał wierny Francji. – To Francja wysłała sygnał całej muzyce afrykańskiej, dając pracę muzykom, promując to, co robimy. Jeśli gdzieś upatrywać centrum całej nowej kultury afrykańskiej, to znajdziemy je we Francji – mówi. Europejski przyczółek u dawnych kolonizatorów jest ważny choćby ze względu na ciężką sytuację ekonomiczną



Po wielu latach zagranicznej kariery artysta wrócił do malijskiego **Bamako**

malijskich muzyków. Na rynku nagrań panuje piractwo – muzykę sprzedaje się na kopowanych nielegalnie kasetach. – Rząd nic w tej sprawie nie robi – narzeka artysta.

Dziś znów mieszka w Bamako. Głośno relacjonowano jego powrót do afrykańskich tradycji na płytach „Moffou” i „M’Bemba” wydanych już w XXI wieku. Pełnych akustycznych brzmień i dźwięków afrykańskich instrumentów – kory (odpowiednika harfy) czy bala fonu (kuzyna marimby i wibrafonu). A jeszcze głośniej komentowano powrót cesarskiego potomka do kraju. Przyjechał tu w roku 2004, z żoną i jedenaściorcem dzieci. Zbudował w Bamako studio nagraniowe i otworzył własny klub muzyczny Moffou. Najnowszą płytę „La Différence” nagrywał już w dużej części właśnie tu, na miejscu.

W tym samym 2004 roku po raz kolejny zostaje ambasadorem. Tyle że honorowym,

przy ONZ – od sportu i muzyki. „Mam białą skórę, choć jestem czarny – i podoba mi się to/Jestem biały, mam czarną krew, uwielbiam to, bo ta różnica jest piękna” – śpiewa w tytułowym utworze na „La Différence”. Cała piosenka mówi o tolerancji i wychodzi od osobistych doświadczeń Keity, który po latach wrócił do Afryki także po to, by pomagać innym albinosom.

Na czele fundacji

Wspierał przez lata stowarzyszenie SOS Albinos, które integruje podobnych mu ludzi w Mali i innych krajach kontynentu. A kilka lat temu założył własną fundację – The Salif Keita Global Foundation. Przeznacza na rzecz tej organizacji 10 procent wszystkich honorariów. Zebrał w ten sposób wiele tysięcy dolarów. Lecz o własnych emocjach związanych z dzieciństwem nie chce opowiadać. – Musia-

łem zaakceptować to, jaki jestem, nie miałem wyboru. Ma zresztą więcej powodów do zajęcia się problemem niż tylko własny przypadek – albinoską była jego siostra, która zmarła na raka skóry (jeden z najczęstszych powodów śmierci afrykańskich albinosów) w wieku 24 lat. Z kolei siostrzenica Salifa Nantenin Keita, również cierpiąca na albinizm, zdobyła – w barwach Francji – srebrny medal w sprincie na paraolimpiadzie w Pekinie. Białą skórę ma także najmłodsza córka wokalisty, dziś pięcioletnia.

Ileż to już razy Keita został ambasadorem – spraw ludzi odrzucanych, wolności kastowej w muzyce malijskiej, przede wszystkim jednak wielkim ambasadorem czarnej Afryki. Cóż z tego, że białym.

Salif Keita wystąpi 20 marca we Wrocławiu, w Wytwórni Filmów Fabularnych, w ramach Ethno Jazz Festivalu

Kathryn w krainie testosteronu

Jest pierwszą reżyserką w 82-letniej historii nagrody nominowaną do Oscara*.

Kathryn Bigelow udało się osiągnąć w tym zawodzie więcej niż jakiegokolwiek innej kobiecie

KRÓLOWA KINA AKCJI MAŁGORZATA SADOWSKA

Na początek rozwijemy wątpliwości – tak, to ta efektowna długowłosa pani niewyglądająca na swoje 59 lat, za to przypominająca bizneswoman, nakręciła głośny film „The Hurt Locker. W pułapce wojny”, który w Polsce ukazał się właśnie na DVD. To na pozór typowe męskie kino niestroniące od przemocy i krwawej dosłowności, doskonale opisujące wojskowe rytuały i relacje między odizolowanymi od zwykłego życia facetami tkwiącymi w tytułowej pułapce. Chaos, strach, adrenalina – wojna widziana oczami żołnierzy.

Dziewięć oscarowych nominacji dla filmu (drugie tyle miał jedynie „Avatar” Jamesa Camerona) to gigantyczne osiągnięcie Bigelow, czego dowodzą... statystyki (nie zniechęcajcie się, to będzie naprawdę ciekawe!). Otóż kobiety wyreżyserowały zaledwie 7 procent spośród 250 amerykańskich kasowych hitów 2009 roku. Napisały scenariusze 8 procent z nich, przy 17 procentach tytułów pracowały jako producentki wykonawcze, samodzielnie wyprodukowały 23 procent filmów. Zaledwie 2 procent produkcji zatrudniło operatorki*. Dodajmy jeszcze, że to wyniki zbliżone do tych z lat 80. Witajcie więc w Hollywood, krainie testosteronu.

Zamiast bohemy – dzika banda

Przypadek Kathryn Bigelow nie do końca pasuje jednak do słusznego obrazka kobiety z kamerą, która namiętnie walczy z seksizmem, patriachatem i mizoginią. Jak mówią inne badania zrobione przez Womeninhollywood.com, aktorki pojawiły się w głównych rolach w zaledwie 6 z 50 kasowych hitów 2008 roku. I Bigelow bynajmniej nie poprawia statystyk w tym względzie – bohaterami jej najgłośniejszych obrazów „Na fali” (1991) i „Dziwnych dni” (1995) byli faceci: agenci FBI, gangsterzy, zepsuci gliniarze. Główne role grali u niej Willem Dafoe („The Loveless” z 1982 roku był jego ekranowym debiutem), Keanu Reeves, Harrison Ford, Patrick Swayze, Liam Neeson czy Jeremy Renner, dla którego „The Hurt Locker” niewątpliwie będzie trampoliną do dużej kariery.

Fascynacje kinem Bigelow zawdzięcza zresztą skrajnie „męskim” filmom. Do dziś podkreśla, że „Dzika banda” Peckinpaha i „Ulice nędzy” Scorsese były dla niej objawieniem. To dzięki nim zdolna malarka, któ-



Kathryn Bigelow na planie „The Hurt Locker”. Ta kobieta doskonale wie, dokąd zmierza

ra w latach 70. tworzyła nowojorską bohémę, wiążąc się z artystami konceptualistami z grupy Art & Language, porzuciła płótno dla celouloudu. – Malarstwo jest nazbyt elitarne – tłumaczyła swoją wolę w wywiadach, dodając, że w kinie fascynuje ją możliwość masowego komunikowania się.

Po studiach w Art Institute w rodzimym San Francisco i prestiżowym stypendium w nowojorskim Whitney Museum, gdzie wykładali między innymi pisarka Susan Son-

tag i rzeźbiarz Richard Serra, Bigelow rozpoczęła studia filmoznawcze na Columbii. Tam z kolei zakochała się w wywrotowej twórczości Pasoliniego i Fassbindera. Wiem, wiem, kiedy ogląda się jeden z najgorszych filmów akcji w dziejach – jej „K-19” (2002) z Harrisonem Fordem i Liamem Neesonem w rolach radzieckich dowódców łodzi podwodnej (do dziś płacze, gdy Leeson deklaruje: „Wszyscy jesteśmy dobrymi komunistami”. Ze śmiechu) – jakoś trudno uwierzyć w te intelektual-

ne fascynacje. Spróbuję wam jednak udowodnić, że Bigelow naprawdę bywa wywrotowa.

Nie igra się z męskością?

W ciągu 30 lat kariery nakręciła zaledwie osiem filmów. Niemal każdy jest próbą zmierzenia się z typowo „męskim” gatunkiem: thrillerem, kinem akcji, horrorem, filmem policyjnym, kinem noir czy wojennym. Już jej krótkometrażowy debiut („Set Up” z 1978 roku pokazywał bójkę dwóch mężczyzn, dla której komentarz stanowiła filozoficzna dysputa

są kobiety. Jamie Lee Curtis wciela się tu w policjantkę. Już pierwszego dnia pracy zabija mężczyznę, który rozpoczął strzelaninę w supermarket. Jego broni nigdy jednak nie znalaziono, co prowokuje oskarżenia wobec bohaterki. Jakby tego było mało, zaczyna ją prześladować groźny zabójca. Niby wszystko to już znamy, a mimo wszystko film okazał się intrygującą grą z gatunkiem i stereotypami na temat płci – widzowie ze zdumieniem odkryli, że mogą się identyfikować także z kobietą policjantem. Nie tylko pozeracze popcornu byli usatysfakcjonowani – film „Błękitna stal” podobnie jak inne produkcje Bigelow stał się przedmiotem uniwersyteckich analiz. Wszak Jamie Lee Curtis to ofiara mężczyzn: przez nich pożądana, przesłuchiwana, inwigilowana. Zaszczuta. Reżyserka krytycznie przygląda się światu rządzonemu przez testosteron.

Kolejną grą z oczekiwaniem widowni był inny kasowy hit reżyserki „Na fali”. Tu z kolei agent FBI (Reeves) dostaje zadanie inwigilowania gangu okradającego banki. Bandy-ci,

Nie lubi szuflady „kobiece kino”, nie deklaruje feministycznych poglądów, pracowała jako modelka. Ale gdy zaproponowano jej rolę w feministycznym „Born in Flames”, nie odmówiła

kiedy nie kradną, surfują, przeżąc na deskach swoje opalone ciała. Konwencjonalna opowieść o policyjnej wtyce nieoczekiwanie zmienia się w zupełnie inną bajkę, gdy agent ulega fascynacji życiem surferów i ich przywódcą (Swayze). Machoistyczna historia nabiera rumieńców i każe sugerować homoseksualny podtekst (zobaczcie plakat, a wasze wątpliwości pierzchną – ci dwaj mogliby zagrać za młodu w „Tajemnicy Brokeback Mountain”!). I znów Bigelow igra sobie z męskością.

Twarzą w twarz ze światem

W jej filmach mowa jest o przemocy domowej, o molestowaniu. Nakręcone wspólnie z ówczesnym mężem Jamesem Cameronem (małżeństwo trwało zaledwie trzy lata) „Dziwne dni” (finansowa kłapa, za to kultowy film w uniwersyteckich kampusach) przynoszą z kolei brutalną scenę gwałtu. Kathryn Bigelow wkracza w męski świat, bawi się klockami, które układają jej koledzy po fachu, ale to, co z nich buduje, to już nie są męskie historie. – Nie znoszę przemocy – deklarowała niegdyś królowa kina akcji. – Ale interesuje mnie prawda. A jest ona taka, że przemoc stanowi część naszego życia.

W Hollywood Kathryn Bigelow zaliczyła kilka spektakularnych suk-

cesów i niejedną porażkę. Do tych największych należy zapewne porzucenie marzeń o realizacji filmu o Joannie d’Arc (znów kobieta w świecie mężczyzn i przemocy). Reżyserka kilka lat poświęciła na research i zdobyła fantastycznego, zdawałoby się, producenta – Lucę Bessona. „Company of Angels” miało powstać pod koniec lat 90., jednak Bigelow pokłóciła się z Bessonem o odtwórczynię głównej roli – on chciał, by Joannę zagrała jego ówczesna partnerka Milla Jovovich, ona wolała Claire Danes. Francuski reżyser zrezygnował ze współpracy, a wraz z nim odpłynęły fundusze i... pomysły. W 1998 roku Amerykanka wytoczyła mu proces o kradzież scenariusza. Skończyło się ugodą i „Joanną d’Arc” w reżyserii Bessona, i z Jovovich w roli głównej.

Największym jak dotąd sukcesem Bigelow jest oczywiście „The Hurt Locker”, któremu poświęciła cztery lata i dla którego zaryzycowała nie tylko własne pieniądze. Od początku wiedziała, że obraz nie może powstać gdzieś w Nevadzie udającej pustynię Iraku i w dekoracjach udających Bagdad. – Gdybym tylko dostała zgodę, kręciłabym w samym Bagdadzie – wyznała w wywiadzie dla „GreenCine Daily”. – Ale wystarczająco trudne okazało się skompletowanie ekipy gotowej wyjechać do Jordanii. Do Iraku nie pojechałby nikt.

W Jordanii filmowcom towarzyszyła ochrona i to ona odradziła Bigelow wycieczkę za położoną o kilka kilometrów dalej iracką granicę. „Za dużo snajperów” – usłyszała. Ryzyko zdjęć w uchodzącym za nieprzyjazny Amerykanom kraju opłaciło się i z całą pewnością filmowi nie można odmówić autentyczności. „Gdzie oni, u licha, to nakręcili?” – to jedno z pierwszych pytań, które nasuwa się podczas oglądania.

To, że do bólu realistyczny „The Hurt Locker” i totalnie pogrążony w komputerowych fantazjach „Avatar” stanęły obok siebie w oscarowym wyścigu, pozwala zobaczyć, w jak różnych kierunkach powędrowali filmowcy, którzy przed laty razem zaczęli wspinać się na szczyt kariery i których oprócz małżeństwa łączyło podobne rozumienie kina. W ich wspólnych „Dziwnych dniach” kluczową rolę odgrywa narzędzie zwane SQUID, które pozwala doświadczać przeżyć innych ludzi. To poszukiwany, cenny narkotyk spełniający marzenie o ucieczce od siebie, nudy i rozczarowującego świata. Cameron podał jego śladem w „Avatarze”, udoskonalając wynalazek. Jego bohater, pozostając fizycznie w jednym miejscu, staje się mieszkańcem innego, piękniejszego świata. Nie musi już podglądać innych.

Bigelow też pokazuje, jak spełnić sen o ucieczce od nudnej rzeczywistości – samemu doświadczyć czegoś ekstremalnego. Cameron pragnie ucieczki, Bigelow analizuje to pragnienie. Cameron nas usypia, Bigelow budzi. Wybór należy do ciebie. □

Uroczystość wręczenia

Oscarów odbyła się po zamknięciu tego wydania „Przekroju”

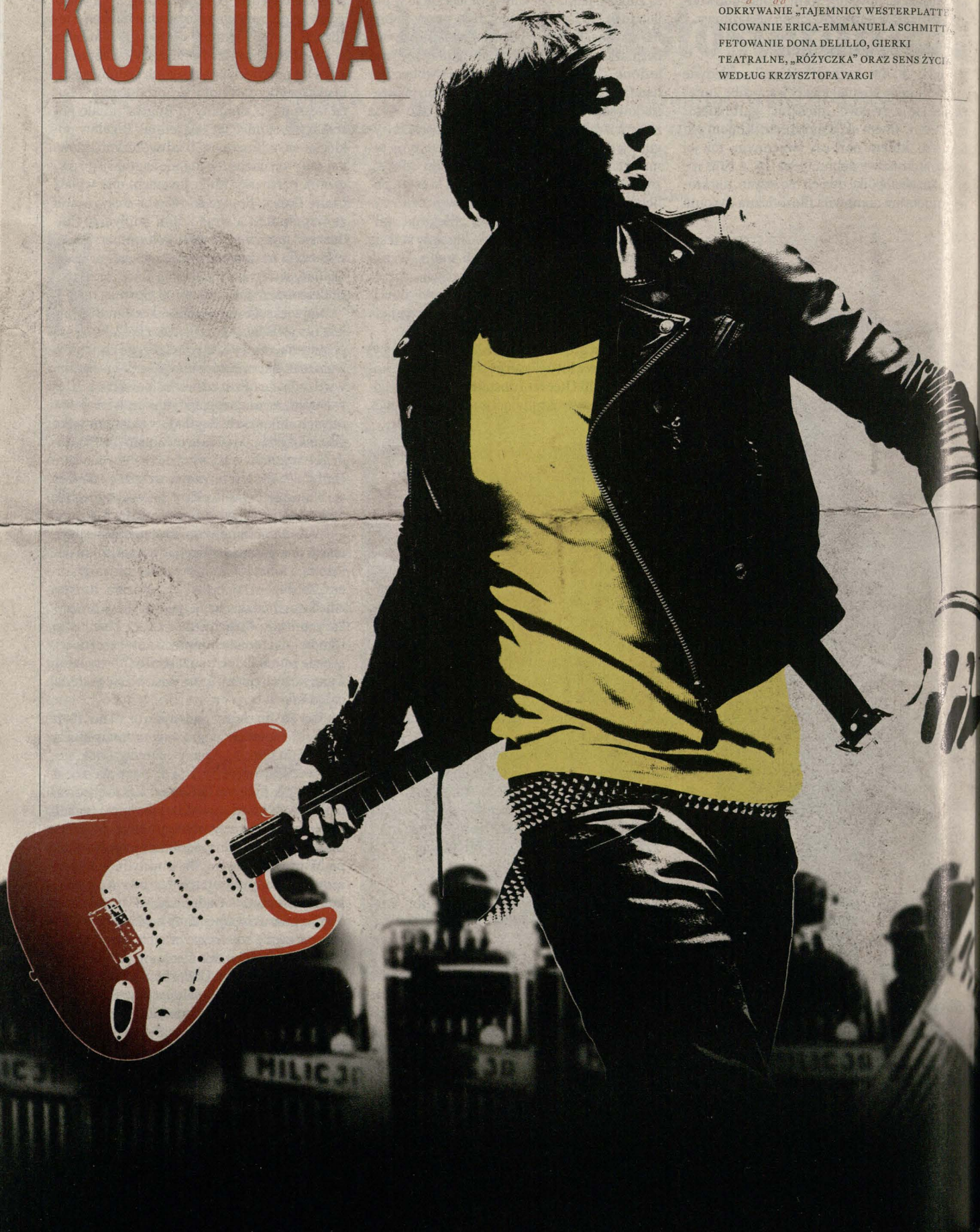
Badania Center for Study of Women in TV and Film, Uniwersytet San Diego

dwóch innych panów na temat przemocy), jasno sugerował, co Kathryn Bigelow naprawdę interesuje – przemoc w męskim wydaniu i jej filmowy obraz. Sposób, w jaki testosteron i adrenalina funkcjonują na ekranie.

Kręciła więc filmy o gangu motocyklowym („The Loveless”), o krwiożerczych wampirach („Near Dark”, 1987), po którym obiecującą reżyserką zainteresował się Oliver Stone. To on wyprodukował jej „Błękitną stal” (1990), jeden z dwóch jej filmów, których bohaterkami

W tym tygodniu:

ODKRYWANIE „TAJEMNICY WESTERPLATTE”,
NICOWANIE ERICA-EMMANUELA SCHMITTA,
FETOWANIE DONA DELILLO, GIERKI
TEATRALNE „RÓŻYCZKA” ORAZ SENS ŻYCIA
WEDŁUG KRZYSZTOFA VARGI



GŁOŚNO O WOLNOŚCI

MŁODY BUNT JAREK SZUBRYCHT

LEKCJA HISTORII W RYTMIE POLSKIEGO PUNKA? TO MOŻLIWE, A NAWET POTRZEBNE. DOKUMENT „BEATS OF FREEDOM – ZEW WOLNOŚCI”, KTÓRY WŁAŚNIE WCHODZI DO KIN, PROPONUJEMY WPROWADZIĆ NA LISTĘ SZKOLNYCH LEKTUR OBOWIĄZKOWYCH

NIE WIERZCIE SAMOZWAŃCZYM KOMBATANTOM, którzy opowiadają dzisiaj, jak z gitarą w ręku i pieśnią na ustach walczyli z komuną. Kłamią jak z nut. Otwarcie z tamtym systemem za pomocą muzyki i tekstów walczyć się nie dało, bo postawa konfrontacyjna oznaczała zakaz koncertowania, szlaban na radio i telewizję, o wydawaniu płyt nie wspominając. Artysta rezygnujący z grania w imię ideałów? Owszem, mogło się zdarzyć, ale były to gesty równie bohaterские, co daremne. Skąd bowiem miałibyśmy znać pieśniarza, który nie śpiewa? Jak miałibyśmy się dowiedzieć o jego nieprzejmowanej postawie? I wreszcie czy nie o to właśnie ówczesnej władzy chodziło – żeby niepokorni zamilkli?

Ale jeśli muzycy rockowi powiedzą wam, że ich twórczość przyspieszyła koniec PRL-u, to już coś zupełnie innego, to święta prawda. O tym jest film dokumentalny „Beats of Freedom – Zew wolności” Leszka Gnoińskiego i Wojciecha Słoty.

Strajki w rytmie reggae

Oto początek: narrator filmu Chris Salewicz, znakomity brytyjski dziennikarz muzyczny, biograf między innymi Boba Marleya i Joego Strummera, przybywa do kraju swoich przodków, by w cieniu Pałacu Kultury pogawędzić z polskimi rockmanami (między innymi z Korą i Tomaszem Lipińskim) o czasach, które jawią mu się jako przerażające i fascynujące zarazem. Salewicz niewiele wie nie tylko o polskiej muzyce („Setki lat temu, chyba w 1967 roku, krewny przywiózł mi płytę Czerwonych Gitar”), ale i o naszej historii, więc dziwi się, kiedy słyszy, że w stanie wojennym patroli milicyjne legitymowały muzyków albo że cenzura zdejmowała wszystko, co mogło być komentarzem do sytuacji politycznej w kraju. Największe wrażenie na dziennikarzu z Wielkiej Brytanii robi jednak to, co słyszy o festiwalu w Jarocinie. – Niczego podobnego nie było w całym bloku sowie-



– Na co stawiasz włosy, na cukier?

– Nie, na złość starym

kim. Byłem w szoku, że uszło wam to na sucho – emocjonuje się Salewicz w rozmowie z „Przekrojem”.

Dla kogo jest „Beats of Freedom”, w którym poza komentarzami Anglika zebrano również znakomite archiwalia – od fragmentów koncertów i kronik filmowych po materiały ze zbiorów prywatnych i dokumenty Służby Bezpieczeństwa? Najmniej dla tych, którzy jeździli do Jarocina lub z wypiekami na twarzy wsłuchiwali się w każdą nutkę „Listy przebojów Programu Trzeciego”. No, chyba że oko zamglone leką nostalgii przymkna na uproszczenia wymuszone próbą upchania tak niejednorodnego i długofalowego zjawiska jak polskie rockowe przebudzenie w 75 minutach filmu. To solidny materiał edukacyjny, który nie przynosi sensacyjnych odkryć, bo powstał z myślą o widzach, którzy PRL-u na własne oczy nie oglądali. Głównie obcokrajowców, którzy nawet jeśli coś o muzyce i życiu w Polsce Ludowej słyszeli, to było to dla nich tak abstrakcyjne i dziwne, że im się pokiełbało. Jak dziennikarzowi prestiżowego angielskiego pisma „The Wire”, który dowodził niedawno w recenzji kompilacji „Polska Rootz”,

że PRL był przesiąknięty brzmieniami dub i reggae, a w latach 80. tłumy rastafarian odzianych w żółć, zieleń i czerwień spotykały się w stoczniach gdańskich, by wyrazić swój bunt przeciw systemowi.

To film, który pomoże zainteresowanym polskimi przemianami ludziom uporządkować fakty, osadzić je na osi czasu, powiązać przyczyny ze skutkami – nie bez powodu historii i polityce poświęca się tu nie mniej miejsca niż muzyce. Ale jest to również film dla Polaków, młodych Polaków urodzonych w latach 80. i później. Dla tych wszystkich, którzy nie znają na pamięć tekstu „Skóry” (słynnej piosenki grupy Aya RL) i nie wiedzą, o co można spytać milicjanta, bo nigdy milicjanta nie spotkali.

Chleb czy igrzyska

Zaczęło się od sześciocodinkowego serialu „Historia polskiego rocka” nakręconego przez Wojciecha Słotę i Leszka Gnoińskiego dla kanału telewizyjnego Discovery Historia. Kiedy zobaczył go Paweł Potorocznyn, szef Instytutu Adama Mickiewicza, zaczął namawiać autorów dokumentu na dokonanie pełnometrażowego podsumowania i zarazem uzupełnienie serialu. W produkcję zaangażowała się również stacja TVN, a Instytut Pamięci Narodowej otworzył swoje archiwia.

Powstał film ważny. Fan punk rocka nie jest tu darmożjadem, dziwolągami i łobuzem, który najlepsze, co może zrobić, to wyrosnąć z glanów i irokeza – a taki jego obraz oficjalne media w PRL-u utrwały na tyle dobrze, że przetrwał zmianę ustroju. Gnoiński i Słota dowodzą, że ci zbuntowani młodzi ludzie mieli nie mniejszy wkład w demontaż systemu niż strajkujący robotnicy. Pozornie mogłoby się wydawać, że stocznicy i górnicy domagali się chleba, a smarkacze tylko igrzysk, ale tak naprawdę jednym i drugim chodziło o to samo – o poszerzenie osobistej wolności, o prawo do samostanowienia. A w takiej walce muzyka rockowa jest bardzo pożyteczną amunicją. – Duch rocka i rolla to duch wolności – potwierdza Chris Salewicz.

Choć w „Beats of Freedom” tak wiele mówi się o polityce, autorzy nie próbują forsować tezy, że polski rockowy bunt miał charakter polityczny. Bo nie miał. Już raczej estetyczny – dzięki koncertom (a w drugiej połowie lat 80. —>



Jarocińska publiczność pyta, milicjanci odpowiadają. Partia prowadzi dialog z młodzieżą

→ również teledyskom) młodzi ludzie zrozumieli, że nie muszą się godzić na szarżę i paraliżującą szpetotę realnego socjalizmu, że mogą żyć inaczej, ubierać się kolorowo, nosić dowolną fryzurę. Ćwierć wieku temu miało to znamiona działalności wywrotowej, godzącej w samo serce systemu. – Rock powinien trzymać się jak najdalej od polityki – uważa Gnoiński. – I tak było też wtedy. Artyści nie godzili się na ówczesną rzeczywistość, ale z polityką nie mieli prawie nic do czynienia. Nie można postawić znaku równości między rockiem a opozycją solidarnościową. Nie było współdziałania. To była zupełnie inna siła, stojąca ponad podziałami politycznymi.

Wentyl (nie)bezpieczeństwa

Władza wiedziała, jak się obchodzić z opozycjonistami. Miała dla nich więzienia, tajnych współpracowników, plutony ZOMO, armat-

ki wodne – do wyboru, do koloru. Z rockmanami poradzić sobie nie umiała lub nie chciała. Najpewniej komuniści zlekceważyli rocka, bo nie widzieli w śmiesznie podrygujących i hałasujących na gitarach młodzieńcach realnego zagrożenia. Ale istnieje również teoria, że władza ludowa cynicznie się rockiem posługiwała, by odciągać młodych ludzi od bibuły i zadym z ZOMO. Autorzy filmu twierdzą, że obie koncepcje są równoprawne. – Tak, władza zlekceważyła rocka. Po pierwsze, była zbyt zajęta walką z opozycją solidarnościową, po drugie, musiała przynajmniej starać radzić sobie z kryzysem gospodarczym, po trzecie, brakowało jej ludzi, którzy potrafiliby zrozumieć młodych – wylicza Leszek Gnoiński. – Owszem, czasem starali się nad tym zapanować, czego przykładem były próby organizowania tak zwanych koncertów wentylowych czy obserwacja festiwalu w Jarocinie. Jednak zupełnie się w tym

nie orientowali, nie mieli o tym zielonego pojęcia. A odciąganie od bibuły i zadym? Wiele osób chodzących na koncerty uczestniczyło w zadymach, a scena punkowo-nowofalowa stworzyła dla swoich wydawnictw (kaset i fanzinów) trzeci obieg. Tego SB w ogóle nie zauważała.

– Dyskusja o rocku jako wentylu jest dla mnie tematem akademickim. Funkcjonariusze nie pisali tekstów piosenek. Z tego punktu widzenia ten rock był autentyczny. A że później te piosenki grało komunistyczne radio? Inne go nie było. Ludzie, którzy stawiają te zarzuty, chodzili do komunistycznych szkół, jeździli komunistycznymi tramwajami i pili komunistyczną oranżadę albo wódkę, więc też się blawili z komuną – ironizuje Słota.

Punk kontra szaleńcy

„Beats of Freedom – Zew wolności” nie jest filmem o polskim punk rocku, ale jest on w filmie silnie reprezentowany. Nie bez powodu. Zespoły rockowe głównego nurtu – od Perfectu po Maną – wydawały płyty, pokazywały się w telewizji, grane były w radiu. Nie uniknęły potyczek z cenzurą (w filmie jest przednia anegdota o tym, jak z trzech piosenek Maanam na liście przebojów Trójki został tylko kilkusekundowy wycinek werbla – i że, paradoksalnie, raczej to zespołowi pomogło, niż zaszkodziło), ale ich losy są w miarę dobrze udokumentowane. Zespoły punkowe były zbyt bezkompromisowe – i w formie, i w treści – żeby nie razić nawet półprzymkniętego oka władzy.

I choć trzeba się było natrudzić, żeby w latach 80. zdobyć ich nagrania, polski punk miał ogromny wpływ na postawę pokolenia, które go zrodziło. – Etos zrób-to-sam, który wywodzi się z brytyjskiego punka drugiej połowy lat 70., zainspirował wielu ludzi do wzięcia spraw w swoje ręce. Nie tylko muzyków, ale i filmowców, pisarzy, projektantów, artystów różnej maści. Święcie wierzę, że życie kulturalne Wielkiej

Wiązanka pieśni bojowych

„Dziwny jest ten świat” Niemena, Jarocin, „Czarna” Brygada Kryzys – o tym wiedzą wszyscy. Poniżej nasza subiektywna lista mniej oczywistych, choć nie mniej ciekawych płyt, postaci i wydarzeń z historii polskiego rocka

Walek Dzedzej Punk Band

Dzedzej chciał być polskim Dylanem, a założył pierwszy polski zespół punkowy (1977 rok!). Dali tylko dwa koncerty. Ich nagrania są równie legendarne, co niedostępne, ale wszyscy znają fragment tekstu, który stał się dla polskich punkowców wzorcem nierzeczywistości: „Nie jestem mały, nie jestem duży/Nie jestem głupi, nie jestem mądry/Nie jestem w partii, nie jestem w KOR-ze/Nie jestem k... nierzeczywistość”.

„Helicopters” Porter Band

Powiało wielkim światem. Zanim John zakochał się w Anicie, był pionierem rasowego rockowego grania w naszym kraju.

Muzyka Młodej Generacji zamiast „Teleranka”

Oczywiście nie dosłownie. Ale faktem jest, że stan wojenny wyrugował z telewizji większość artystów – jednym podziękowano, inni sami zobjęto. Znalazło się miejsce na muzykę rockową. Nie tę najbardziej niepokorną i na krótko, ale to wystarczyło, by masy pracujące miast i wsi połączyła bakcyla.

Dr Huckenbush

Klasa rocka przerobiona na seksistowskie bluzgi. Nihilizm i anarchia plus pijacka rubasność – takie rzeczy nie przeszłyby przez cenzurę nawet

dzisiaj, choć cenzury przecież nie ma. Nie mylić z nowofalowym Dr Hackenbush – skład w przybliżeniu ten sam, ale repertuar diametralnie inny.

Dezerter – „Ku przyszłości”

Chyba ktoś się pomylił. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że czteroutworowy (w tym „Spytaj milicjanta” i „Szara rzeczywistość”) singel tych wywrotowców został wydany przez Tonpress w 1983 roku? To skandal! A właśnie – tu jeszcze śpiewa Skandal.

Republika

Napiszę to czarno na białym – Republika wielkim zespołem była.

Klaus Mitffoch

– „Klaus Mitffoch” Sentymenty sentymentami, ale żyć bylibyśmy sobie, żeby teraz ktoś wydał taką płytę. Ani jeden dźwięk się tu nie

zestarzał i ani jedna, niestety, linijka tekstu. „Chować się, bo nadbiega tłum/Chyba że ktoś chce się z tego pośmiać/Wiele rąk i zbyt mało głów...” – może któryś z kandydatów na prezydenta szuka hymnu wyborczego?

Rozgłosnia Harcerska/„Na przełaj”

Harcerskie radio i organ prasowy ZHP. Rockowy wallenrodyzm i punkowy makiawelizm w najczystszej postaci. Dla tych spoza wielkich miast, co nie bywali w Jarocinie, jedyne źródła informacji o dobrej muzyce i kielkującym undergroundzie.

Dupa/Püdelisi

Tragiczny mit i osobny świat Piotra Marka, gościnny udział Kory na pierwszej płycie oraz przemiana Macieja Maleńczuka z ulicznego grajaka w rockowego szamana. Nie mylić z Püdelisami po 1999 roku.

FOT. ITI, WŁODZIMIERZ PNIEWSKI/REPORTER, ANDRZEJ IWANCIUK/REPORTER

Brytanii do dziś pozostaje pod przemożnym wpływem punka. Nie mam wątpliwości, że podobnie było w Polsce. Muzyka naprawdę zmienia świat, bo otwiera ludziom głowy – tłumaczy Salewicz, po czym zastrzega, że widzi fundamentalną różnicę pomiędzy angielskim a polskim punkiem. Nie tyle w istocie samej muzyki czy idei, ile przede wszystkim w okolicznościach zewnętrznych. – Największa różnica to opresyjny charakter waszego państwa. U nas punk był antyestablishmentową satyrą, w Polsce sprawa była o wiele poważniejsza. Raporty tajniaków na temat punków, które widać w „Beats of Freedom”, brzmią jak zapiski szaleńców. A szaleńców trzeba się bać.

– Ludzie z tego środowiska dorosli i niektórzy dzisiaj zajmują poważne stanowiska. Ale to, co robili w latach 80., trwale wpłynęło na ich sposób myślenia i pojmowania świata. Weszli do establishmentu, ale na nasze koncerty nie przychodzą w garniturach, lecz w T-shirtach. Lubię myśleć, że ta muzyka pozytywnie wpłynęła na ich postawę moralną i wybory życio-

Władza zlekceważyła rocka. Była zajęta walką z opozycją i nie miała ludzi, którzy rozumieliby młodych

we – mówi Krzysztof Grabowski, perkusista i tekściarz Dezertera. Martwi go tylko to, że w rozwój sceny niezależnej zaangażowanych jest zbyt mało przedstawicieli młodego pokolenia. – Zmienił się sposób kontestowania rzeczywistości. Dzisiaj, jeśli nie podoba ci się w Polsce, możesz wziąć walizkę i wyjechać. Nie musisz uczyć się grać na gitarze i wrzeszczeć, bo to zbyt wielki kłopot. Bilet za 200 złotych to prostsze rozwiązanie.

Siła egzotyki

Docenić piękno mitu o nieustraszonych Dawidach rocka, którzy za pomocą własnoręcznie struganych instrumentów stawiali czoła Goliatowi totalitaryzmu, to jedno, a słuchać ich płyt – to już kolejny stopień wtajemniczenia. Niewiele ważnych albumów z tamtych czasów można znaleźć na sklepowych półkach. Jest reszta wiele zespołów, które od dekad czekają na swój fonograficzny debiut. Niektóre się doczekają. Pojawiało się bowiem kilka firm, które próbują ocalić od zapomnienia historię polskiego rockowego undergroundu, na przykład oficyna W Moich Oczach, która wydała między innymi archiwalne nagrania Siekiery (znakomity album „Na wszystkich frontach świata”), Mikrofonów Kanionów czy Made In Poland, a zająłaby pięciopłytowy boks z jarocińskimi rarytasami z lat 1980–1985.

Założmy jednak, że płyty są łatwo dostępne. Nie tylko w naszym kraju. Czy fani muzyki z USA lub Wielkiej Brytanii mogliby się nimi zainteresować? Czy w ogóle mieliby na nich czego szukać? – Od kiedy modna stała się world music, czyli od jakichś 25 lat, jest na Zachodzie publiczność gotowa zignorować barierę językową, a to jedyna przeszkoda. Jeśli polską muzykę sprytnie promować, może zdobyć sporą popularność – dzięki swej egzotyce. Znam faceta z Nowego Jorku, który ma wszystkie polskie płyty punkowe – mówi Chris Salewicz. – Mnie też po głowie krążą refreny kilku polskich utworów. Teraz dźwięczy mi w uszach kawałek Dezertera.

Chris nie zdradził, jaka piosenka Dezertera chodzi mu po głowie. Obstawiam „Mój kraj”: To jest mój kraj/Bo tu się urodziłem/I tutaj pewnie umrę/Ale dlaczego mam się cieszyć z tego, że/To jest mój kraj/Bo tu się urodziłem... □

„Beats of Freedom – Zew wolności”, reż. Leszek Gnoiński, Wojciech Słota, Polska 2010, ITI Cinema, 75', premiera 12 marca

VOX FM Więcej na ten temat słuchaj w Radiu VOX FM we wtorek 9 marca o godz. 20.00

Czwarta strona kultury

BARTEK CHACIŃSKI

Wyobraźmy sobie imprezę pożegnalną z prawdziwą kulturą

WIECIE, CO TO NAKED SUSHI? NIE, skądże, to nie jest goła baba pokryta ryżem, rybą i sosem sojowym. To „smak erotyki, który stymuluje zmysły i uruchamia wyobraźnię”, jak napisała do mnie niedawno pewna agencja, polecając nowy trend wyszynku na imprezy firmowe. Trafili w punkt. W końcu pożegnalny felieton to coś w rodzaju takiej imprezy. Autor (na co dzień zajmujący się zresztą samoobnażaniem) i czytelnicy (nieustannie uruchamiający wyobraźnię) rozstają się ze sobą, co wypada jakoś uczcić. Zajmowałem się tu kulturą widzianą z perspektywy nie pierwszej, tylko czwartej strony. I świetnie się składa, bo takie firmy jak agencja „K” (zostałmy przy tym kryptonimie, ale jest prawdziwa) handluje kulturalną oprawą ze strony czwartej, o ile nie piątej nawet. To czwartostronicowcy



Naked sushi. Nie tylko hiphopowcy na kobiecie mówią per „sztuka”...

odkrywają nowe rejony świata kultury. Właściwie to wystarczy, że coś nazwą słowem na „k” i już. Nie porównują więc naked sushi z damskim tańcem na rurze albo męskim striptizem. „W Japonii jest to sztuka” – piszą. Jasne, sądząc po kilku fragmentach tamtejszych kreskówek dla dorosłych, które widziałem – mamy kulturowo sporo do nadrobienia, zresztą głównie w dziedzinie obserwacji ludzkiej anatomii. A gdyby ktoś miał wątpliwości, co jest sztuką, a co nie – sprzedaje to „imprezariat artystyczny”, nie „agencja towarzyska”. A nazwa jest kluczowa. Nie chodźcie chyba do mięsnego po warzywa?

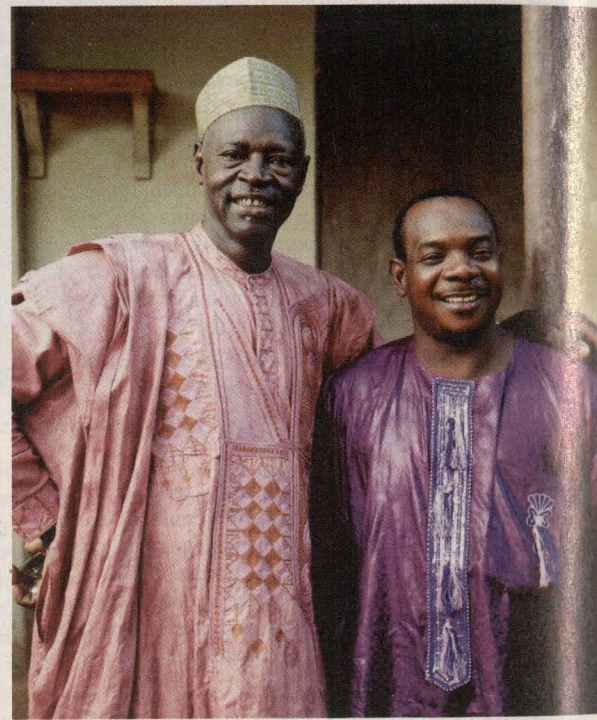
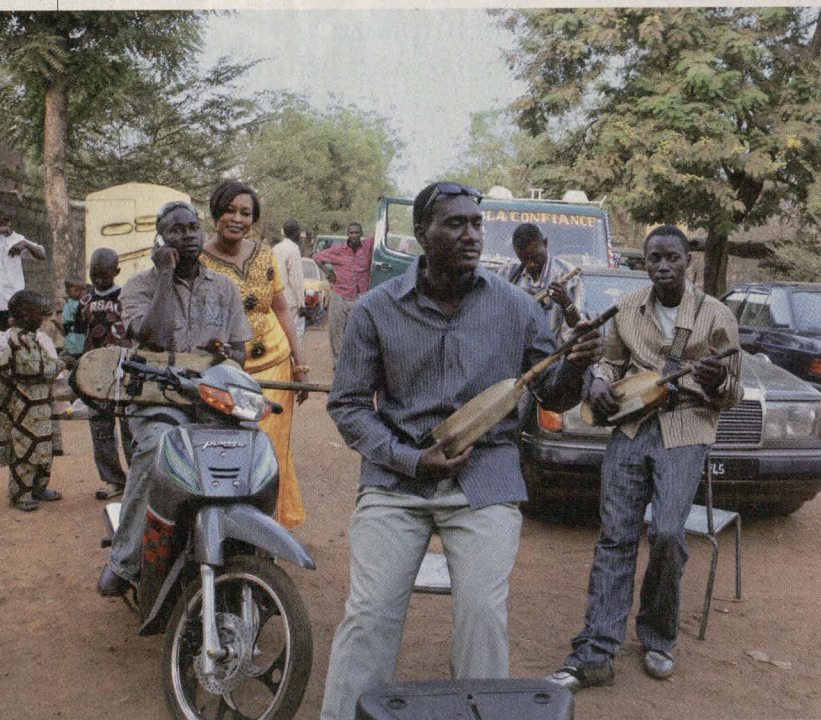
Do tego pociętego lososia w wodorostach przydałby się ktoś z ciętym dowcipem. W ofercie agencji „K” – gdzieś między Skibą a Kałamagą – jest mój cichy idol Artur Andrus. „Spotkania, koncerty czy wspomniane uroczyste gale prowadzone przez Artura to imprezy na najwyższym poziomie, pełne niewybredne-

go humoru i świetnej atmosfery” – czytam w opisie. To ja głupi tak się wstydzę, że bawią mnie kawały o puszczeniu bąków, a tymczasem Andrus też lubi niewybrednie! Żeby przynajmniej jedna osoba (oprócz mnie) śmiała się z tych żartów, wynajmę Katarzynę Pakosińską. Ten śmiech – zauważa agencja – sprawi, że „każda impreza będzie udana na 100 procent”. Czasem mam wrażenie, że tylko jednej osoby na świecie nie śmieszy śmiech Pakosińskiej. Mojej żony. Co uznaje za zbieg okoliczności pomocny w ce-

lu wymienienia mojej żony w tej serii felietonów po raz ostatni. Kto to poprowadzi? Może Kammel? Nie dostał roboty w TVP, więc nie będzie chyba drogi. A ja się żegnám, a nie witam – budżet mam cieniutki, prędkiej bym poszedł z torbami, niż wyłożył na Torbicką.

Kto zagra? Golec uOrkiestra. Są wszędzie, nigdy się nie spóźniają do telewizji śniadaniowej, to jest szansa, że i tu przyjadą zgodnie z zamówieniem. Poza tym nawet jak jeden zachoruje, to mamy drugiego i możemy napisać, że „Golec uOrkiestra soundsystem” albo „solo projekt”. Teraz trzeba tylko zadbać, że ktoś przyjdzie (oprócz żony). Ściągnę więc Krzysztofa Hołowczyca, który w menu agencji „K” figuruje również – co prawda imprez nie prowadzi, ale można go zaprosić w roli „celebryty”. Czyli gościa. Dalej nie będę się rozpędzał. I tak wystarczy, żeby ta ostatnia Czwarta strona odeszła z odpowiednim echem. I jeszcze cicha refleksja: Ludzie odchodzą na stronę, ale strony zostają. Po raz ostatni jestem na Czwartej, ale ta strona za tydzień też będzie czwarta, nigdy ostatnia. Co więcej, nie będzie świeciła pustką. Proszę tu zaglądać. Obiecuję, nie będzie goła jak to naked sushi. □

Afryka nie taka dzika Ali Farka Touré sprawił, że świat zainteresował się Mali. A Bassekou Kouyate doczekał się prawdziwej mody na muzykę z tego kraju



Ali & Toumani” to kontynuacja jednej z najważniejszych płyt w dziejach muzyki afrykańskiej. Poprzedni album tego samego duetu – Alego Farki Touré i Toumaniego Diabaté – „In the Heart of the Moon” zdobył nagrodę Grammy i po raz kolejny zwrócił uwagę świata na niezwykłą muzykę z Mali. Co z tego, że już wcześniej bluesmani uważali ten kraj za kolebkę swojej muzyki, co z tego, że Martin Scorsese poświęcił temu zjawisku film dokumentalny – o tym trzeba było się przekonać samemu. A majestatyczna muzyka duetu Ali & Toumani nawet w drobnej dawce pociąga jako egzotyczna mieszanka wiejskiej bluesowej muzyki gitarowej i dostojnego, dworskiego grania na korze, miejscowym odpowiedniku harfy, instrumencie, na którym w rodzinie Diabaté – jak przystało na klanowy charakter muzyki z Mali – grywa się od wielu pokoleń.

Zderzenie tych dwóch żywiołów było genialnym pomysłem pięć lat temu i pozostaje nim do dziś. Materiał na drugą płytę nagrany został naprędce przy okazji trasy koncertowej duetu w Wielkiej Brytanii, ponownie w studiu Nicka Golda, tuż przed wykryciem u Touré nowotworu i na rok przed śmiercią

★★★★



Bassekou Kouyate & Ngoni Ba „I Speak Fula”,
Next
Ambience/
Sub Pop

★★★★



Ali Farka Touré & Toumani Diabaté „Ali & Toumani”,
World
Circuit/
Nonesuch

tęgo nestora malijskiej sceny. Dziś, gdy na fali rosnącej mody na muzykę afrykańską album „Ali & Toumani” dostał entuzjastyczną recenzję od serwisu Pitchfork, lubianego przez młodzież w stylu indie, sukces ten zostaje skonsumowany do końca. Ba, kolejny artysta z Mali – Bassekou Kouyate – doczekał się wydania swojej znakomitej bluesowej płyty „I Speak Fula” przez wytwórnię Sub Pop. Tak, tę z Seattle, tę od Nirvany.

Kouyate to uczeń wielkiego Alego i wieloletni współpracownik wielkiego Toumaniego. Gra na ngoni, podługim drewnianym instrumencie strunowym obciążonym kozią skórą – bluesmani uważają go za przodka banjo. I chociaż Kouyate wraz ze swoją grupą Ngoni Ba ubierają się na ludowo, nie są już tak egzotyczni dla zachodnich uszu jak kiedyś Touré. Czasy się zmieniły – znajdziecie ich w MySpace i spotkacie na letnich festiwalach, gdzieś obok orkiestry Toumaniego Diabaté czy Tuaregów z Tinariwen, tegorocznych gości Open’era. Będą próbowali konkurować z Vampire Weekend i innymi młodymi grupami inspirującymi się afrykańską rytmiką. I pokażą im, gdzie... bociany zimuja. □

CO (NOWEGO) SŁYCHAĆ W AFRYCE



Salif Keita „La différence”, Universal

★★★★



Różni wykonawcy „Nigeria Afrobeat Special: The New Explosive Sound in 1970's Nigeria”, Soundway

★★★



Angélique Kidjo „Oyo”, Naive

OD LAT JEDNA Z NAJBARDZIEJ rozpoznawalnych postaci muzyki afrykańskiej. Głos wybitny, ale tu w aranżacjach słyhać już bardziej Europę niż Afrykę. Jego marcowy koncert we Wrocławiu to oblig! Więcej o artyście na s. 38.

KOLEJNA CZĘŚĆ KAPITAŁNEGO cyklu składanek z rozbujanego rytmiczności w latach 70. Lagosu. Tym razem afrobeat – w nagraniach, które nie wyszły kiedyś poza granice Nigerii, za to wyszły poza kanoniczny repertuar Feli Kutiego.

WOKALISTKA Z BENINU (NA ZACHÓD od Nigerii) jest ambasaderką Afryki w salonikach klasy średniej. Może dlatego, że od 25 lat mieszka w Paryżu. Mnie nie wzrusza, ale w swej misji łączenia muzyki afrykańskiej z popem – wciąż pożyteczna. – bach

Lao Che osiągnęli sukces, ale nie mają łatwo. W znakomitych „Gusłach” i jeszcze lepszym „Powstaniu Warszawskim” treść wymuszała formę. Muzycy nie chcieli jednak dać się zamknąć w szufladce, uciekli w popłochu od gęby Zespołu-Który-Robi-Słuchowiska, nieoczekiwanie wstępując do małego prestiżowego klubu etatowych obiedzaczy juvenaliów. „Gospel” była jeszcze szpagatem pomiędzy starym a nowym, ale „Prąd stały/Prąd zmienny” to już tak zwany rock studencki pełną gębą. Z jednej strony dość eklektyczny (sporo elektroniki i nawiązań do lat 80. – to interesująca nowość) i kipiący energią, ale z drugiej jednym uchem wlatujący, a drugim wylatujący. Głównie dlatego, że trudno zrozumieć, o co tyle hałasu – teksty Spiętego są coraz bardziej efekciarskie, za to coraz mniej zrozumiałe.

Grabaż za to dobrze wie, czego (nie) chce. „Dodekafonia” to wypowiedź zmęczonego pana w średnim wieku, którego z letargu wyrwać może tylko kobieta lub ojczyzna. Piosenki o miłości wyszły nieźle, szczególnie skoczna „Twoje oczy lubią mnie” oraz „Dziewczyna o chłopcach sutkach”, czyli ładnie napisany („Nasze usta z tortu tortury/Wisnieją ranami od zacałowania”) erotyk, równie urodliwie zaśpiewany w duecie z Natalią Fiedorcuk.

Jeszcze mocniejsze są te o Polsce. Choć miłość do ojczyzny to trud-

JAREK SZUBRYCHT

Z prądem czy pod prąd?

Lao Che się zbuntowali, więc brzmią grzeczniej niż kiedykolwiek, a Strachom na Lachy buntować już się nie chce



Lao Che „Prąd stały/Prąd zmienny”, Antena Kryku/ Open Sources



Strachy na Lachy „Dodekafonia”, SP

ne uczucie (za to jej porównanie do syndromu sztokholmskiego – przednie), choć pada deszcz, babacie wymachują parasolkami, brudasy strzygą wąsami, a wszyscy pospółu chcą podmiot liryczny zrobić w ch... (sic!) – lider Strachów na Lachy mówi o nich bez agresji, łącząc cynizm z melancholią. Jego teksty są siłą tej płyty, za to ich anemiczna interpretacja – największym balastem. Przyjmuję do wiadomości, że panowie „już nie mieszkają w Punk Rock City”, ale monotonne marudzenie Grabaża ujmuje tym kompozycjom, i tak nieszczególnie porywającym, zbyt dużo animuszu. Oto odwieczny paradoks – młodzież krzyczy głośno, choć niewiele ma do powiedzenia, a stary mędrzec mamrocze pod nosem. Czy ktoś usłyszy? □

Wyraźnie wyrwana z letargu grupa **Strachy na Lachy**. Kobieta to sprawiła czy ojczyzna?



The Subways

25.03 LOCH NESS / KRAKÓW
26.03 ESKULAP / POZNAN
27.03 STODOŁA / WARSZAWA

SUICIDAL TENDENCIES

30.03 STODOŁA / WARSZAWA

METHODMAN

31.03 STODOŁA / WARSZAWA

KATATONIA

31.03 ROTUNDA / KRAKÓW
1.04 STODOŁA / WARSZAWA

Editors WYPRZEDANY

9.04 CK ZAMEK / POZNAN

AFI

21.04 STODOŁA / WARSZAWA

afesana

ASKYLIT DRIVE
+ EMAROSA, BURY TOMORROW
11.05. STODOŁA / WARSZAWA

BLACK REBEL
MOTORCYCLE CLUB
23.05 STODOŁA / WARSZAWA

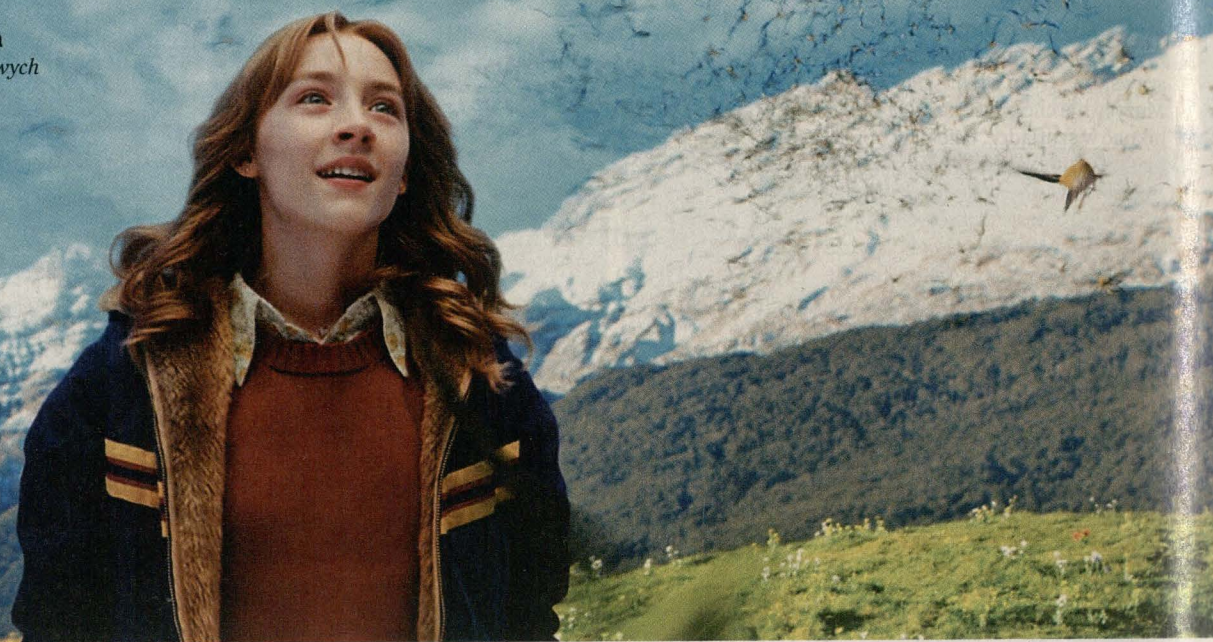
PENDULUM
DJ SET
23.04 STODOŁA / WARSZAWA

BEATSTEAKS
16.06 PROXIMA / WARSZAWA

BILETY DO KUPIENIA W SIECI TICKETPRO (salony EMPIK, sklepy MEDIA MARKT i SATURN, wybrane punkty RUCH i inne). Pełna lista punktów sprzedaży oraz sprzedaż internetowa: www.ticketpro.pl. Pytania w sprawie biletów? Dzwoni: (32) 352 00 04

TICKETPRO
www.ticketpro.pl

Świetna
Saoirse Ronan
w bezwyznaniowych
zaświatach



++ MICHAŁ OLESZCZYK

Karkołomny Peter Jackson „Nostalgia anioła” to film równie niedobry, co wart obejrzenia

Najambitniejsza porażka w karierze Petera Jacksona zamyka jego twórczość w pętelkę: Nowozelandczyk zjeździł Śródziemie, stał się władcą Oscarów, przerobił ukochanego „King Konga” (2005) na kinowe PlayStation – i oto wraca do tematyki własnych „Niebiańskich istot” (1994). W tamtym filmie dwie nadpobudliwe nastolatki tkwiły jedną nogą w rzeczywistości, a drugą w dzikich fantazjach. Kiedy rzeczywistość upominała się o swoje prawa, fantazja zwyciężała. Matkobójstwo z finału było logicznym triumfem świata wyśnionego: cóż z tego, że w prawdziwym lała się krew...

W „Nostalgii anioła” jest dokładnie tak samo, tyle że tym razem bliżej nam do ofiary niż oprawcy. Ów ryzykowny film – baśń o psychopacie rąbiącym na kawałki małą dziewczynkę snuta z nieba przez jej ducha

– jest równie niedobry, co wart obejrzenia. Olśnienia mieszają się w nim z fatalnymi pomyłkami. Prerażający, zmieniony nie do poznania Stanley Tucci tworzy jedną z najlepszych kreacji roku: jego potwór z sąsiedztwa to prawdziwa martwa dusza, w której tli się tylko zło (wszystko inne zgasło).

Tymczasem Rachel Weisz brakuje postaci do zagrania, Mark Wahlberg miotają się w poszukiwaniu reżyserskiego wsparcia, Michael Imperioli stara się nie być Christopherem z „Rodziny Soprano”, a Susan Sarandon manierycznie odgrywa boginię seksu po sześćdziesiątce.

Jak reagować na film, w którym zdumiewająca dojrzałość młodej Saoirse Ronan walczy o lepsze z osłupiającym kiczem sekwencji niebiańskich? Komputerowe, bezwyznaniowe

„Nostalgia anioła”,
reż. Peter Jackson,
USA/Wielka Brytania/
Nowa Zelandia
2009, UIP,
135', premiera
12 marca

zaświaty Jacksona przypominają reklamówkę telefonii komórkowej z połowy lat 90. Dzisiaj – dzięki nie tylko „Avatarowi”, ale i „Władcy pierścieni”! – poprzeczka wisi już na tyle wysoko, że Jackson sam się o nią potyka.

Jest to w zamierzeniu film o żałobie (amerykański krytyk nazwał źródłową powieść Alice Sebold „próbą ukojenia traumy 11 września”). Absurdalna śmierć dziecka czyni wyrwę w świecie doczesnym, w której w końcu wyrastają nowe międzyludzkie relacje. I choć jest to filozofia mądra, podana została w formie infantylnej i często żenującej.

„Nostalgia anioła” to karkołomny stop „Uwierzyć w ducha” (1990), „Milczenia owiec” (1991) i bajki o Babie-Jadzie. Brzmi fascynująco, ale kark naprawdę się łamie. I nic nie przychodzi Jacksonowi z pomocą.

Mogłabym marudzić i czepiać się, ale właściwie co w tym złego, że „Trick” jest kinem akcji na miarę naszych możliwości? Fabuła spełnia podręcznikowe standardy – protagonista to złodziej o złoty sercu, który zawiera układ ze skorumpowanymi przedstawicielami władzy: kasacja wyroku za podrobienie sześciu milionów dolarów na okup za posła porwanego w Afganistanie. W otoczeniu fałszerza znaleźli się: kochająca dziewczyna, barwni koledzy z celi,

mentor. Minusy? Reżyser za bardzo skupia się na zawiązywaniu fabuły, a potem wyjaśnianiu, kto, co i jak (trochę zaufania do widza!), zamiast pilnować tempa akcji. Irytujący jest też kompleks wobec Ameryki, jakby w Polsce nie dało się zrobić filmu sensacyjnego bez agentów z USA. Da się, a na zachętę – trzeci plus.

– Ola Salwa

„Trick”, reż. Jan Hryniak,
Polska 2010, Kino Świat, 95',
premiera 12 marca



Prawie jak w mennicy.
Piotr Adamczyk przy pracy

Film podręcznikowy

„Trick”, czyli kino akcji na miarę
naszych możliwości

KORCI MNIE, ABY PISZĄC O FILMIE Jana Hryniaka, porównać go do taniach podróbek, w końcu bohaterem jest tu fałszerz. Jednak porównanie nie całkiem byłoby trafne, bo „Trick” nie kalkuluje bezmyślnie, lecz próbuje na polski grunt (z polskim budżetem) przesczepić hollywoodzkie wzorce.

+++ MAŁGORZATA SADOWSKA

Jaka róża, taki cierń Jan Kidawa-Błoński obnaża – szkoda, że nie to, co trzeba

Kto wie gdyby nas lepiej i piękniej kuszone/słano kobiety różowe płaskie jak oplatek” – pisał Herbert w „Potędze smaku”, a Kidawa-Błoński nakręcił film otakim właśnie kuszeniu. Szkoda tylko, że raczej niesmaczny. Głównie skupiony nie nawałach scenariusza, lecz na osobistych Magdaleny Boczarńskiej, której ciało (nie takie znów płaskie) eksponowane, a wręcz eksplotowane jest tu ponad sens imię. Jej bohaterka Kamila Sa-

kowicz wabi swym seksapilem Romana Rożka, oficera SB, herbertowskiego „chłopca o twarzy ziemniaczanej” (bez urazy, to charakterystyka postaci, a nie Roberta Więckiewicza). Ten chce, by ukochana inwigilowała zaangażowanego w opozycyjną działalność pisarza Adama Warczewskiego. Intelktualistę jak zwykle zagrał Andrzej Seweryn, interesujący wroli starzejącego się mężczyzny, który widząc szansę na ostatnią miłość, traci czujność i rozsądek.

ROZMOWA

Ten film to fikcja

Wnuczka Pawła Jasienicy Natalia Cieczott
wyjaśnia kulisy batalii o „Różyczkę”

Pani mama Ewa Beynar-Cieczott, córka Pawła Jasienicy z pierwszego małżeństwa, wystąpiła z oficjalną prośbą o niełączenie filmu „Różyczka” z życiorysem pisarza. Dlaczego?

– Chodziło nam o to, by w materiałach promocyjnych nie umieszczać informacji, że „Różyczka” to film na podstawie biografii dziadka. Zapośredniczem prawnika wysłaliśmy więc do firmy dystrybucyjnej Monolith, jak również do reżysera, pismo z taką prośbą. Ponieważ pewne fakty i postaci wydają się podobne do tych z biografii Pawła Jasienicy, chcieliśmy zapobiec wprowadzeniu w błąd widzów, którzy nie znają jej z dobru.

Czy Jan Kidawa-Błoński w ogóle kontaktował się z waszą rodziną, gdy pracował nad filmem?

– Autorzy poprzednich filmów dokumentalnych czy publikacji na temat dziadka rozmawiali z nami, zbierali materiał. Pan Kidawa-Błoński

kontaktował się z mamą tylko na początku prac nad filmem i już z tego, co wtedy opowiadał, wynikało, że fabuła będzie odbiegać od biografii Jasienicy. Obiecał jednak, że mimo wszystko pokaże nam gotowy scenariusz. Nie dotrzymał słowa.

Pojawiły się pogłoski, że pani rodzina chciała zakazać emisji filmu. Są prawdziwe?

– Nie mamy nic do „Różyczki” ani do jej reżysera. Ten film to fikcja. Zależało nam tylko, by widzowie zdawali sobie z tego sprawę. – not. kp



„Różyczka”,
reż. Jan Kidawa-Błoński,
Polska 2010,
Monolith

Woda więc czy francuskie wino? Ziemniaczany brutal czy subtelny intelektualista? Pieprzenie czy czułość symbolizowana – oczywiście – przez splecione dłonie? Tak, pięknie (istotnie) kuszona TW „Różyczka” nieuchronnie przechodzi na stronę figuranta ku rozpacz i wściekłości ekskochanka i zarazem jej oficera prowadzącego. A właściwie pozostaje w rozroku, wszak nie przestaje słać Rożkowi raportów.

Oile jednak motywacje esbeka, który sam ma coś doukrycia, i pisarza – Pigmaliona są jasne, o tyle Kamilę reżyser pozbawił mocy sprawczych, czyniąc tę najciekawszą przecież postać kukłą wędrującą z rąk do rąk. Cwana czy naiwna? Zepsuta czy zagubiona? Skoro nawróciła się najasną stroną mocy – czemu tkwi w kłamstwie? Nie ma w tym, niestety, mrocznej tajemnicy, jest tylko brak pomysłu na poprowadzenie bohaterki. „Różyczka” jest melodramatem z ’68 rokiem w tle, a w historii Warczewskiego pobrzmiewają dalekie echa biografii Jerzego Zawieyskiego czy Pawła Jasienicy (którego druga żona też była agentką bezpieczeństwa, też pracowała na uniwersytecie). Niepotrzebnie jednak do filmu włączono zdjęcia archiwalne – miast współtworzyć klimat, rozbijają go. Drętwo

brzmia wustach bohaterów polityczne dialogi, razi dosłowność – szczególnie w finałowych scenach. Kidawa-Błoński nie kusi wystarczająco pięknie, by uwieść.

Film z cyklu
Wiesz co dobre



KRAWIEC Z PANAMY

wtorek 16 marca 20.15 TVP1

Egzotyczne wakacje z kolorowymi drinkami i pięknymi kobietami. Na taki pobyt w Panamie szykuje się Andy Osnard (Pierce Brosnan), cyniczny agent MI-6. Mimo pięknych okoliczności przyrody jest to rodzaj zesłania dla szpiega, który skompromitował się podczas poprzednich akcji. Teraz snując się między drapaczami chmur i dzielnicami absolutnej nędzy, musi wykonać pewną chałturę. Po przybyciu do Panamy Andy namawia do współpracy krawca Henry’ego Pendela (Geoffrey Rush), który podczas przymiarek poznaje tajemnice lokalnych dygnitarzy. A przynajmniej tak twierdzi... W filmie prawda miesza się z fikcją, wrogowie ze sprzymierzeńcami, a tropikalny klimat Ameryki Środkowej zagęszcza atmosferę. Wciągająca intryga, fantastyczne plenery oraz wspaniały duet aktorów to trzy pierwsze z brzegu powody, aby obejrzeć „Krawca z Panamy”. Jeśli to za mała zachęta, z przyjemnością dodajemy, że film jest adaptacją powieści Johna Le Carrégo. Miłej podróży!

Wiesz co dobre

Program **Wiesz co dobre** to system rekomendacji Śkody.

W telewizyjnej odsłonie akcji spośród tysięcy tytułów wybraliśmy dla Ciebie najciekawsze pozycje filmowe z ostatnich lat. Przy wyborze kieruj się jednak przede wszystkim własnym gustem, bo przecież sam najlepiej wiesz, co jest naprawdę dobre...



Reżyser Paweł Chochlew na planie z Bogusławem Lindą i Janem Englertem

Westerplajta?

Realizacja kontrowersyjnej „Tajemnicy Westerplatte” Pawła Chochlewa stoi pod znakiem zapytania. Tym razem jednak nie z powodu obrazoburczych scen wpisanych w scenariusz, ale kłopotów finansowych

BITWA O KINO KAROLINA PASTERNAK

Gdy w sierpniu 2008 roku wokół „Tajemnicy Westerplatte” wybuchł skandal związany z umieszczeniem w scenariuszu scen libacji alkoholowych oficerów polskiej armii i chrzczenia moczem portretu marszałka Edwarda Rydz-Śmigłego, zarzucano reżyserowi Pawłowi Chochlewowi (znanemu z ról w serialach „Skorpion” i „Adam i Ewa”), że nic nie wie o historii, pisaniu scenariuszy i reżyserii. Chochlew ataki odparł. Tłumaczył, że jego ojciec był wojskowym, więc w dzieciństwie wdychał zapach oliwy do karabinów, pochłaniał książki historyczne, także te dotyczące bitwy o Westerplatte. O ile przygotowane na prośbę Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej opinie ekspertów, między innymi profesora Tomasza Nałęcia, potwierdziły kompetencje historyczne Chochlewa, o tyle ostatnie kilkanaście miesięcy prowokuje do zastanowienia się nad kompetencjami organizacyjnymi reżysera i producentów Jacka Lipskiego z firmy Pleograf i Litwina Robertasa Urbonasa. Premiera „Tajemnicy Westerplatte” miała uświetnić obchody 70-lecia wybuchu II wojny światowej. W kilka miesięcy po tych obchodach film wciąż nie jest go-

towy, a część ekipy filmowej nie dostała pieniędzy za wykonaną pracę.

Gasną światła

Oficjalnym powodem przerwania w listopadzie 2009 roku zdjęć na Litwie, gdzie przeniesiono produkcję, po tym jak zakazano jej wstępu na Westerplatte, była choroba Bogusława Lindy, odtwórcy roli majora Henryka Sucharskiego. – Choroba pana Bogusława okazała się zrzędzeniem losu – tłumaczy jednak „Przekroju” Adam Wilk pracujący przy filmie jako operator dźwięku. – Gdyby nie ona, produkcja stanęłaby z powodu braku środków finansowych. Gdy dotarliśmy na Litwę, dekoracje nie były gotowe, bo ekipa, która je budowała, nie dostała złamanego grosza, więc przerwała pracę. Podczas jednego dnia zdjęciowego dwa razy skończyło się paliwo do generatorów prądu. Ktoś wsiadał z bańką w samochód, przywoził ropę, a za kilka godzin światło na planie znów gasło. Pracuję w zawodzie od kilkunastu lat, ale czegoś takiego jeszcze nie widziałem – mówi Wilk.

– Powstaje pytanie, co się stało z budżetem filmu w wysokości 11,5 miliona złotych, z czego

3,5 miliona to dofinansowanie PISF? – pyta Tadeusz Paradowicz, szef Studia N-Art, które „Tajemnicy Westerplatte” wypożyczało kamery i któremu produkcja także winna jest pieniądze.

– Słyszałem z różnych źródeł, że producent „Tajemnicy Westerplatte” Robertas Urbonas ma na Litwie procesy o niewywiązywanie się z płatności należnych kontrahentom filmowym – dodaje Wilk. – W wywiadach twierdzi, że ekipa sukcesywnie dostaje pensje, co jest kłamstwem – mówi Paradowicz.

Paweł Chochlew w rozmowie z „Przekrojem” zdecydowanie broni produkcji. Jak twierdzi, do dziś zrealizowano 70 procent zdjęć. Natomiast umowy ze sponsorami były podpisane w taki sposób, że płatności od nich producenci otrzymają dopiero po zrealizowaniu całości. Teraz Chochlew ma więc połowę budżetu, natomiast członkowie żądają, żeby wypłacił im całość wynagrodzenia.

Reżyser uważa też, że padł ofiarą medialnej nagonki. Tłumaczy nam, że potraktowano go jak wroga publicznego, bo pewnym osobom zależało, żeby nie zrobił tego filmu. Ma tu na myśli choćby pełnomocnika wojewody

do spraw rewitalizacji Westerplatte Mariusza Wójtowicza-Podhorskiego. Napisał on o bitwie własny scenariusz, który po premierze „Tajemnicy Westerplatte” byłoby mu znacznie trudniej zrealizować.

Chochlew stwierdził też, że gdyby na jego miejscu w roli autora „Tajemnicy Westerplatte” stanął Andrzej Wajda, żadna z tych historii, które przytrafiły mu się od sierpnia 2008 roku, nie miałyby miejsca.

Trzeba czekać

Jednakże gdyby u steru „Tajemnicy Westerplatte” stanęli bardziej doświadczeni reżyser i producenci, prawdopodobnie nie miałyby miejsca również pomyłki związane z niedoszacowaniem kosztów produkcji. Chochlew przyznaje, że niektóre umowy zostały źle skonstruowane, ale – jak twierdzi – producenci liczyli na wyrozumiałość ekipy. Film jest ubezpieczony na wypadek choroby aktorów, więc produkcja czeka na wypłatę odszkodowań, które przeciągają się rzekomo dlatego, że w grę wchodzi ogromne pieniądze.

Chochlew tymczasem próbuje zrzucić odpowiedzialność za zaistniałą sytuację na pozostałych członków ekipy. Jego zdaniem działania Tadeusza Paradowicza „to jest dopiero sprawa dla prokuratora”. Jak mówi, jego Studio N-Art zatzymało 50 procent materiału zdjęciowego

Umowy zostały źle skonstruowane, ale producenci liczyli na wyrozumiałość ekipy

z Litwy, tłumacząc, że to gwarancja, iż dostaną pieniądze. Gdyby Chochlew miał ten materiał, mógłby go już montować i byłoby mu łatwiej zorientować się, co jeszcze będzie trzeba dokreślić na Litwie. Postępowanie Studia N-Art jest zdaniem reżysera nieuzasadnione także z innego powodu. Wypożyczenie kamer kosztuje około 6,5 tysiąca złotych dziennie. Dzień zdjęciowy po wliczeniu kosztów pracy aktorów, transportu itd. – 183 tysiące złotych. Więc – jak utrzymuje Chochlew – to Paradowicz, zatrzymując materiał zdjęciowy, okradł ekipę na kwotę 170 tysięcy złotych.

– Ależ Chochlew ma możliwość montowania filmu na podstawie otrzymanych od nas kopii oryginalnych materiałów, tak zwanych off-line! – zaprzecza Paradowicz.

Gdy po raz pierwszy kontaktowałam się z Chochlewem przed niemal miesiącem, zapewniał, że regulowanie zaległych płatności jest już w toku. – Ani jedna złotówka nie wpłynęła na firmowe konto od naszej ostatniej rozmowy – pisze w ostatnim e-mailu do „Przekroju” szef Studia N-Art Tadeusz Paradowicz.

– 15 lat działalności, 7,5 tysiąca wykonanych prac i nagle „Westerplatte”!

– Nie dostałem do tej pory żadnych pieniędzy – wtóruje mu kierownik produkcji Leszek Baca, dodając, że w najbliższych dniach na temat „Tajemnicy Westerplatte” mają się odbywać poważne rozmowy w PISF. Jak sytuację komentują władze Instytutu? – Po otrzymaniu sygnałów o zaległościach finansowych producenta zwróciliśmy się do firmy Pleograf sp. z o.o. z prośbą o potwierdzenie zabezpieczenia finansowania filmu. Producent ubezpieczył się od nieszczęśliwych następstw, między innymi choroby aktorów, i z tego tytułu uzyska odszkodowanie. Pleograf zaciągnął też kredyt, który łącznie z wypłaconym odszkodowaniem pozwoli na spłatę zobowiązań – potwierdza wersję producentów Anna Godzisz, rzecznik prasowy instytucji.

Tymczasem pełnego (lub żadnego) wynagrodzenia nie dostali także kostiumograf Andrzej Szenajch (współpracownik między innymi Andrzeja Wajdy), operatorzy obrazu Waldemar Szmidt i dźwięku Adam Wilk oraz wielu innych.

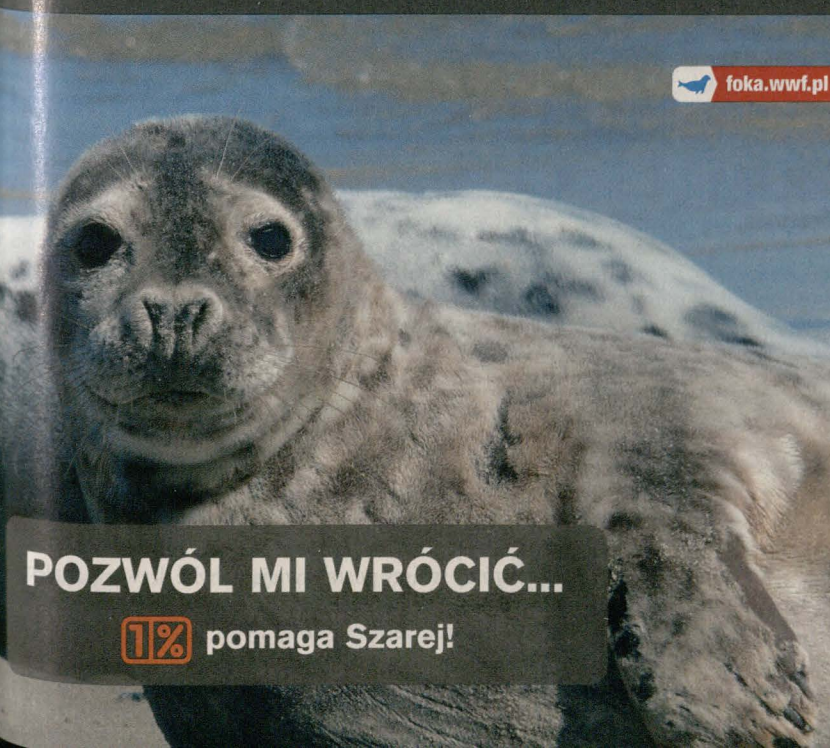
Deklarują, że na plan wrócą dopiero wtedy, kiedy producenci wypłacą zaległe należności.

Chochlew zapewnia, że wróci do zdjęć wiosną. Jeśli błyskawicznie nie rozwiąże problemów finansowych, będzie na litewskim planie bardzo osamotniony. □

REKLAMA



for a living planet®



foka.wwf.pl

POZWÓL MI WRÓCIĆ...

1% pomaga Szarej!

Kiedys polskie plaże były moim domem. Dziś trudno mnie tu spotkać. Niepokojona przez ludzi nie mogę wrócić...

Teraz Ty – razem z WWF

– możesz pomóc focie szarej!

Wiemy, co zrobić, żeby foki wróciły na nasze wybrzeże. Mamy konkretny plan. Jednak potrzebujemy Twojej pomocy, aby go zrealizować. Pamiętaj, że 1% pomaga Szarej.

Prosimy, podaruj focie 1% podatku!

WWF Polska – KRS 0000 160 673

Na wojennej ścieżce

Konflikty w teatrze to rzecz stara jak świat i jak sam teatr



GIERKI TADEUSZ NYCEK

PRZYNAJMNIEJ OD CZASÓW SZEKSPIRA WIADOMO, że scena teatralna to świat w miniaturze. Tu i tu królowie walczą o władzę, dwory intrygują, lud bywa ciemieżony, artyści podważają ustalone porządki, a złość, miłość, podkładanie świni i nieporozumienia zdarzają się równie często jak deszcze jesienią i śniegi zimą. Widz tymczasem niewiele albo nic nie wie o tym kłębowski zmij, jakim bywa prawie każdy zespół

teatralny. Siada na widowni i myśli, że spektakle powstały tak łatwo i prosto, jakby Prospero, słynny mag z Szekspirowskiej „Burzy”, lekko machnął czarodziejską różdżką.

Czasem tylko coś po tamtej stronie kurtyny głośniejsze trzaśnie i huk rozniesie się daleko poza budynek teatru. Tak jak niedawno za sprawą warszawskiej premiery „Ciała Simone”. Joanna Szczepkowska zdjęła na premierze majtki i wyciągnęła rękę w faszystowskim pozdrowieniu, na moment wychodząc z granej roli kogoś, komu na pewno kompletnie obce byłyby takie gesty.

Zrobiła się afera. Aktorka zagrała jeszcze w kilku spektaklach, ale atmosfera w teatrze musiała zwarzyć się tak dokładnie, że reżyser Krystian Lupa zdecydował się na krok radykalny, usuwając w końcu aktorów z obsady.

WSZELKIE TŁUMACZENIA OKOLICZNOŚCI TEGO INCYDENTU NIC JUŻ NIKOMU nie dadzą. Po prostu zderzyły się tu rozmaite punkty widzenia na teatr, na świat, na odpowiedzialność za swoje czyny. Jeśli gdzieś tkwił prawdziwy błąd, to w decyzji aktorki, żeby w ramach scenicznej umowności zmanifestować swój prywatny stosunek do rodzaju teatru, w jakim się znalazła. A przecież, powiada klasyk, widziały gały, co brały. Jeśli aktor postrzega teatr jako przedsięwzięcie, w którym reguły i zasady pracy mają być z góry znane i przewidywalne, Szczepkowska, angażując się do teatru Lupy, powinna była te reguły i zasady zostawić w garderobie. Bo teatr Lupy z zasady ich nie przestrzega. W przekonaniu, że jeśli sztuka ma się rozwijać i być czymś nieustającym żywym i odkrywczym, musi chadzać raczej zaprzecznymi ścieżkami.

Nic w tym przecież zaskakującego. Z wojną teatru zgodliwego z teatrem zaprzecznym mamy do czynienia co najmniej od początku XX wieku. Awangardiści zamykali się w sektach artystycznych, jak niedługo Osterwa czy Grotowski, uciekali od zbiurokratyzowanych struktur organizacyjnych w niezależne stowarzyszenia twórcze, jak Kantor, Gardzienice czy Teatr Ósmego Dnia, albo próbowali w ramach tych struktur prowadzić swoje autorskie eksperymenty przecierające nowe szlaki w teatralnej robocie – jak Lupa, Jarzyna czy Warlikowski.

Te dwa teatry egzystują obok siebie raz w spięciach, raz w neutralnym poszanowaniu wzajemnej odmienności. Różni je przecież nie tylko postawa wobec zawodu. Także wobec człowieka jako podstawowego „narzędu pracy”. Bo to na delikatnej ludzkiej materii, na żywym ciele i niepowtarzalnej duszy prowadzi się eksperymenty. To żywy człowiek najpierw staje przed reżyserem, swoim katem-zbawicielem, a potem przed żarłoczną publicznością.

Czasem (choć rzadko) to się udaje, te fuzje psychologiczno-sceniczne klejone z teoretycznych przeciwieństw. Ostatnio taką wyrazistą próbę przeprowadził – ze świetnym skutkiem – Grzegorz Jarzyna, angażując do najnowszych spektakli swojego teatru uchodzącego przecież za wzór nowoczesności myślowej i artystycznej Jana Englerta („T.E.O.R.E.M.A.T.”) czy Danutę Szaflarską („Między nami dobrze jest”).

Konflikty i nieporozumienia, a nawet skandale wewnątrzteatralne, czasem mogą mieć podłoże ideowo-artystyczne, a czasem czysto ludzkie, kiedy zderzają się ze sobą charaktery nie do pogodzenia. Aktorzy

rzucający rolami w trakcie prób to wcale nie rzadkość w teatrze. Przyczyny bywają bardzo rozmaite: od błahych (zbyt mała rola jak na wyobrażenie aktora o własnej wielkości) po zasadnicze – niemożność dogadania się z reżyserem co do koncepcji spektaklu czy metod pracy. Czasem takie wychodzenie z obsady odbywa się po cichu; tak siedem lat temu zrezygnował z zagrania Prospera w „Burzy” (warszawski Teatr Polski) Jan Englert, oficjalnie, zresztą zgodnie z prawdą, tłumacząc swoją decyzję objęciem stanowiska dyrektora Teatru Narodowego. Podobnie w ubiegłym roku wycofał się z Mrozkowego „Tanga” Andrzej Łapicki, bo jak twierdził, rozumiał sztukę jako komedię, reżyser Jerzy Jarocki zaś zalecał mu granie tragedii.

Najbardziej spektakularny gest ostatnich lat wykonał Janusz Gajos, rezygnując na dwa tygodnie przed premierą z roli Prospera w innej „Burzy” – autorstwa Krzysztofa Warlikowskiego. Pytany, wygłosił się zgrabną frazę: „Ja mówiłem o Prosperze »on«, Warlikowski zaś chciał, bym mówił: »ja«”. Przy innej okazji dopowiadał szerzej: „Uważam, że postać, która zbyt blisko przylega do aktora, jest nadużyciem. Zaczynając jakkolwiek pracę, staram się wyobrazić sobie tego »onego«. (...) Teatr współczesny już dawno zerwał z iluzjonizmem. Nie chcemy państwu wmawiać, że żyjemy w świecie, który przedstawiamy na scenie”.

To już była deklaracja skrajnie odmiennej wizji teatru. Skądinąd wiadomo, że Gajos miał narastające poczucie straty czasu, siedząc tygodniami na próbach, podczas których reżyser szeroko i długo wprowadzał aktorów w filozofię swojego teatru i rozumienia Szekspirowskiej sztuki, zaś potencjalny Prospero czekał na konkretne wskazówki i uwagi pod adresem swojej roli. Sytuacja pod wieloma względami niemal bliźniacza z tą, w jakiej kilka lat później znalazła się Szczepkowska w teatrze Lupy. Wtedy skandalu nie było, Gajos wycofał się dyskretnie, ustępując miejsca Adamowi Ferencemu (któremu notabene wystarczyły dwa tygodnie, żeby rolę przygotować...).

Dla widza teatralna kuchnia bywa obojętna, bo na scenie otrzymuje ugotowaną już potrawę

PRZYPADK GAJOSA I SZCZEPKOWSKIEJ, A CHYBA I FERENCCEGO, POKAZUJE, że niejedyn wybitny aktor ma większe zaufanie do „starej” szkoły reżyserskiej polegającej przede wszystkim na wspólnym trafnym wyborze środków artystycznych prowadzących do celu. Sprawny i świadomy swoich możliwości aktor po prostu nie potrzebuje kilometrowych kontekstów intelektualno-emocjonalnych, w roztaczaniu których specjalizują się reżyserzy „nowego teatru”.

Tadeusz Kantor z kolei w ogóle nie potrzebował znanych czy wybitnych aktorów. Zasadą jego teatru było jednoczesne ucłowieczanie przedmiotów i uprzedmiotawianie ludzi. Dlatego wołał amatorów albo aktorów drugorzędnych, pozbawionych ambicji „błyszczczenia” na scenie. Pomiał nimi straszliwie podczas prób, a i później, podczas wędrówek z teatrem po świecie. Charakter miał okropny, ale kto wie, czy te ciągle poniżania współpracowników, o których krążyły legendy, nie służyły mu do utrwalania w aktorach świadomości nieustannego bycia w jego teatrze żywą rzeczą bądź nieczułym fantomem kogoś dawno zmarłego.

DLA WIDZA CAŁA TA TEATRALNA KUCHNIA BYWA ZAZWYCZAJ OBOJĘTNA, bo na scenie otrzymuje już to, co z tej kuchni wychodzi porządnie ugotowane i dobrze przyprawione. Sprawa zaczyna wyglądać nieco inaczej, gdy poniekąd twórcy postanawiają uchylić drzwi na zaplecze, odsłonić kulis, zajrzeć do rzeczowej kuchni, demaskując sceniczne złudzenia i teatralne czarodziejstwa. Wtedy bywa, że dobywają się stamtąd niemiłe zapachy, nieuzgodnione krzyki, prywatne animozje, gorzkie nieporozumienia.

„Człowiek jest wielki nie przez to, co posiada, lecz przez to, kim jest; nie przez to, co ma, lecz przez to, czym dzieli się z innymi”

Jan Paweł II



**fundacja
Pramerica**

Fundacja Pramerica szczególną opieką otacza dzieci i młodzież z domów dziecka. Jesteśmy po to, by dzięki edukacji, pomocy i wsparciu materialnemu zapewnić naszym podopiecznym równe szanse i właściwy start życiowy oraz promować szlachetną ideę wolontariatu.



Pomóż nam dokonać zmian! Przekaż 1% podatku

Jak przekazać 1% podatku dla Fundacji Pramerica

Wystarczy wypełnić standardowy formularz rocznego zeznania podatkowego (PIT), a w nim rubrykę „Wniosek o przekazanie 1% podatku”. Należy wypełnić trzy pola:

- pełna nazwa fundacji: Fundacja Pramerica
- numer wpisu do KRS: 0000335750
- wpisać obliczoną równowartość 1% podatku należnego

Wspomóc naszą fundację można także poprzez stałe, np. comiesięczne wpłaty. Wystarczy złożyć w swoim banku stałe zlecenie przelewu określonej kwoty na rachunek fundacji.

Konto bankowe:

Bank Handlowy S.A. 22 1030 1508 0000 0008 0481 1001

Pierwszorzędny pisarz drugorzędny

Przypadek **Erica-Emmanuela Schmitta**, którego „Ulisses z Bagdadu” właśnie się ukazał, jak żaden inny każe pytać, czy lepiej jest czytać cokolwiek, czy nie czytać nic

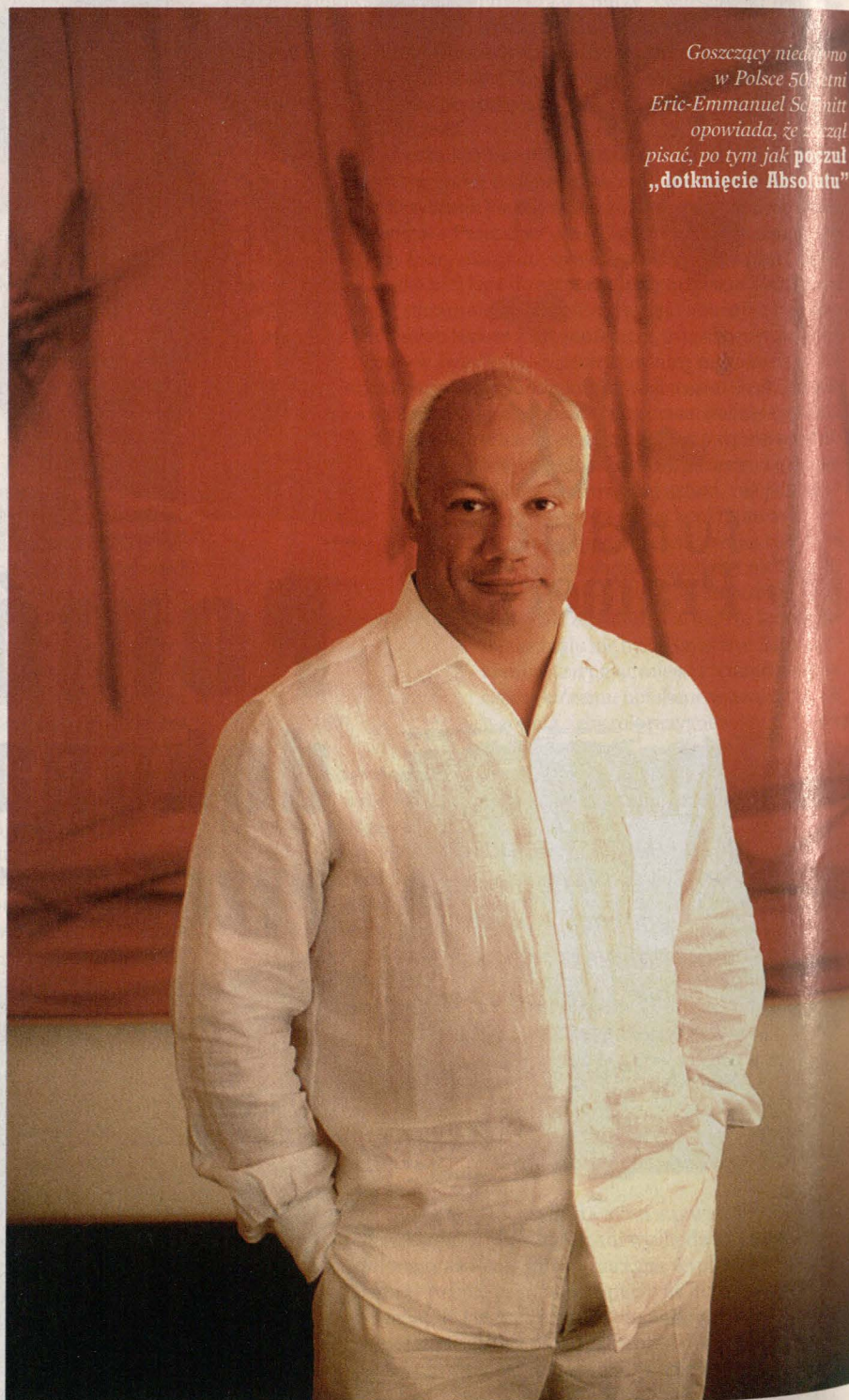
To na pewno będzie bestseller. Bo w opowieści o Irakijczyku Saadzie Saadzie, którego rodzina najpierw cierpi pod butem reżimu Husajna, a potem pada ofiarą wojny w Iraku, jest wszystko, czego trzeba. Zmagania bohatera z losem. Tułaczka emigranta. Miłość i śmierć. Egzystencjalne pytania podane w przystępnej formie. Szybkie i proste odpowiedzi. Publicystyczne nawiązania do aktualnych wydarzeń. Dumań o ludzkiej kondycji ujęte w metafory, które aż proszą się, by umieścić je w zbiorze złotych myśli albo przynajmniej w ściennym kalendarzu stworzonym dla dermatologów („Kurzejki to kwiaty, którym zagubione dusze [zmarłych] każą zakwitnąć na skórze”).

Historie kielkują we mnie

Jego książki rozeszły się u nas w ponad pół miliona egzemplarzy. Wydawnictwo Znak spodziewa się, że „Ulisses...” podniesie tę liczbę o kolejne sto tysięcy. Francuz Eric-Emmanuel Schmitt, autor znany przede wszystkim z „Oskara i pani Róży” (książka o umierającym na raka chłopcu znalazła 270 tysięcy nabywców, a Marek Piwowski na jej podstawie nakręcił telewizyjny spektakl), wydaje średnio jedną, dwie książki w roku. Krytycy zarzucają mu, że wszystkie tworzy na tę samą modłę, a czytelnicy za to właśnie go kochają. – Słyszę czasami, że piszę książki tak, jak jabłko rodzi jabłko – mówi Schmitt w rozmowie z „Przekrojem”. – Rzeczywiście. Dla mnie pisanie jest zupełnie naturalne i niemal nieświadome. Tak jak życie roślin. Historie kielkują we mnie, rozwijają się i kiedy już dojrzeją, pozostaje mi tylko je zebrać, czyli napisać – powiada pisarz. I pisze. Choć krytyka najwyższej ceni jego wystawiane na całym świecie sztuki teatralne, większość czytelników – jak pokazują wyniki sprzedaży – lubi przede wszystkim prozę Schmitta. On sam przyznaje, że źródło jego popularności tkwi w tym, że „pisze, by pomóc innym”. – Czytelnicy w moich książkach odnajdują prawdziwą miłość do ludzkości. Doceniają historie, które pod powierzchnią niosą coś głębszego, niczym bajki z morałem, przypowieści. Najbardziej ujmuję mnie to, że ludzie nie mówią mi „brawo”, tylko „dziękuję” – „schmittyzuje” Schmitt.

Mariusz Cieślak, publicysta i krytyk literacki, widzi to inaczej. Schmitta nazywa wprost „literacką hieną”. – To autor, który nie cofnie

Goszczący niedługo w Polsce 50-letni Eric-Emmanuel Schmitt opowiada, że zaczął pisać, po tym jak porzucił „dotknięcie Absolutu”



się przed żadnym szantażem emocjonalnym, by wykreować bestseller. W „Oskara i pani Róży” z pornograficznym wyrachowaniem podejmuje temat umiarkowania dziecka, któremu żaden wrażliwy człowiek nie jest w stanie się oprzeć, a człowiek z małymi dziećmi jeszcze bardziej. To kłóczy, bo tym się różni od dobrej literatury, że tylko obiecuje katharsis, a w rzeczywistości daje podobny efekt najwyższej na chwilę – przekonuje Cieślak. W pisarzu denerwuje go również, że bez żenady wyciska łzy z czytelników nawet wtedy, gdy ceną jest rażące przekroczenie granic etycznych. – Tak jest na przykład z „Przypadkiem Adolfa H.”, czyli wyjątkowo wątpliwą moralnie próbą ucłowieczenia Hitlera. I z „Panem Ibrahimem i kwiatami Koranu”. Książka przekonująca, że „muzułmanin też człowiek”, powstała w reakcji na nastroje antyimigranckie we Francji, a 11 września uczynił z niej bestseller – denerwuje się Cieślak.

Spec od emocji

– To nie tak – przekonuje Barbara Grzegorzewska, polska tłumaczka Schmitta. – On po prostu doskonale wie, co nurtuje ludzi, a ponieważ jest filozofem przez lata wykładającym na uniwersytecie, umie o tym opowiedzieć w przystępnej formie. Niestety, utarło się – nie tylko u nas, za granicą również – że optymistyczne, dające nadzieję książki są przez profesjonalną krytykę źle odbierane.

Książki Schmitta to kopalnia cytatów i metafor: „Jego spojrzenie czepiało się jej tak, jak słońce goni za słońcem”

To prawda. Jednak kilkunastu literaturoznawców, których pytałam o opinię na temat autora „Oskara i pani Róży”, wykręcało się od rozmowy, mówiąc, że z bogatej bibliografii pisarza znają co najwyżej jedną książkę, a i tę słabo. Wszyscy, ale to wszyscy określali Schmitta mianem „lepszego Coelho”. Coś w tym jest. Pomijając fakt, że obaj są nawet fizycznie podobni i obaj opowiadają o przemianie duchowej, jaka się w nich dokonała. Obu charakteryzuje (pseudo)filozoficzny styl, wykorzystywanie tych samych motywów (wędrówki, by odnaleźć siebie, poszukiwania/dotknięcia Absolutu, wątków orientalnych, newage'owej duchowości czerpiącej z każdej religii po trochu). Czy wreszcie skłonność do tworzenia banalnych aforyzmów zalewających potem internetowe serwisy z cytatami na każdą okazję. Schmitt: „Czas płynie powoli, kiedy czeka się na odpo-

wiedź”. Coelho: „Wszystkie dni stają się takie same wtedy, kiedy ludzie przestają dostrzegać to wszystko, czym obdarowuje ich los, podczas gdy słońce wędruje po niebie”. Schmitt: „Im bardziej się człowiek starzeje, tym większym smakiem musi się wykazać, żeby docenić życie”. Coelho: „Niektórzy ludzie przyszli na świat, by samotnie borykać się z losem. Ani to dobre, ani złe. Takie jest życie”. Schmitt: „Na człowieka składają się wybory i okoliczności. Nikt nie ma władzy nad okolicznościami, ale każdy ma władzę wyboru”. Coelho: „Człowiek musi przejść przez różne etapy, zanim wypełni swe przeznaczenie”. Schmitt: „Czas płynie powoli, kiedy czeka się na odpowiedź”. Coelho: „Gdyby nie było szóstego dnia, nie byłoby i człowieka; między pozostałaby tylko miedzią, a ołów ołowiem”.

– Kiedyś nie musieliśmy sięgać po takie lektury, ponieważ rozmawiało się ze starymi ludźmi, a mądrości życiowe, które teraz niby odkrywczco objawiają Coelho, Schmitt i wielu innych, kiedyś przekazywane były z pokolenia na pokolenie – tłumaczy Jerzy Sosnowski, pisarz i krytyk literacki.

Oryginalność niewątpliwie nie jest najmocniejszą stroną tej literatury. Polska pisarka Marta Fox (znana przede wszystkim z powieści dla młodzieży) nie boi się nazwać Schmitta hochsztaplerem: – Gdy przeczytałam „Pana Ibrahima i kwiaty Koranu”, zaniemówiłam, bo Schmitt posłużył się bohaterami i wątkami uhonorowanej Nagrodą Goncourtów powieści Emile'a Ajara (pseudonim Romain Gary'ego) „Życie przed sobą”, by stworzyć krótką i płaską opowieść o Momo i Ibrahimie. Oczom nie wierzyłam, że można podkraść pomysł, zbudować na nim rzecz do Ajara się nieumyślającą i w dodatku odnieść sukces kasowy. Przeszukałam Internet w nadziei, że może sam Schmitt przyznał się do inspiracji powieścią Ajara. Nic z tego.

Gdy pytam o sprawę pisarza, mówi tylko: – Romain Gary był bardzo ważny, gdy odkrywałem swoją miłość do literatury. Jest dla mnie przykładem pisania w stylu wolnym od akademizmu. Mówi językiem popularnym, potocznym, ale bez popadania w żargon, i ma odwagę okazywać uczuciowość i delikatność.

Płakałem przy nim

Uczuciowości odmówić mu trudno. – Fenomen Schmitta polega w dużym stopniu na tym, że jego czytelnicy nie wstydzą się łez wylanych nad lekturą. Wywołanie ich przychodzi pisarzowi wyjątkowo łatwo, jego twórczość jest po prostu wzruszająca – przyznaje Jerzy Sosnowski. I wyznaje, że choć tego typu literatura „to nie jest jego rejestr emocjonalny”, to nie tylko przeczytał „Oskara i panią Różę”, ale też sam się przy tym popłakał: – Nie mam o to pretensji do autora. Ponieważ jednak nie →

NOWA PŁYTA
ZESPOŁU:

Ulisses



KONCERTY: 20.03 OSTRZESZÓW
10.03 STARGARD 25.03 OLSZTYN
11.03 SZCZECIN 26.03 BIAŁYSTOK
17.03 WROCŁAW 27.03 ŁÓDŹ
18.03 KRAKÓW 28.03 SÓPOL
19.03 KATOWICE 15.04 CZĘSTOCHOWA

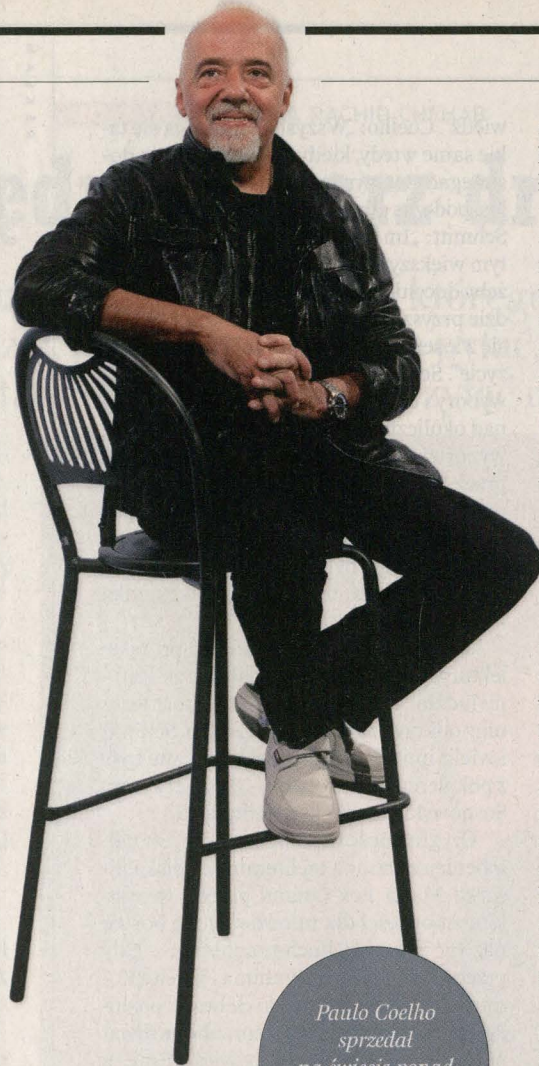
Legalne mp3 z muzyką płyty do nabycia (także) na
www.muchy.net

→ lubię wzruszać się do łez w trakcie czytania, dlatego więcej po książkę Schmitta nie sięgnąłem. Witkacy mówił, że sztuka dzieli się na czystą i bebechowatą, czyli taką, co działa na bebeczy. Schmitt reprezentuje tę drugą. I jest ona wielu ludziom potrzebna, bo na przykład oswoja ze śmiercią – mówi Sosnowski.

Pocieszyciel dla ubogich (duchem)

– To filozofia łatwych pocieszeń – denerwuje się na tego typu literaturę Dariusz Nowacki, krytyk i badacz literatury z Uniwersytetu Śląskiego, który jedynie próbował przeczytać „Oskara i panią Różę”: – Zbyt łatwo tu o uproszczony dyskurs literacki czy operowanie stereotypami w sferze uczuciowości – tłumaczy. Według Nowackiego zdumiewająca poczytność Schmitta, Coelho czy innych autorów z tej półki to efekt naszej fatalnej praktyki lekturowej: – Ludzie czytają na co dzień byle co, nie selekcionując książek, konsumując je tak jak inne produkty. Poza tym fenomen Schmitta i jemu podobnych jest podkreśniany przez media. Każda ich nowa książka od razu trafia na billboardy i właściwie nie można opędzić się od bodźców reklamowych.

– Gdy słyszę, że Schmitt to najgorsza literatura na świecie, cały się trzęsę – wyznaje doktor Andrzej Rostocki, socjolog literatury ze Szkoły Wyższej Psychologii Społecznej. – Toż to totalna pogarda dla ludzi! Bo to o czytelnikach, a nie o autorze mówią tacy krytycy. A przecież po książki Schmitta czy inną literaturę tego typu sięgają ludzie, którzy szukają prawdy o świecie, drogowskazów w życiu duchowym i trudno im znaleźć to gdziekolwiek indziej. I choć Schmitt czy Coelho nie są pisarzami z mojego świata, muszę przyznać, że doskonale znają ludzkie emocje. A one na co dzień są znacznie mniej skomplikowane, niż sugeruje Dostojewski czy Kafka – przekonuje Rostocki. – Zresztą takich Coelho, Schmittów czy innych „pisarzy pokoleniowych” były i są tysią-



Paulo Coelho
sprzedał
na świecie ponad
sto milionów
książek

ce, wśród nich niezliczona rzesza autorów kryminalistów – dodaje.

Uchowali się nieliczni. Kto dziś pamięta niezwykle popularną Marię Rodziewiczównę, Jadwigę Courths-Mahlerową czy Helenę Mniszkównę? Henryka Sienkiewicza, o którym Gombrowicz powiedział, że to „pierwszorzędny pisarz drugorzędny”, czytamy dziś właściwie tylko dlatego, że jego „po-krzepienie serc” odnosiło się do historii Pol-

ski. – Gdyby nie to, zginąłby pewnie w mroku dziejów, ponieważ jego twórczość była dokładnie na poziomie książek Schmitta – przekonuje Rostocki. A po chwili dodaje: – A „Odyseja”? Przecież też zbudowana jest na prostym schemacie, a ludzkie emocje są typowe, czyli – nie bójmy się tego powiedzieć – najprostsze. Ciekawe, co nasi krytycy powiedzieliby, gdyby dziś na rynku ukazało się dzieło Homera – uśmiecha się.

Czytelnika na rękach nosić

Dyskusja o fenomenie Schmitta *et consortes* to w gruncie rzeczy dyskusja o tym, czy lepiej jest czytać byle co, czy nie czytać nic:

– W kraju, w którym co druga osoba nie przeczytała w ciągu roku ani jednej książki, każdego, kto tego dokonał, powinno się na rękach nosić – nie ma wątpliwości Rostocki.

– Bzdura. Czytanie nie jest wartością samą w sobie, a literatura to nie wygodny fotelik. Ma nas irytować, a nie zabawiać – kontruje Nowacki. A co na to sam Schmitt? – Paradoxs polega na tym, że najpierw zostałem odkryty i pobłogosławiony przez krytykę, a potem przez nią zdeptyany. Kiedy sprzedawało się po 400 egzemplarzy moich książek, byłem geniuszem. Przy 40 tysiącach nie miałem już talentu, a przy 400 tysiącach jestem zerem. Przynajmniej zdaniem niektórych.

I gdy już wydaje mi się, że pisarz ma trochę dystansu do swojej twórczości, znajduję jego wypowiedź dla francuskiego dziennika „La Croix”. Schmitt opowiada o przełomowej nocy, gdy zgubił się na pustyni Hoggar i doznał „istnienia Absolutu”: – Od tego dnia mogę pisać – mówi. – Wcześniej wszystko, co pisałem, wydawało mi się puste. Niedługo po tamtym wydarzeniu powstała moja pierwsza sztuka „La Nuit de Valognes” i od tej pory nie przestałem pracować. Tamtej nocy na pustyni zrozumiałem, po co istnieję: jestem skrybą.

– Czyli kimś, kto pisze pod dyktando kogoś innego? – pyta dziennikarka.

– Powiedzmy, że to, co piszę, mnie przeraża.

Siostra siostrze

One piszą do niej listy, ona im odpowiada.
Ale to nie jest poradnik feminizmu dla pensjonerek

Feminizm – najpierw duma, potem wstręt, wreszcie obojętność, najgorsze, co może spotkać ideologię. I nawet stereotyp sfrustrowanej, zaniedbanej feministki jakby odszedł do lamusa. Kojarzona z feminizmem publicystka Małgorzata Domagalik w „Siostrzanych uczuciach” nie wikała się w filozoficzne meandry ani nie stara się definiować zjawiska na nowo. To raczej próba przewietrzenia zetłanych stereotypów i nadania kobiecości nowego sensu. Domagalik bardziej niż sam feminizm akcentuje potrzebę powrotu do kobiecości ujmowanej jako prawo kobiety

do decydowania o sobie. Rażą cię przekleństwa wypowiedziane przez kolegów z pracy? Wyjdź z pokoju. Boisz się upływu czasu? Nie musisz wyglądać jak dziewczyna z rozkładówki „Hustlera”. Zakochałaś się w młodszym od siebie mężczyźnie? Możesz się z nim związać.

Wyjęte z kontekstu dylematy współczesnej kobiety mogą sprawiać wrażenie, że w „Siostrzanych uczuciach” Domagalik przyjęła konwencję poradnika. Nic podobnego. To raczej krótkie, felietonowe szkice pisane z perspektywy kobiety dojrzałej i świadomej siebie, swojej ko-

biecości. Każdy rozdział książki rozpoczyna list innej kobiety, którą autorka nazywa Ewą. Na każdy list jego nadawczyni otrzymuje od Domagalik odpowiedź. Kobiety muszą się komunikować, żeby odbudować między sobą emocjonalne więzi. To jeden z głównych postulatów redefiniowanej przez Domagalik kobiecości. „Trzeba odnaleźć w sobie siostrzane uczucia” – twierdzi redaktor naczelna „Pani”. I z tej perspektywy opowiada o palących problemach współczesnej kobiety. Autorka unika dydaktyki, pokazuje różne warianty sytuacji, w których znalazła się na pewno niejedna kobieta.

Kobiecość to także dla Domagalik język i styl komunikowania. Nie ma trybów rozkazujących. Możesz, ale nie musisz. Powinnaś, a może nie powinnaś?

Złota kolekcja

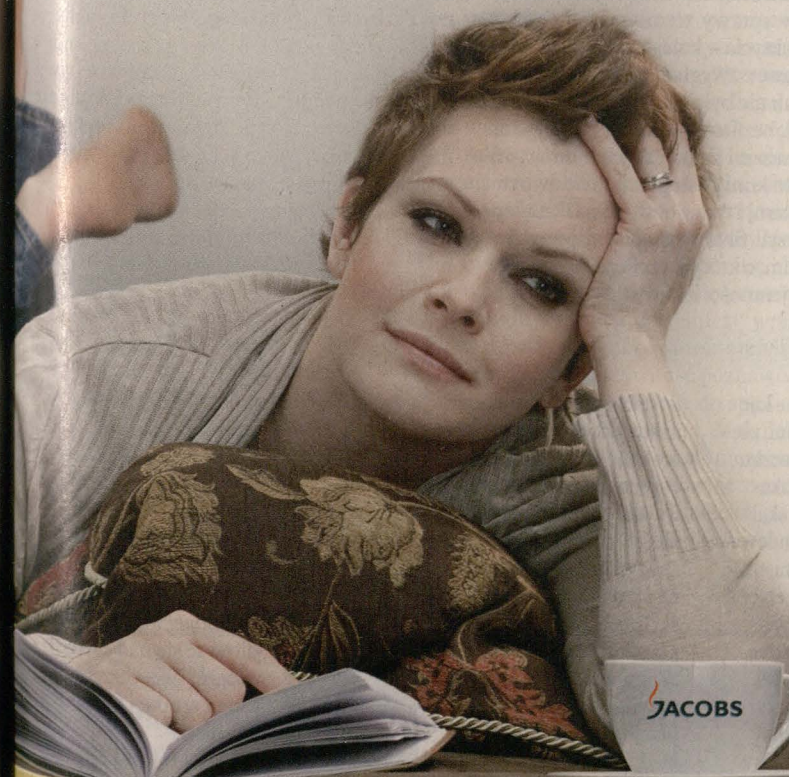


Małgorzata Domagalik
„Siostrzane uczucia”,
W.A.B.

Jeden rozdział nosi tytuł „Nie wier w superkobiety, wier w kobiety”. Domagalik, idąc tropem Simone de Beauvoir („Nikt nie rodzi się kobietą”), pokazuje, że kobiecość to proces. Z jednej strony nie chce kojarzenia kobiecości wyłącznie z seksualnością i zmysłami, a z drugiej strony filtruje XX-wieczny feminizm tak, by przystawał do szybko zmieniającej się roli kobiety. Bądź kobietą, siostrze.

Autorka nie używa trybu rozkazującego.
Możesz, ale nie musisz.
Powinnaś, a może nie powinnaś?

REKLAMA



Złota kolekcja



Zatrzymaj chwilę z dobrą książką
i filiżanką kawy Jacobs Cronat Gold

Lista bestsellerów Schmitta (Wydawnictwo Znak)



1. „Oskar i pani Róża” – 297 tysięcy egzemplarzy
2. „Małe zbrodnie małżeńskie” – 82 tysięcy egzemplarzy
3. „Pan Ibrahim i kwiaty Koranu” – 54 tysiące egzemplarzy
4. „Marzycielka z Ostendy” – 52 tysiące egzemplarzy

Lista bestsellerów Coelho (Wydawnictwo Drzewo Babel)



1. „Alchemik” – 626 tysięcy egzemplarzy
2. „Jedenaście minut” – 345 tysięcy egzemplarzy
3. „Na brzegu rzeki Piedry usiadłam i płakałam...” – 339 tysięcy egzemplarzy
4. „Weronika postanawia umrzeć” – 337 tysięcy egzemplarzy

Znikający pisarz

Don DeLillo nie zostawia suchej nitki na medialnym spektaklu

++++ DAREK FOKS

Kto trzymał w ręku „Podziemia”, opus magnum Dona DeLillo, które szczególnie miało u nas już dwa wydania, ten wie, że powieść może sporo ważyć, a kto to arcydzieło przeczytał, doda zapewne, że jeśli o wykonanie chodzi, mało który współczesny autor jest w stanie dokonać aktu takiego epickiego cudotwórstwa. Nic dziwnego, że DeLillo od lat uważany jest (obok McCarthy'ego, Pynchona i Rotha) za najwybitniejszego żyjącego prozaika Ameryki i niekwestionowanego kandydata do Nobla. „Mao II” to jego dziewiąta książka po polsku. W naszej świadomości poza „Podziemiem” najlepiej zagnieździły się powieści „Biały szum”, „Pies łańcuchowy” i „Libra”. Nie inaczej będzie pewnie z „Mao II”, który traktuje o tajemnicach pisarskiego warsztatu w świecie opętanych medialnym spektaklem.

Sławny pisarz Bill Gray od lat żyje w ukryciu, poświęcając się pracy nad powieścią, na którą czekają wszyscy, a najbardziej wydawca. W samotni towarzyszą mu wierny sekretarz Scott i jego dziewczyna Karen, oboje solidnie zresztą pokręceni. Wydaje się, że praca nad nowym dziełem powoli dobiega końca i pojawia się fotografa Brita, która ma wykonać serię portretów pisarza. Jak mówi żartem Scott: „Książka jest skończona, ale pozostanie w maszynopisie. Potem zdjęcia pani Brity ukażą się w prominentnym tygodniku. Nie potrzebujemy książki. Mamy autora”. W czasie podróży do domu Graya Brita zauważa: „Mam wrażenie, jakby mnie zabierano



Don DeLillo
„Mao II”,
przeł. Krzysztof
Obłucki, Noir
sur Blanc,
Warszawa 2010,
s. 260, 29 zł

na spotkanie z przywódcą terrorystów do jego sekretnej kryjówki”, na co Scott odpowiada: „Niech to pani powie Bilowi. Na pewno mu się spodoba”.

I nagle żarty Scotta stają się rzeczywistością. Bill Gray daje się wciągnąć w sprawy terrorystów i wychodzi z ukrycia – kolega sprzed lat mówi mu nawet: „Wygładasz jak pisarz. A nigdy tak nie było” – a i DeLillo zaczyna szaleć, bezlitośnie chłoszcząc czytelnika obrazami fanatycznych tłumów, mistrzowskimi dialogami, efektownymi zmyłkami i tym, co w „Mao II” najlepsze, czyli finalnym opisem przedziwnego konsylium, o którym zmilczę, by nie psuć państwu przyjemności lektury.

Można „Mao II” traktować jako bezlitosną krytykę mediów. Przede wszystkim jednak trzeba zwrócić uwagę na sposób, w jaki w tej wymienionej powieści zarejestrowano odchodzenie z naszej kultury postaci pisarza. Niemożliwe? Proszę sobie na początek wyobrazić, że Jerzy Pilch znika z polskiego życia literackiego i publicznego na 20 lat, żeby w spokoju napisać książkę. Jak zaczynają się wtedy zachowywać nasze media? Gdyby jeszcze udało się autora „Spisu cudzołóżnic” wmieszać w polityczną hecę z terroryzmem w tle, żurnalistycznemu szczęściu nie byłoby końca. Spektakl.

DeLillo opisuje właśnie spektakl, ale robi to w taki sposób, że papierowa śmierć jest niemal prawdziwa. Tak jak prawdziwa jest dobra literatura, mimo wszystko. □

++++

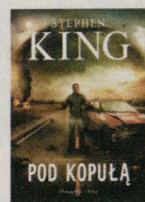
Niemala apokalipsa

Czyli o tym, że my, ludzie, mamy nierówno „Pod kopułą”, więc sami jesteśmy sobie winni

KING OTRZĄSAŁ SIĘ WRESZCIE z traumy po wypadku samochodowym w 1999 roku, w którym omal nie zginął, i nie zdręcza nas już opowieścią o artyście toczącym nierówną walkę ze swymi demonami. Tym razem chodzi o udręki całego globu. „Pod kopułą” można uznać za wariację na temat „Władcy much” Goldinga, ale tu źle bawią się dorośli zabawkami znacznie bardziej in-

teresującymi niż zastrzone kije – bronią palną, narkotykami, pieniędźmi... A to, co w miasteczku Chester's Mill dzieje się w skali mikro, łatwo odczytać w skali makro. Mamy więc skorumpowaną władzę, ekologiczną katastrofę, koniec religii, kryzys energetyczny, czkawkę po Iraku, a nawet czytelną, choć nieco spóźnioną aluzję do rządów Busha i jego Aktu Patriotycznego. Stateczni mieszczaństwo, którzy uwięzieni w potrzasku dzielą się na ofiary i bezlitosnych oprawców, to też znajomy obrazek przywodzący na myśl sławny eksperyment psychologiczny. Nieco papierowe

postaci (gdy się prowadzi kilku-nastu głównych bohaterów, może braknąć czasu na wnikliwy portret psychologiczny) rekompensuje wartko płynąca fabuła i jak zwykle u Kinga dbałość o szczegóły. Oraz nieprawdopodobna aktualność – używa się Facebooka, korzysta z iPodów, a w TV ogląda „Zagubionych” i „Taniec z gwiazdami”... Ciarki przejdą wam po plecach, kiedy uświadomicie sobie, że Chester's Mill to też wasza, bo globalna, wioska. Rozczarowuje tylko finał powieści. Kingowi



Stephen King „Pod kopułą”,
przeł. Tomasz Wilusz, Agnieszka Barbara
Ciepłowska, Prószyński i S-ka,
Warszawa 2010, s. 928, 49 zł

zabrakło pomysłu na rozwiązanie supła, który pieczołowicie zaplątał, więc sięgnął po pomysł z katalogu „Archiwum X” z doczepionym na siłę happy endem – kupy się to nie trzyma, ale trudno. Może zorientował się, że ma już blisko tysiąc stron i końca nie widać, więc postanowił zlitować się nad czytelnikiem? Niepotrzebnie. Kinga w takiej formie nigdy dość.

– Jarek Szubrycht

++++ ADAM WIEDEMANN

Ciasto słów

Warto brnąć przez wiersze Macieja Meleckiego

O Macieja Meleckiego można się było obawiać, zwłaszcza odkąd sam zaczął wydawać swoje książki z wierszami w Instytucie Mikołowskim, gdzie pracuje. Wypada zatem zacząć od tego, że zmiana wydawcy wyszła Meleckiemu na zdrowie, z poety coraz to bardziej lokalnego stał się na powrót poetą ogólnopolskim, inaczej się czyta „Przester” niż choćby poprzedzające go „Bermudzkie historie”, nie mówiąc o dwóch poprzednich tomikach, które wyglądają, jakby były odbite na powielaczu.

Ta baba gra Bacha, jakby miesiła ciasto – napisał Iwaszkiewicz po warszawskim koncercie Tatiany Nikołajewej. To samo



Maciej Melecki
„Przester”,
WPiCAK,
Poznań 2009,
s. 80, 12 zł

można wypowiedzieć o poezji Meleckiego, aczkolwiek nasuwa się jeszcze bliższe porównanie: zesztuka pianistyczną innego reprezentanta szkoły rosyjskiej Grigorija Sokołowa, który najpotężniejsze kontrasty dynamiczne specyficznie „wyplaszcza” drogą rozciągania fraz i ich wielokrotnego zapętlenia. Corobi Melecki? Wydłuża wersy do granic możliwości, odbierając im jakąkolwiek rytmiczność. Efekt wzmacniają wszechobecne przerzutnie pozbawione zreguły tak zwanej funkcji sensotwórczej, mające za to wytworzyć wrażenie „ciągnięcia się” jednego zdania za drugim, choć nie są to zdania, które wiązałyby choćby cień tradycyjnie rozumianej logiki. Podobnie jak Sokołow grane przez siebie sonaty Melecki odziera wiersze z wszelkiego zewnętrznego blichtru, lecz pozostają one niezmiennie utworami o zaawansowanej wirtuozerii, ścisłym planie formalnym, wynalazczej metaforyce i zawrotnych puentach.

Ma tutaj miejsce nieustanne wzajemne tłumienie się fraz, wzmocnione jeszcze przez skłonność autora do konstruowania obrazów świadomie zamąconych, nieostrych – wielokrotnie powraca sytuacja patrzenia przez półprzymknięte powieki. Elementy świata zewnętrznego traktowane są pretekstowo i podlegają natychmiastowemu „ugniataniu”, tracąc charakter konkretnych jajek, maki i mleka, ale nie wiodąc też do wypieczenia żadnego „chleba”. Wiedza o rzeczywistości zawsze jest półfabrykatem, który „rośnie”, ale bynajmniej nie syci. Toteż nie chwyta się tych wierszy w lot, lecz się przez nie brnie, zmuszony wysiłek czytelnicy wpisany jest w tekst i prowadzi do utożsamienia z autorem, którego aktywność poznawcza wzmacnia się proporcjonalnie do spadku zainteresowania przedmiotem. Melancholia wytężonej uwagi – oto zasadnicza substancja „Przesteru”, który stanowią szczyt dotychczasowych dokonań Meleckiego, jest jednocześnie jednym z najlepszych tomików minionego roku. □



„Przester”
Meleckiego
to pierwsza
książka poety
po ubiegłorocznym
wyborze wierszy
„Zawsze
wszędzie
indziej”

Król kawiarni, kabaretów i salonów międzywojnia, filozof, koneser, promotor sztuk wszelkich ze sztuką życia na czele, słowem: **Franciszek Fiszer** powraca w „Na rogu świata i nieskończoności” (wznowionym przez Iskry tomie świadectw o nim w opracowaniu **Romana Lotha**).



REKLAMA

2010 ethno jazz festival WROCLAW PREZENTUJE:

9.03.10

KROKE
nowa płyta: Out of Sight

14.03.10

Richard Bona
„afrykański Sting” ponownie we Wrocławiu

20.03.10

SALIF KEITA
złoty głos Afryki,
światowa gwiazda world music

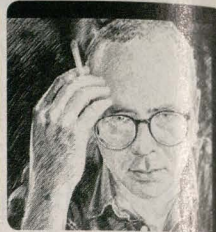
29.05.10

MARIZA
największa portugalska
gwiazda fado

www.ethnojazz.pl

WROCLAW
EUROPEJSKA
STOLICA KULTURY
2016

PRZE KROJ



ŻYCIE TO KLĘSKA

KRZYSZTOF VARGA – W PRZEDEDNIU UKAZANIA SIĘ NOWEJ POWIEŚCI „ALEJA NIEPODLEGŁOŚCI” – OPOWIADA, ŻE LUBI KRZYWDZIĆ SWOICH BOHATERÓW. A PRZY OKAZJI DEMASKUJE POLSKI MATRIARCHAT, OPOWIADA O ROZDARCIU MIĘDZY UDREKĄ A EKSTAZĄ, WYJAŚNIA, CZEGO SIĘ MOŻNA SPODZIEWAĆ PO DOBRYM WYDAWCY, I PLANUJE UDZIAŁ W WĘGERSKIM „TAŃCU Z GWIAZDAMI”

Ciekawa półka z książkami. Kiedy siadasz do komputera, masz przed nosem

„Śmierć w kulturze Zachodu”, „Saturna i melancholie” i tak dalej, i temu podobne.

– Nie da się ukryć. Jeszcze „Człowiek i śmierć” Philippe’a Aries’go, fundamentalne dzieło tanatologiczne, i kilka innych pozycji z tego nurtu. Kiedy tylko ukazuje się coś ciekawego z literatury tanatologicznej, kupuję i czytam. Bardzo ciekawe lektury, a temat należy do tych, od których uciec nijak się nie da.

A przecież na ponuraka raczej nie wyglądasz.

– Śmierć bardzo mnie interesuje – od strony antropologicznej, powiedzmy, bynajmniej nie fizjologicznej. Uderzam w banał, ale przecież nic ważniejszego nam się w życiu nie zdarza i ludzkość musi się z tym zmagać od początku swoich dziejów. Ciekawie jest śledzić, jak to radzenie sobie ze śmiercią zmieniało się w dziejach ludzkiej cywilizacji. Kiedy przyjeżdżam do jakiegoś miasta, zwiedzam tamtejszy cmentarz. Mam kilka ulubionych.

Na przykład?

– Kerepesi w Budapeszcie, w Paryżu Montparnasse – towarzystwo tam leżące jest ciekawsze niż na Père-Lachaise. Ostatnio odwiedziłem tam Cortázara, Serge’a Gainsbourga, Emile’a Ciorana. A przy okazji rzeczywiście jestem typem nieco depresyjnym, ale własną depresję zabijam...

Teorią?

– ...wesołkowatością, towarzyskością, hedonizmem, sybarytyzmem.

Jeśli przyjrzeć się twoim książkom, to spod wierzchniej warstwy przygodowo-rozrywkowej, spod sarkazmu i ironii nieodmiennie wyłazi prawdziwa makabra. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Oczywiście. Tak to jest, że towarzyszy mi poczucie ogólnej beznadziei i klęski. Życie za-

wsze jest klęską, cokolwiek by się w nim zrobiło. Nie wiem, skąd mi się to bierze, może jakieś węgierskie geny tu działają, ale nieodmiennie towarzyszy mi poczucie potężnej melancholii. No, ale gdybym nie był tym wesołkiem, dowcipnisiem i sybarytą, musiałbym chyba doku mentnie się pochłastać albo przynajmniej zamknąć w ciemnej piwnicy. Kiedy byłem młodszy, miałem na tym punkcie jeszcze większego fioła. Teraz pewnie przyszło starcze pogodzenie się z losem, a może raczej bardziej dojrzałe podejście do sprawy – zamiast hysterii jest refleksja. Jestem synem lekarki, w dzieciństwie dobiegałem się do biblioteczki matki i studiowałem podręczniki medyczne, bogato ilustrowane przypadkami różnych strasznych chorób. Nie było siły, żeby się to na mnie nie odbiło. Do tej pory nienawidzę szpitali. Wydają mi się poczekalniami przed prosektorium.

O czym jest „Aleja Niepodległości”?

– To historia dwóch przyjaciół z dzieciństwa i młodości, których drogi potem się rozeszły. Jeden został tańczącym w telewizji ulubieńcem tłumów, a drugiemu, plastykowi, trochę powinęła się noga i nie potrafi odnaleźć się w życiu. No i obaj kończą źle. Jeden nazywa się Apostata, a drugi Fidelis. Nie mogłem sobie darować – łacina w liceum i na studiach była dla mnie jednym z najbardziej upiornych przedmiotów.

Mówi się tu i ówdzie, że to ma być powieść z kluczem, że niektóre postaci mają odpowiedniki w rzeczywistości. Tak jest naprawdę?

– Nie bardziej niż w innych książkach. Większość moich bohaterów powstaje w ten sposób, że biorę realną postać i ją przetwarzam, ale nie jest to bezpośrednio odwzorowanie. To nie jest książka z personalnymi aluzjami.

A ile jest ciebie samego w różnych twoich postaciach?

– Siłą rzeczy jestem w nich obecny. Ale to jest dobra wiadomość, bo ja nie lubię swoich bohaterów, więc jeśli daję im jakieś swoje cechy, to się tym nie napawam, wprost przeciwnie. Nie lubię swoich postaci nie w sensie pisarskim, tylko emocjonalnym, dlatego zawsze staram się zrobić im jakąś krzywdę. Jeśli więc morduję jakąś postać, której dałem pewne własne cechy charakterologiczne, to w ten sposób symbolicznie morduję samego siebie. Przyjemne uczucie. **Bohater „Alej...”, ten bardziej dotknięty przez życie, osiąga punkt, w którym zajmuje się głównie popijaniem wina i masturbacją przy porno z Internetu.**

– Muszę cię pocieszyć: nie mam Internetu, zepsuł się. A potem skończył mi się abonament i postanowiłem go nie odnawiać. I bardzo mi z tym dobrze. Kiedy muszę wysłać lub odebrać pocztę, to idę z laptopem do pobliskiej kawiarni w SGH, dzięki czemu nie spędzam całych dni i nocy w necie i nie alienuję się. **Kamień z serca. Ale bardziej zacięwał mnie w „Alej...” postać kobieca, kość niezgody między bohaterami, których żywoty równoległe poznajemy.**

Ta dziewczyna jest tak widmowa i niedookreślona, że trudno właściwie pojąć, co oni w niej widzą i dlaczego jeden miałby być nieszczęśliwy z powodu jej utraty, a drugi zadowolony z jej zdobycia.

– Niezbadane są wybory mężczyzn, kobiet również, jeśli chodzi o związki. Ale masz chyba rację, tej dziewczyny jest w książce za mało. To jest znowu jakaś wada „Alej...”. Z drugiej strony często naprawdę nie wiemy, dlaczego ktoś się komuś podoba. A co do kobiet w ogóle, to ktoś napisał, że wszystkie moje bohaterki to jędze.

Masz problem z pisaniem o kobietach?

– Na pewno mniej znam kobiety niż facetów, choćby dlatego że chodziłem do męskiego →



→ liceum i w wieku formacyjnym miałem mnóstwo kumpli, a mniej koleżanek. Jestem facetem, łatwiej mi portretować innych mężczyzn, lepiej ich rozumiem, kobiety są dla mnie ciągle *terra incognita*, może wręcz *ultima thule*. Żegluję, żegluję, ale nie mogę dopłynąć. Jeśli zaś chodzi o tę jędzowatość, to w Polsce może i mamy patriarchat w życiu publicznym, ale w rodzinach rządzą kobiety. W domu doświadczałem matriarchatu. Na przykład mówiło się tylko po polsku, bo mama nie uznała nigdy za stosowne nauczyć się choćby zdania po węgiersku. A jak kiedyś postanowiłem być dobrym synem i pozmywać naczynia, to mama pozmywała jeszcze raz, bo uważała, że zrobi to lepiej. Może stąd jędze w moich książkach. Nie znaczy to, że jestem mizoginem. Jestem raczej mizantropem mimo różnych ekstacytycznych towarzyskości.

Jak postrzegasz własną pisarską pozycję? Czytasz konkurencję, recenzje? Ścigasz się z kimś?

– Kiedyś czytałem wszystko, co wychodziło, ale to się stało trochę nieznosne. Oczywiście interesuje mnie, co ludzie powiedzą albo napiszą o mojej książce. Czasem przyglądam się także książkom koleżeństwa, ale nie traktuję tego w kategoriach wyścigów. Zresztą co to za wyścig byłby, do czego? Gramy w dość niszową świetlicową grę, na aplauz tłumów liczyć nie wolno.

Wściekasz się, kiedy cię krytykują?

– Nie. Każdy ma prawo do własnych interpretacji, a zabawa w literaturę jest megalomanią. To nie są zawody sportowe, nie ma jasnych kryteriów. Poza tym jak wydajesz książkę, to wystawiasz się na strzał, stajesz się zupełnie bezbronny. Jestem jak najbardziej za krytyką, ale pod jednym warunkiem – nie może być anonimowa, musi być podpisana nazwiskiem i muszę widzieć, że krytyk przeczytał książkę. Nienawidzę za to, jak anonimowy cymbał na forum internetowym wyciera sobie mną buty ot tak, dla zabawy albo z bezinteresownej nienawiści, której fundamentem są jego frustracje i kompleksy.

Ale media i promocja mogą wpłynąć na sprzedaż.

– Głos tak zwanej krytyki literackiej kompletnie przestał się liczyć. Wielka recenzja w największym dzienniku nie sprawi, że ludzie pobiegną do księgarń. Ośrodki opiniotwórcze przesunęły się gdzie indziej, poza tym sam pewnie dobrze wiesz, że samo dzieło literackie to o wiele za mało, żeby naród się zainteresował. Nadchodzą czasy biografizmu – autor będzie musiał mieć przede wszystkim ciekawą życiorys i niebanalne przygody, a nie być głównie utalentowanym, pracowitym pisarzem przy biurku. Poza tym ja i tak nie sprzedaję gigantycznych nakładów, mam swoją parutysięczną niszę, nie jestem Małgorzatą Kalicińską.

Nikt nie jest Małgorzatą Kalicińską.

– Z wyjątkiem Małgorzaty Kalicińskiej. Jej przypadek jest zresztą o tyle ciekawy, że od-

niosła komercyjny sukces właściwie bez większej promocji, dzięki reklamie szeptanej. Dlatego kiedy widzę billboardy reklamujące nową książkę Michała Witkowskiego na przykład, to się uśmiecham, bo to nic nie znaczy.

To teraz będę cię krytykował.

– OK, słucham.

Myślę sobie, że w porównaniu z poprzednią, chyba najlepszą twoją powieścią „Nagrobek z lastryko”, „Aleja...” wydaje się pozbawiona tego rozmachu, zrobiona jakby z mniejszym przekonaniem, trochę z gotowych klocków.

– Sam mam bardzo ambiwalentny stosunek do tej książki. Miałem go już w trakcie pisania, niestety, jakkolwiek samobójczo by to brzmiało. W gruncie rzeczy to zamach wziętem większy, ale przy redakcji okazało się, że trzeba sporo powyrzucać, bo są jakieś powtórzenia i tak dalej. Może tak to jest, gdy się chce napisać książkę w pewien sposób rozliczeniową.

To jest z pewnością rozliczenie 40-latką z własnym życiem. Ale chyba czujesz, że wyrażasz doświadczenie i emocje całego swojego, naszego pokolenia? Myślisz, że to, co piszesz, trafia do ludzi w innym wieku?

– Wolę nie czuć się wyrazicielem pokolenia, to brzmi kabotyńsko, ale nie da się ukryć, że należę do generacji, której dzieciństwo i młodość przypadły na czasy PRL-u, a która w dorosłość wchodziła w momencie wyborów 4 czerwca. Wszyscy moi ówcześni kumple nagle dostali świetną pracę, bo na gwałt potrzeba było ludzi do mediów, do reklamy, do banków, do ubezpieczeń. To pokolenie, które dostało zupełnie niespodziewany prezent od losu. Moje książki były czytane i przez ludzi w moim wieku, i młodszych, studentów, nie wiem, czy licealistów, bo nie mam pojęcia, czy oni w ogóle coś czytają. Natomiast od czasów „Nagrobka z lastryko”, a szczególnie „Gulaszu z turula”, średnia wieku mojej publikacji wyraźnie poszła w górę. Na spotkaniach promocyjnych „Gulaszu...” zdarzało się, że dominowali ludzie w okolicach pięćdziesiątki.

Druga wątpliwość jest taka, że wracasz do tematów, które już przerabiałeś – do paczki przyjaciół z liceum i studiów, do ludzi żyjących z mediów, show-biznesu,

ze sztuki i okolic sztuki. No i że ulegasz tej dziwnej modzie nicowania naszych celebrytów, co ostatnio robią już prawie wszyscy, na przykład wspomniany Michał Witkowski w ostatniej powieści.

– Może to jest ważna dziś sprawa. Jest moda, bo coś wisi w powietrzu, coś jest na rzeczy. Książka Michałki, skądinąd słaba, wcale nie załatwia problemu. Zaczynamy żyć w zupełnie innej kulturze, w kulturze masowej, która na dodatek strasznie przyspiesza. Potrzeba co sekundę nowej, mocniejszej podmioty. A że ja nie lubię kultury masowej – w odróżnieniu od popkultury – to chciałem ją skrytykować.

Na czym miałyby polegać różnica między kulturą popularną a masową?

– Popkultura jest kreatywna i zdarzają się tam rzeczy fascynujące i inspirujące. Choć oczywiście dominująca większość to chłam, bo mamy do czynienia z niebywałą nadprodukcją. Kultura masowa służy zaś wyłącznie prostej, a nawet prostackiej rozrywce, zabiciu wolnego czasu, to kultura grilla i browaru. Idziemy na festyn, bo gra Feel za darmo, zjemy karkówkę, a wieczorem obejrzymy w telewizji gwiazdy na lodzie. Popkultura to głównie nonurtowe kino, rock, literatura popularna, fantasy, kryminały. W pewnym sensie także swoje książki, na przykład ostatnią, zaliczam do popkultury.

Nie widzę u ciebie telewizora. Co ty wiesz o tańcach na lodzie?

– Nie mam telewizora od bardzo wielu lat i to jest świadomy wybór. Jestem podatny na uzależnienia i bałem się, że zostanę wieprzem z puszką piwa w jednej ręce i paczką chipsów w drugiej, który przez cały dzień bezmyślnie przerzuca kanały. Wolę świadomie zmieniać płyty w odtwarzaczu albo oglądać filmy na laptopie. A wiedzę o gwiazdach na lodzie i tym podobnych rzeczach czerpię z innych mediów. Przyznaję, zaglądam czasem na Pudelka – to jest wielce inspirujące i skądinąd do bardzo poważnej refleksji na temat kultury masowej.

Wracając do twoich wątpliwości – nie napiszę już książki o 40-latkach, w której pojawiają się celebryci, a rzecz dzieje się na Mokotowie. Czuje, że wyczerpałem temat i nie mam nic do dodania.

Krzysztof Varga, 42 lata, absolwent warszawskiego liceum świętego Augustyna i polonistyki UW. Od 1991 roku związany z „Gazetą Wyborczą”, w latach 2003–2006 szef jej działu kultury. Opublikował między innymi powieści „Chłopaki nie płaczą” (1996), „Śmiertelność” (1998), „Tequila” (2001, finalistka Nagrody

Literackiej „Nike”), „Karolina” (2003) i „Nagrobek z lastryko” (2007, nominacje do nagród Nike i Cogito). Najnowsza powieść „Aleja Niepodległości” ukaza się 16 marca. Wspólnie z Pawłem Duninem-Wasowiczem opublikował też słownik literatury najnowszej „Parnas bis. Literatura polska urodzona po 1960 roku” (1995),

a ponadto z tymże i z Jarosławem Klejnockim antologię wierszy „Macie swoich poetów” (1996). Za swoją ostatnią książkę „Gulasz z turula” (2008) – złożoną z esejów o historii i kulturze Węgier – otrzymał nagrodę czytelników Nagrody Literackiej „Nike” 2009. Mieszka w Warszawie na Mokotowie.

ILUSTRACJA TOMASZ BEREŃNICKI NA PODSTAWIE ZDJĘCIA MACIEJA ZIENKIEWICZA/AGENCJA GAZETA;
RYS. KATARZYNA LESZCZYC-SUMIŃSKA NA PODSTAWIE ZDJĘCIA MATEUSZA NASTERNAKA DLA MAGAZYNU MALE MAN; FOT. WIKIPEDIA



Ulubiony cmentarz autora „Śmiertelności”: Kerepesi w Budapeszcie

Co teraz?

– Mam parę pomysłów. Na przykład na mikropowieść pod tytułem „Grypa” – wybucha epidemia kocię grypy i mieszkańcy pewnej kamienicy dokonują samosądu na staruszcze, która dokarmia koty. Choć oczywiście zaczynam takich zachowań – historii, nienawiści, linezu – będą media podkreślać ten zbiorowy amok. Znamy to już trochę z ostatniej „epidemii” świńskiej grypy. W czasach dominacji prasy brukowej i mediów elektronicznych niezwykle łatwo jest w krótkim czasie wyprodukować zbiorową ogólnoswiatową historię.

Kłopot w tym, że władowałem się w pisanie felietonów do „Dużego Formatu” i zabiera mi to mnóstwo czasu. Właściwie to nawet nie samo pisanie, z którego mam sporą frajdę, tylko szukanie pomysłów. Felietony są o kulturze, więc przez cały tydzień muszę tę kulturę konsumować, więcej chodzić do kina, słuchać płyt, czytać. I obmyślać kolejny felieton.

Jesteś pracowity?

– Sytuacja podobna jak z moją wesołkowatością i ponuractwem – jestem schizofreniczny. Zdarza mi się przez kilka dni nie wychodzić z domu, zarastać i siedzieć przy laptopie, a potem przez kilka dni obijać się i nie nie robić. Połączenie pracowitości z lenistwem. Mam taką dwubiegunową konstrukcję. A może po prostu potrafię bardzo intensywnie pracować, ale potem szybko się wypalam?

Nie kusi cię, żeby ruszyć się z Mokotowa, i to nie do Budapesztu? Przeprowadzić badania terenowe i napisać coś w zupełnie innych realiach?

– Ciekawe wyzwanie. Ja rzeczywiście muszę coś zobaczyć na własne oczy, żeby to wyko-

trafiłbym być reporterem, brakuje mi pewnego rodzaju empatii. Pamiętam, jak Mariusz Szczygiel prowadził talk-show „Na każdy temat”. Przychodzili tam różni dziwni ludzie i on potrafił zapytać: „Naprawdę? Na pani dachu wylądowało UFO? To bardzo ciekawe. Jak też oni wyglądali?”. A ja bym powiedział: „Co mi tu pani za głupoty opowiada?”.

Bałem się, że zostanę wieprzem z puszką piwa i paczką chipsów w rękach bezmyślnie zmieniającym telewizyjne kanały

KRZYSZTOF VARGA

Nie umiem rozmawiać z ludźmi i słuchać, jak gadają bez sensu.

Gdybym znał język, wybrałbym się do Rumunii i napisał książkę „rumuńską”, taką jak „Gulasz z turula”, o ich historii, problemach. To jest kopalnia ciekawych i nieznanых w Polsce tematów. No, ale w moim wieku rumuńskiego już się nie nauczę. Poza tym coraz mniej chce mi się jeździć. Chociaż w kwietniu jadę na stypendium na Węgry.

Jeszcze jedna książka „węgierska”?

– Może osadzona tam powieść albo zbiór opowiadań? Nie chcę pisać czegoś w rodzaju kontynuacji „Gulaszu...”, literackiego seque-la. Nie chcę dyskutować sukcesu. Wróciłem właśnie z Budapesztu, gdzie ukazał się przekład „Gulaszu...”, i – bez fałszywej skromności – wielkim zaskoczeniem była dla mnie popularność tej książki, tłumy ludzi na spotkaniach autorskich, wywiady...

Zostałeś celebrytą.

– Tak jest. Może wystąpię tam w „Tańcu z gwiazdami”. Naprawdę nie do wiary, ale relacja z któregoś spotkania ze mną była new-

sem dnia w największym portalu internetowym. Coś takiego trudno sobie w Polsce wyobrazić.

Skąd takie owacje?

– Węgrzy odnaleźli się w tej książce. Nikt z zewnątrz wcześniej tak o nich nie pisał. Były tylko podręczniki kucharskie albo przewodniki turystyczne. No i miałem wszędzie świetne recenzje, chociaż spodziewałem się raczej, że oskarżą mnie o czarny PR i szarganie narodowych świętości. Oczywiście w Internecie było dużo nieprzyjemności, ale media papierowe mówiły jednym głosem i był to głos miły dla mojego ucha. **Zaglądałeś na forum w tym portalu, gdzie cię fetowano?**

– Teraz nie, ale kiedy „Gulasz...” dostał nagrodę czytelników Nike, w węgierskim necie pojawiła się informacja na ten temat i kolega przysłał mi link do jakiejś strony, gdzie było ponad sto wpisów, z których dowiedziałem się, że zo- h- dzam Węgry, bo jestem synem węgierskiego Ży- da i polskiej Żydówki, że należę do żydowsko- liberalnej mafii – i dałem sobie spokój.

Wracasz do swoich dawnych książek?

– Nigdy. Kiedy coś się ukaże, wrzucam na górną półkę i niech leży. Nie masuję się swoimi słowami, nie ustawiam ich na reprezentacyjnym miejscu. Zresztą po powstaniu tekstu i kolejnych redakcyjnych znam go na wylot i mam serdecznie dosyć. Jedyny wyjątek zrobiłem dla węgierskiej edycji „Gulaszu...”.

Nowa powieść ukazuje się w wydawnictwie Czarne, gdzie publikujesz od lat. Jak na dzisiejsze obyczaje, gdy wielu autorów aż przebiera nogami, by po wydaniu czegoś w mniejszej oficynie dostać się do stajni wielkiego wydawcy, to raczej niemodna i rzadka postawa.

– To wynika z mojego oldschoolowego podejścia do tych spraw. I przede wszystkim z tego, że się z Moniką i Andrzejem [Monika Sznajderman i Andrzej Stasiuk to właściciele Czarnego – przyp. red.] przyjaźnię. Miałem kiedyś propozycje od dwóch sporych wydawnictw, ale nie chciałem w to wchodzić. Zdaje mi się także, że jeśli ktoś się zajmuje literaturą, nie powinien się absolutnie niczego spodziewać. A odnoszę wrażenie, że pojawiła się u nas nowa generacja pisarzy, którzy różnych rzeczy po pisaniu się spodziewają – że zostaną celebrytami na przykład, że zarobią jakieś konkretne pieniądze. To są ludzie, którzy wydają debiuty w Ha!arcie albo w Lampie, a z następną książką lecą do dużego wydawcy, sądząc, że osiągną tam większy sukces. A to jest przecież nieprze-widywalne. Poza tym który wydawca pojechałby po mnie na Węgry, kiedy miałem tam wypadek samochodowy? Andrzej zaś wsiadł w furę z Kamilem Targoszem i mnie stamtąd ewakuowali z wiejskiej knajpy Zielony Król pod Mysz- kolcem, gdzie na nich czekałem. W warsztacie obok stał mój rozbity samochód. □



Chilli ZET
Nowe radio w Polsce
w pogoni za kulturą
www.chillizet.pl

OTWÓRZ
oczy

DRAPACZE Z CHMUR JOANNA WOŹNICZKO-CZECZO

SZKLANE ZIELONE DOMY

Gwanggyo to koreańskie ekomiasteczko zaprojektowane przez Holendrów (szczegółowy opis na następnej stronie)



GDY POLITYCY I EKOLOGI WZYWAJĄ DO RATOWANIA KLIMATU, ARCHITEKCI DOSKONAŁĄ WŁASNE ROZWIĄZANIA.

**MIEJSKI KRAJOBRAZ
NIE MUSI KOJARZYĆ SIĘ
Z ZANIECZYSZCZENIAMI**

– PRZEKONUJĄ.

I PRZEŚCIGAJĄ SIĘ
W PROJEKTACH ZIELONYCH
DRAPACZY CHMUR

Zwykłe wieżowce są z założenia nieekologiczne – twierdzi maledyzyjski projektant, doktor Ken Yeang, światowy prekursor budownictwa ekologicznego. – Przy ich budowie wykorzystuje się więcej materiałów, bardziej ingeruje w środowisko, a także zużywa więcej energii do przenoszenia ludzi (oraz sprzętu) w górę i w dół.

Uczynić z drapaczy chmur twory przyjazne środowisku – to wyzwanie! Dlatego Yeang już 40 lat temu zaczął szukać w architekturze recepty na globalne ocieplenie. I znalazł – naśladowanie natury. – W przyrodzie nic się nie marnuje. W ekobudowlach staramy się wykorzystywać jak najwięcej materiałów odnawialnych i jak najmniej energii nieodnawialnej – wyjaśnia „Przekroju”. – Nie wystarczy zamontować turbin wiatrowej, bo wtedy wieżowiec będzie zwykłym domem z turbiną. Chodzi o takie zaprojektowanie budynku, aby wtapiał się w środowisko – dodaje.

Autorzy pokazanych tu projektów twierdzą, że ekologia idzie w parze z ekonomią. Promocją zielonego budownictwa na świecie zajmuje się World Green Building Council (WGBC). Według jej wyliczeń gmachy pochłaniają aż 65 procent energii elektrycznej w USA i 40 procent w Europie. A zielone wieżowce to oszczędności: użytkowanej energii, wody, utylizacji odpadów.

Sprawdzono dane o 170 ekobudynkach w USA. Ich budowa kosztowała średnio zaledwie 1,5 procent więcej niż tradycyjnych, za to ich eksploatacja wyrównywała straty z nawiązką. – Jeśli decyduje o tym, że inwestycja ma być ekologiczna, podejmiemy na etapie koncepcji i zaangażujemy zespół doświadczony w budownictwie zrównoważonym, nie ma dodatkowych kosztów – mówi „Przekroju” Agnes Vorbrott-Schurma, założycielka Polish Green Building Council, polskiego oddziału WGBC. – Dlatego choć tempo wzrostu światowego rynku budowlanego zwolniło w zeszłym roku do 3 procent, budownictwo ekologiczne zyskuje aż 30 procent rocznie. □



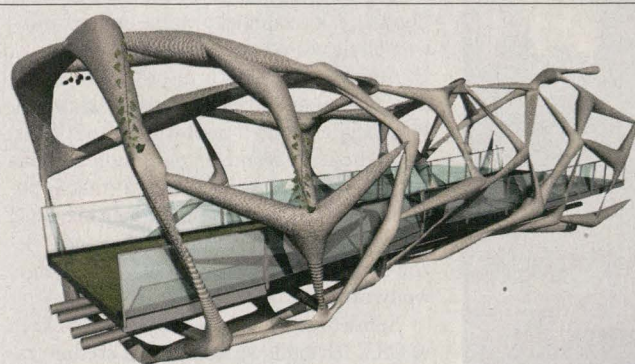
GWANGGYO

Czy nie chcielibyśmy, aby tak wyglądało któreś z osiedli na obrzeżach polskich miast? Korea Południowa szukała rozwiązania urbanistycznego dla wspólnoty o gęstym zaludnieniu i zamiast tradycyjnych bloków holenderska pracownia MVRDV zaproponowała budynki w kształcie zielonych kopców termitów. Mają się wtopić w pagórkowaty krajobraz rozciągający się na południe od Seulu, gdzie zabudowane (i zasnute smogiem) są głównie doliny, a wzgórza pozostają zielone. W najwyższych kopcach powstaną domy, w tych niższych i szerszych – urzędy, szkoły, kina i sklepy. Ekomiasteczko skrojono na potrzeby 77 tysięcy osób. Domy bez kantów otoczono tarasami, które piętrzą się jedne nad drugimi. Ich brzegi porasta żywopłot podlewany wodą spływającą z poziomu na poziom. Wieżowce są przeszklone, a w ich wnętrzach znajdują się liczne atria, co ułatwia ich wentylację i dostęp naturalnego światła. Data ukończenia inwestycji (zaplanowanej na 2011 rok) na razie nie jest znana. Widok z bliska – na poprzedniej stronie.



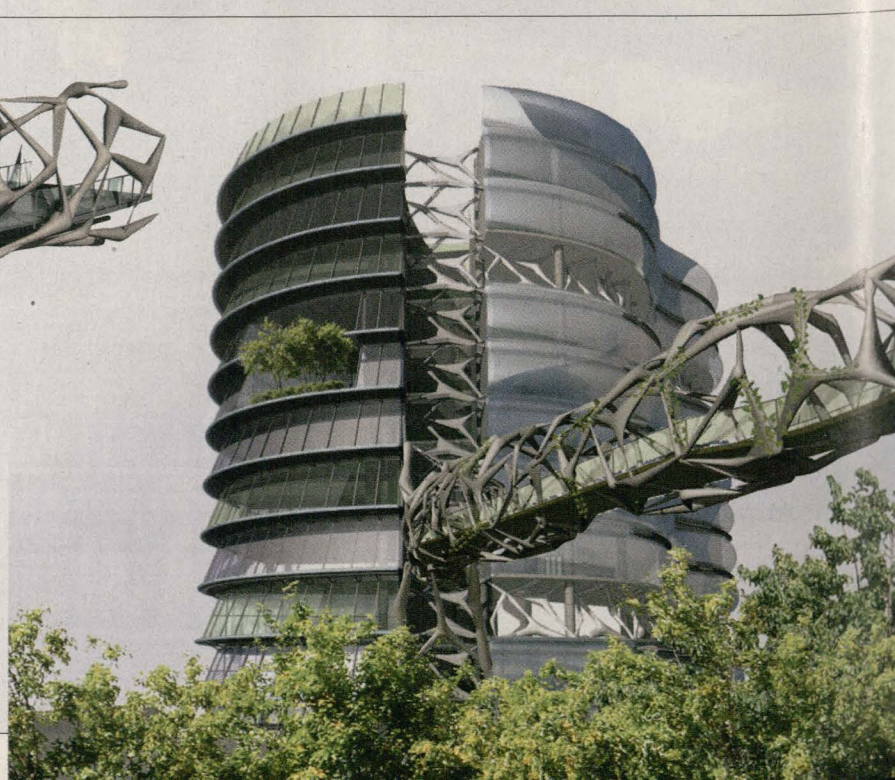
EDITT TOWER

Ten projekt Kena Yeanga zmienia fragment miejskiego krajobrazu Singapuru w prawdziwą oazę. 26-piętrowy gmach to piramida zielonych tarasów. We wnętrzu budynku wkomponowano atria i oranżerie – w sumie rośliny porastają połowę powierzchni użytkowej wieżowca. Ich podlewanie nie jest ekologiczną katastrofą, bo opady są tu obfite, a na dachu znajduje się zbiornik gromadzący deszczówkę. System rur rozprowadza ją do wszystkich pomieszczeń. Gmach miał być ukończony w tym roku, ale na razie pozostaje w fazie projektu.



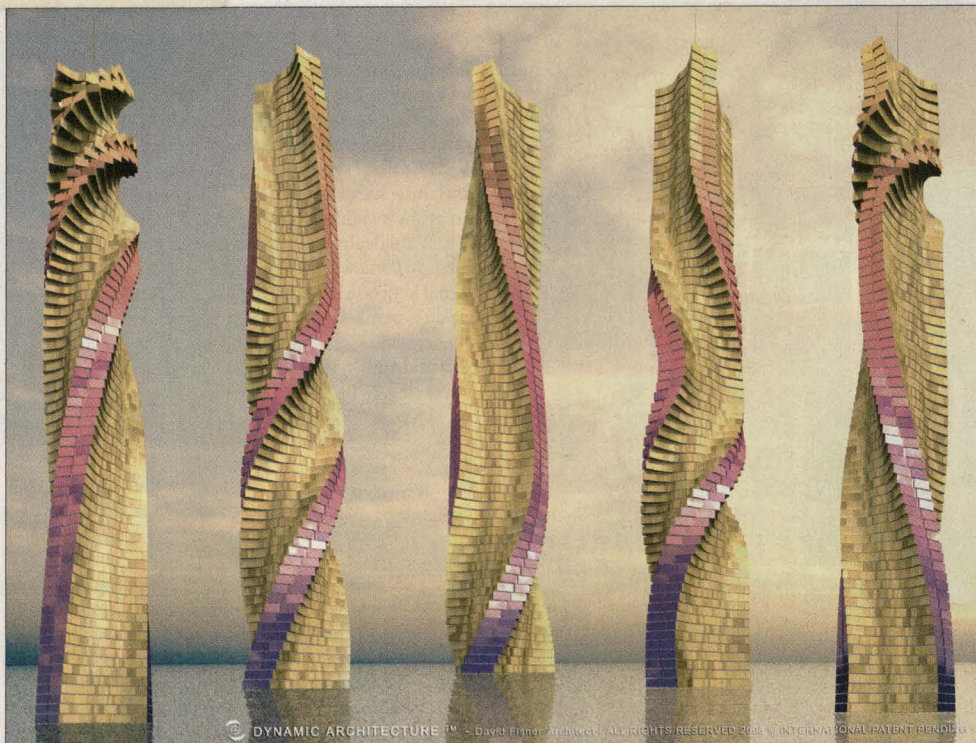
VERTICAL FARM

Wizjonerski projekt Olivera Fostera wprowadza rolnictwo z powrotem do miast. 12-piętrowy wieżowiec jest samowystarczalny pod względem zaopatrzenia w żywność. Vertical Farm to australijski pomysł na dom-szklarnię. Na powierzchni dwóch kilometrów kwadratowych przewidziano uprawę tyłu warzyw i owoców, by wyżywić sześć tysięcy mieszkańców. Oczywiście wegetarian. Widoczną na pierwszym planie kładkę wiodącą do wielopoziomowego garażu z zielonym dachem ma porastać winorośl. Inwestora na razie brak.



SKY VILLAGE

Wieżowiec, którego fragmenty można (prawie) dowolnie przestawiać? Czemu nie. Konkurs rozpisany przez gminę Rødovre (część metropolii Kopenhagi) wygrał projekt „Podniebna wioska” pracowni MVRDV. Części składowe gmachu autorzy nazywają pikselami – każdy z nich to kostka o powierzchni 60 metrów kwadratowych (7,8 na 7,8 metra). Według MVRDV to idealny rozmiar średniego mieszkania lub biura. Ponieważ duński rynek mieszkaniowy dotknął kryzys, a zapotrzebowanie na biura się zwiększa, przez odpowiednie rozmieszczenie pikseli w wieżowcu można zwiększyć powierzchnię jednych kosztem drugich. Projekt czeka na realizację.



DUBAI DYNAMIC TOWER

Kształt wieżowca zmienia się z podmuchem wiatru. Fanaberia? Bynajmniej – tu chodzi o energię. Powstający w Dubaju drapacz chmur składa się z 80 modułów zamontowanych jeden na drugim. Każdy obraca się wokół własnej osi, a że między piętrami umocowano turbiny wiatrowe, wieżowiec jest wielką elektrownią. W dodatku może mieć tyle dachów, ile pięter, a na każdym baterie słoneczne. Dzięki temu jest nie tylko samowystarczalny energetycznie, ale także może zasilać okoliczne domy. Modułowe piętra (przekrój poniżej) powstają w fabryce we Włoszech, w Emiratach tylko się je montuje. Architekt David Fisher zapewnia, że to czyni inwestycję nie tylko ekologiczną, ale i ekonomiczną. Co pewnie ma znaczenie, choć piramida mieszcząca luksusowy hotel oraz luksusowe apartamenty i tak ma szansę na siebie zarobić. Konstrukcja ma być ukończona w tym roku.



HEARST TOWER

Pierwszy zielony wieżowiec Nowego Jorku oddany do użytku w 2006 roku. Szkielet to diagonalna mozaika trójkątów: projektant Norman Foster szukał struktury, która pozwoli zbudować gmach danej wysokości z użyciem mniejszej ilości materiałów. Udało się zredukować ich ilość o jedną piątą. Na dachu znajduje się zbiornik na deszczówkę – woda rozprowadzana pod podłogami latem chłodzi budynek, a zimą go grzeje.



WORLD TRADE CENTER TOWERS

Inwestycja właśnie ukończona w Bahrajnie. Między dwiema strzelistymi wieżami wysokimi na 50 pięter pracują trzy długie na 30 metrów śmigła. Budynek mają kształt żagli i są wyprofilowane tak, aby zwiększać siłę przepływu wiatru przez turbiny. Dodatkowo na fasadzie zamontowano liczne panele solarne – dzięki temu nowe arabskie WTC generuje około 15 procent energii, której potrzebuje.

To nie my... budujemy studnie w Sudanie...



**Robią to ludzie
tacy jak Ty.**

Ludzie, dzięki którym świat staje się lepszy.

Przekaz **1%** swojego podatku
Polska Akcja Humanitarna
KRS 0000136833 www.pah.org.pl/jedenprocent

ROZMAITOŚCI

W tym tygodniu:

W TYM TYGODNIU W KRZYŻÓWCE
WIRUS TO GWÓDZ PROGRAMU,
SZARY PŁACZE SIĘ W PRZEŚCIERADLE,
A KURKIEWICZ CZYTA OGŁOSZENIA
O PRACY

Wymyślił i narysował Marek Raczkowski



Szary wiruje pył

MARCIN PIESZCZYK

Francja elegancja AE, czyli przedmiot pożądania jest mroczny

GDY ZIMA NIE DAJE ZA WYGRANĄ, nie ma nic lepszego niż wyjazd do Francji – powiedział Szara. Rzeczywiście, argumentów jest aż nadto – pomysłał Szary, którego pierwszy argument upadł pierwszego dnia pobytu nad Sekwaną, a kolejne padały jak honor urzędników Vichy.

No bo tak: wszędzie taka kulturalna atmosfera, że każda kawiarnia wygląda jak grzęda, którą obsiadają intelektualne kury. Ojczyzna miłości, ale jak tu się kochać, skoro w łó-

ku zamiast koldry każą się przykrywać drugim prześcieradłem, w które w szale namiętności tak łatwo się zaplątać, a w konsekwencji – udusić? Sztuka dosłownie leży na ulicy, aż po kilku dniach macie dosyć tych traw i siana impresjonistów, które spoglądają na was z każdego kubeczka i każdej koszulki. Kosmetyki *Fabrique à Paris* stały się obiektem pożądania, ale czyż rodacy Moliere'a nie są jedynym narodem na świecie, który proponuje turystom w hotelach

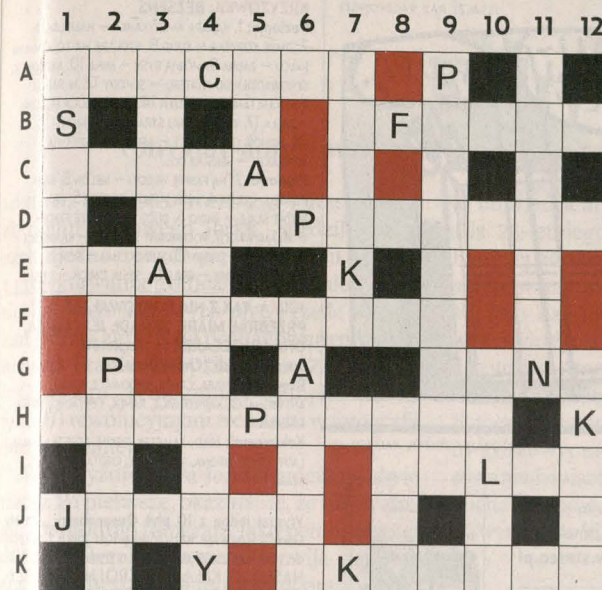
rękawice do mycia, a sam ich nie używa? Nie można oczywiście zapominać o francuskiej kuchni! Niestety, jej elegancja upadła w oczach Szarych najszybciej, gdy do śniadania zamiast talerza dostali papierowy obrusik, który tuż po otwarciu ust zamienił się w pobjojowsko skruszonego croissanta. Brak talerza podczas *le petit déjeuner* pozostał dla Szarych jedną z największych tajemnic ludzkości. A wyrażanie nienawiści? Czyżby polegało na dotkliwym braku dywersyfikacji, gdy dokładnie o każdej porze dnia można się było spodziewać tego samego? Co rano, 365 dni w roku, przez całe życie, KawoDżemOrogalo-PomarańczowySok, potwór nie do ruszenia, który swą powtarzalnością może zabić każdego. Zjeść rano bagietkę?

To jak nasikać do chrzcielnicy, to złamanie najświętszych świętości! Wszak nie od dziś wiadomo, że nie po to bagietka ma określone godziny wypieku, by ją jeść przez cały dzień! Skurcze żołądka o 16? Zapomnijcie! Możecie konać z głodu, a nikt, w szczególności zamknięte restauracje, suchego chleba wam nie poda, argumentując: przecież na lunch za późno, a na kolację za wcześnie! Nagle Szarzy zateśknili do rodzimej nieprzewidywalności... Gdy w Polsce nocujecie u przyjaciół, wiecie, czego się rankiem spodziewać na stole? Może będzie to jakiś drobiażdżek w stylu jogurt z muesli czy zwykła kanapka, może coś dyskretnie syjącego, a więc jajecznica lub pulchne parówki, a może coś naprawdę wagi ciężkiej, czyli jajka na bekonie albo nawet

niedokończony wczoraj bigosik? Albo gdy chcecie się z kimś umówić na coś ciepłego, główny posiłek dnia, wszystko jedno, czy wybieracie samo południe, czy jakąkolwiek inną godzinę, aż do 21 – każda pora będzie odpowiednia, każda innymi będzie was kusić zaletami. Na usprawiedliwienie Francuzów Szara powiedziała, że potrafią też być świadomi własnych słabości, i przypomniała zdanie de Gaulle'a, że trudno rządzić krajem, w którym wytwarza się ponad 300 gatunków sera. Lecz i za tą samokrytyką hydra francuskiej dumy podnosiła łeb – a czyniła to w słowach tego samego generała o wybawicieli: czy można ufać narodowi, który stworzył Myszke Miki? I jak tu ufać narodowi, który ma najlepszy na świecie PR?

JOLKA NR 10

AUTOR: JERZY BUCZEK



WYRAZY

10-LITEROWE:

• EKSTRAWERSJA
• PŁASZCZA W CIEPEŁY
• WIOSENNY DZIEŃ
• NIE PRZENIEŚLI JEJ
• STOLICY DO WARSZAWY

WYRAZY 9-LITEROWE:

• NA ŻYLAKI PIPPI • PĘD
• NA BALKON PARTY
• ŻARTY

WYRAZY 7-LITEROWE:

• MA JESZCZE ZAS NA
• BABCIĘ • PIĄCI NA START!

• BLIŻSZY NAM NIŻ UM
• KABEL, KTÓREMU
• KISZKI NIE ZAZDROSCZA

WYRAZY 6-LITEROWE:

• WIELBĄDY MAZUR
• SKRADA SIĘ DO SPODKA
• LICZONE OD DESKI
• DO DESKI • CO KTÓRYS
• NOWOZELANDCZYK
• CO SIĘ TYCZY PIWA

WYRAZY 5-LITEROWE:

• ZNICZ POD ARSENAŁEM
• CO NA MELINĘ, TO I NA
• JĘZYKU

• JEŹDZI Z „MATKĄ”
• CZĘŚĆ BOŻEJ
• RĘKAWICZKI

• PALMER POD JAWOREM
• NIECH PIECZE
• DZIEWCZĘ, NIECH PIECZE!

WYRAZY 4-LITEROWE:

• TOCZY SIĘ PRZY
• JABŁKU • CZY JESZCZE
• W BULLERBYN MIESZKA?
• ZAWIJANY PRZYZ
• CIEWIERZAKIEWICZOWĄ
• KREATURA, NA KTÓRĄ
• CHCE SIĘ DUMCHAĆ

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

J12_F2_D11_B10_A2_112_F5_I4_A6_H8_D5_/, K2_111_C7_J6_A11_/
I2_F11_K9_C11_E9_K6_A5_D1_H3_G12_/, E11_C9_G4_C3_D12_/
H1_B9_G10_F8_J5_D8_.

LAUREACI Z NR. 6

KRZYŻÓWKI:

Inga Chlewicka, Warszawa; Tomasz Michnowski, Lublin; Michał Przybysz, Łódź; Emil Przychoń, Warszawa; Ewa Szymak, Miękinia

JOLKA:

Aleksandra Golos, Łódź; Marek Lupa, Goleniów; Barbara Moszczyńska, Toruń; Mieczysław Nowak, Świebodzin; Maria Szwalko, Warszawa

BEATS OF FREEDOM.
CZYLI APOKRYF WEDŁUG ŻYWOTA ŚW. ZBIGNIEWA HOŁDYS

Kino-
teatrzyk
PRZEMKA
JURKA

(...) a było onych mężów dzielnych wielu: Munięk Staszczuk, Kazik Staszewski, Tomek Lipiński, Krzysztof Grabowski (...), lecz najodważniejszy z nich był jeden – ZBIGNIEW HOŁDYS.

On to stanął dnia pewnego i uderzył w struny gitary. I zabrzmiła pieśń potężna! „Chcemy bić ZOMO” – zaśpiewał lud. I zadrdzał ustrój w posadach, a nieprawi wstydem okryli się i hańbą.

(...) I skończył się dawny porządek. Nastąpiła szczęśliwość, a żelazna

KURTyna opadła.

LEWO
MYŚLNIE

Agent tajny musi być jawny

Mason, zapytany wprost, nie mógł zaprzeczyć, że jest masonem. I dlatego aplikuję do Agencji Wywiadu

ROMAN KURKIEWICZ



NIE MOGŁEM PRZEGAPIĆ TEGO OGŁOSZENIA, w kąciach duszy i ciała (psychofizyka jest ważna) czekałem na nie od lat. Ukazało się w ogólnopolskiej gazecie, w dodatku poświęconym dawaniu i szukaniu pracy. Agencja Wywiadu dała ogłoszenie, w którym oznajmia, że poszukuje: „kandydatów do służby będących absolwentami szkół wyższych albo studentami V roku kierunków: nauki polityczne i społeczne, bezpieczeństwo narodowe, filologie orientalne, międzynarodowe stosunki gospodarcze. Wymagania niezbędne: posiadanie wyłącznie obywatelstwa polskiego, korzystanie z pełni praw publicznych, nieskazitelna postawa moralna, obywatelska i patriotyczna, odpowiedni stan zdrowia psychicznego i fizycznego określony w rozporządzeniu Prezesa Rady Ministrów z dnia 23.10.2003 r. w sprawie oceny zdolności fizycznej i psychicznej do służby w Agencji Wywiadu (DzU nr 187, poz. 1824, z późn. zm.). Wymagania pożądane: potwierdzona znajomość co najmniej dwóch języków obcych”. Natychmiast postanowiłem wysłać aplikację i opisać ją w „Przekroju”, co niżej jest moim zadaniem. Nie kończyłem żadnego z wymienionych kierunków, ale jest jasne, że zostały one podane dla zmyłki kontrwywiadowczej! Czyli moje górą na wejściu. Z praw na razie korzystam lub nie, czyli jak większość, a w tłumie Polaków ukryć się łatwo. Nieskazitelną moją postawą moralną, obywatelską i patriotyczną jest tak łatwa do podważenia, że nikt

się nie może spodziewać, że Agencja się na mnie zdecyduje! I to właśnie zdecyduje, że się zdecyduje, choć najważniejsze wydaje mi się obecne upublicznienie moich zabiegów (normalnie koleżanki i koledzy z mego środowiska jakoś się krygują, że skądże, że sami „dotarli”, że „zdobyli”, że w wyniku „śledztwa dziennikarskiego”...). W taki sposób mam podkładkę na każdy materiał pochodzący od służb, jak ktoś mnie zapyta, czy ja jestem z... to ja patrząc prosto, mówię, jestem, a także, ogłosiłem to już na etapie zgłoszenia do służby. Wszyscy będą pękać ze śmiechu, a tylko ja i moi przełożeni będziemy mieli z czego się śmiać, bo przecież nikt nie uwierzy, że ktoś aż tak ujawniony może być aż tak ukryty! Cała ta figura z ujawnieniem – majstersztyk odwrotek i innych sztuczek. A czasy w mediach niepewne. Dziś masz felieton, a jutro wspomnienie o tym, że miałeś, dziś prowadzisz audycję, a jutro mówisz, ale prowadziłem audycję. A wywiad – rzecz jak skała pewna. I państwową. I jak się człowiek ujawni tak jak ja, to już nigdy nikt inny go nie ujawni, choćby powstało tysiąc IPN-ów i innych komisji weryfikacyjnych. Wyrzucam do kosza moje prochy i ciemne okulary, pistolety-długopisy, rozkręcane kamienie, zapominam morsa i ćwiczenia z kryptografii. Raporty będziemy pisać pod pozorem żartów. Poważnie! Jak myślicie, zacząć od poręcznika czy kapitana? Bo nie wiem, co na sweter naszyć. A gwiazdki iluramiennne? Żeby głupio się nie zdekonspirować...

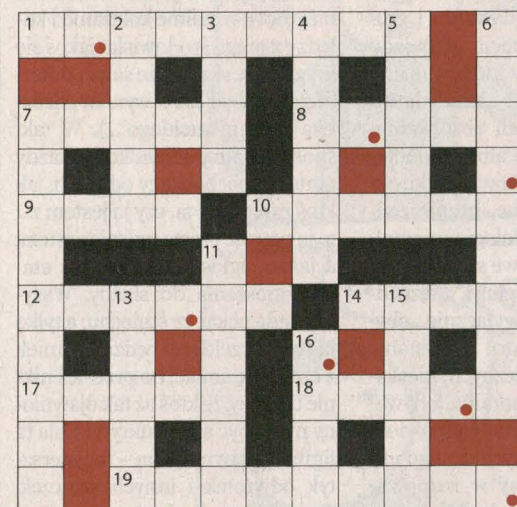
MYŚLNIE

Nie zmieniaj się za dużo.
Nie dojdiesz do siebie.

Krzysztof Bilica



KRZYŻÓWKA NR 10



Sponsorem nagród do jolki i krzyżówki jest sklep internetowy www.stereo.pl

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo utworzą wyraz-rozwiązanie.

POZIOMO:

1. NA OSTRZU NOŻA
7. NAPRZÓD, MARS!
8. KIELICH JAGIELŁY
9. NAD POD BARANAMI
10. CHARAKTERYZUJE GO PYCHA
12. JAJA Z WODY
14. DUŻO PALI NAD MORZEM
17. CZĘSTO ZMIENIA ZDANIE
18. REAKCJA FIZYCZNA
19. STRÓJ KĄPIELOWY

PIONOWO:

2. PAN SZARY
3. MA KLUCZOWY WPŁYW NA NADEJŚCIE WIOSNY
4. MORZE W ANDORZE
5. STARA AMERYKANKA
6. JADĄ WOZY KOLOROWE
7. LIST OTWARTY
11. WYDAŁA LISTY IWASZKIEWICZA
13. GWÓDZ PROGRAMU
15. EL KONDORA PAS
16. ROZUMIE KOD MORSA



ROZWIĄZANIA Z NR. 8

KRZYŻÓWKA: BEZSENS

Poziomo: 1. KANAPA AMERYKANKA — HAMBURGER 7. ZIMNE KOPYTKA — KULIG 8. STOLARZ MA TO W MAŁYM PALCU — ZADRA 9. MÓWIA RYSY — MINA 10. NIEFIDNEGO SPROWADZIŁ DO PARTERU — SCHODY 12. W PARKU POD KASZTANEM — KORZEN 14. GDZIE DROGA MIEJAZNA — MGŁA 17. W TYM DOMU STRASZY — DEMON 18. DONOSI O PREMIERZE — AFISZ 19. NAPRAWIA KONTAKTY — SEKSUOLOG

Pionowo: 2. NA PANNIE WŁODEJ — MELON 3. BABA Z WOZU — ULGA 4. WINA WINA — GRZECH 5. NA RÓŻNE SKALE — RADIO 6. DUŻO WYNIOSŁ ZE SZKOPY — WŁAMYWACZ 7. POCHMURNY SAMURAJ — KAMIKAZE 11. CŁOWIEK — CELNIK 13. JAJO DO JAJA — REMIS 15. RUSZTOWANIE — GRILL 16. SESJA ZWŁOK — TARU

JOLKA: TAK Z NIĄ FLIRTOWAŁ, AŻ PRZEBRAŁ MIARĘ, SKRADE JEJ CAŁUSA, ONA MU ZEGAREK (z „Kupletów warszawskich” Chóru Dana)

Rzędami: ŻYRAFA, GRUPA, ŁADOWACZ, DZIAD, ANTYBOHATER, KĄPIELOWICZ, RANEK, CZYTADŁO, SKRAJ, MARAZM

Kolumnami: ŻOŁD, ZAJACZEK, REKIN, ATEISTKA, PALDY, LADY, UDKO, WRONA, RÓWNIANIE, CNOTA, PECHERZE, KLAM

Wygraj jedną z 10 płyt *Queensberry* „On My Own”. Rozwiąż krzyżówkę lub jolkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASŁO JOLKI lub PRZEKROJ.HASŁO KRZYŻÓWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój”, ul. Nowogrodzkiej 47 A, 00-695 Warszawa, z dopiskiem: „jolka 10” lub „krzyżówka 10”. Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 15 marca 2010. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,44 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów bądź usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania ich przetwarzania. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

KUBA DĄBROWSKI

Kadry z prowincji

Tony Ray-Jones przeszczepia dokumentalne amerykańskie wynalazki na brytyjski grunt

LONDYN, ROK 1965. TONY RAY-JONES WRACA do domu z Nowego Jorku. Spędził w Stanach Zjednoczonych pięć lat. Zrobił dyplom z projektowania graficznego na Yale i przesłuchał wiele jazzowych płyt. Przede wszystkim jednak zaraził się propagowanymi przez Roberta Franka (Stopklatka nr 17-18/2009) i Garry'ego Winogranda (Stopklatka nr 6/2010) rewolucyjnymi trendami w fotografii dokumentalnej.

W ojczyźnie Raya-Jonesa uderzają dwie rzeczy. Po pierwsze, okazuje się, że nikt w Anglii nie traktuje fotografii jako pełnoprawnej dziedziny sztuki. Owszem, rozwija się fotografia mody, działają reporterzy prasowi, ale w zasadzie nie robi się zdjęć „po prostu”. Codzienna rzeczywistość jest zdjęciowo nieopisana. Po drugie, Anglia, którą Tony Ray-Jones opuszczał, była żyjącym wojenną traumą, smutnym, deszczowym krajem. To się jednak diametralnie zmieniło. Pojawiły się spółnic-

ki mini, rock and roll, rewolucja seksualna... Dla 25-letniego fotografa to zdecydowanie bardziej atrakcyjny model niż wiktoriańskie skrupowanie, ale patrząc na sprawę z dystansu, Tony Ray-Jones odnosi wrażenie, że w nowym stylu życia zatracił się „angielskość”. Stolica już jest Ameryką.

Te obserwacje zmuszają go do działania. Fotograf postanawia przeszczepić na lokalny grunt wypracowane w USA metody obrazowania i opisać za ich pomocą „angielskiego ducha”. Kupuje volkswagena campera i z żoną wyrusza w kilkumiesięczną podróż po pro-

wincjonalnych miasteczkach. Najbardziej interesują go mniej lub bardziej tradycyjne lokalne uroczystości. Parada kokosowych tancerzy w Bacup (na zdjęciu poniżej), konkurs piękności w Southport, festiwal muzyki poważnej w Glyndebourne. Pociąga go zderzony z twarzą rzeczywistością surrealizm tych wydarzeń. — Chciałem pokazać smutek i humor mieszkające się w tym delikatnym szaleństwie, które przy okazji świąt ujawnia się na prowincji — mówi.

Kariera Tony'ego Ray-Jonesa trwa tylko pięć lat, w 1971 roku fotograf umiera na białaczkę.

Większość ludzi traktuje fotografowanie jako źródło zarobku, a nie sposób na wyrażenie siebie. Szkoda

TONY RAY-JONES



ŁADNE RZECZY!



⬆ Seler naciowy czy frytki? **Zdrowie czy przegryzane pokątnie śmieciowe zarcie?** Co woli chińska projektantka Daizi Zheng — widać

Eko jest fu! Czyli znów coś udajemy, bo chcemy iść pod prąd

EKOLOGIA I ZDROWY TRYB ŻYCIA MOGĄ SIĘ PRZEJEŚĆ. organiczne warzywa, wegetariańskie naleśniki, latte na mleku sojowym (spożywane między sesją jogi a masażem unan-munan albo mahi-mahi), oczywiście opakowane w pudełka i kubeczki z surowców wtórnych. Gdzie się podziało nieodpowiedzialne spożywanie dowolnych ilości mięsa/coli/słodzika i traktowanie organizmu jak worka na odpady? Te cudowne nałogi: papierosy, alkohol, tabletki, śmiecenie?! No cóż, dziś mogą sobie na to pozwolić tylko ekscentryczni samobójcy, którzy zamiast powiesić się albo utopić w wannie, czekają na zawał lub miażdżycę.

Za to ściemniać na temat swojego ekożycia może każdy. Wystarczy zapakować marchewki do pudełka wyglądającego jak paczka marlboro, a krowie mleko przelać do kartonu po sojowym. Jesteśmy zdrowi, ale wyglądamy na nonszalanckich i jest pysznie. Prawda? □

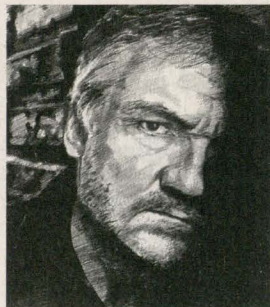
OLA SALWA

➤ Zamiast połykać — gryź! Tutaj borówki amerykańskie zastępują tabletki z witaminami



➤ Nie zazdroszczę temu, kto struga te marchewkowe papierosy. Nudne, żmudne, jedzenie trwa sekundę, ale **czego się nie robi dla szpanu?**





Jest to hak, którego nie ma, a raczej odwrotnie – jest to hak, który jest do tego stopnia, że go nie ma. To znaczy nie ma go jednego dnia, nazajutrz już jest. Potem znowu nie i ponownie tak. W pewnym sensie jest to hak wieczny tulacz. Raz tu, raz tam, raz z nami, raz przeciwko nam. Hak nad hakami. Matka wszystkich haków

JERZY PILCH

20 LUTEGO

ZAMIAST W NIEDZIELNE DOPOŁUDNIE PÓJŚĆ do kościoła, ukorzyć się przed Panem, o wybaczenie Go prosić, roztrzęsione ręce do modlitwy złożyć – siedzę przy kuchennym oknie, gapię się na Pałac Kultury i słucham „Śniadania z Radiem Zet”. Nie jestem w stanie nie słuchać. Tysiąc razy obiecywałem sobie definitywny odwrót od polityki, nietrudne mi się to zdawało, bo przecież powierzchowna jest moja polityczna orientacja, całkowicie amatorska – przeczytałem to i owo w jednej czy drugiej gazecie, czasem obejrzałem jakąś debatę w telewizorze, posłuchałem dyskusji w radiu i tyle. Aż tyle. Niestety. Czasu, siły i emocji zajmują mi te zabawy bezmiar. Tysiąc razy perswadowałem sobie: przestań czytać gazety, w ogóle nie kupuj gazet, nie oglądaj – co z tego, że tylko wieczorem? Jeszcze by tego brakowało, żebyś od rana do wieczora z rozdziawionym ryjem przed telewizorem siedział! – kanałów i programów politycznych, w ogóle pozbać się telewizora, czasu masz mało, wzrok ci słabnie, ze słuchem coraz gorzej, skup resztki siły i władz poznawczych na sprawach naprawdę ważnych; wciąż jeszcze masz cały bezlik arcyważnych książek do przeczytania, z prawie wszystkich przeczytanych mało co pamiętasz, na same powroty do kluczowych tekstów nie starczy ci czasu, wróć do słuchania muzyki, przypomnij sobie, jak wielcy – zwłaszcza niemieccy i włoscy – kompozytorzy oczyszczają umysł i uwznioślają duszę. Tysiąc razy samemu sobie takie rzeczy perswadowałem, lekkomyślnie odwlekałem decyzję, zgubne nawyki zdawały mi się łatwe do wypalenia, w rzeczywistości – coraz wyraźniej to widzę – okazują się nieusuwalne. Codziennie: „Rzeczpospolita” i „Wyborcza”, w poniedziałki „Nie”, we wtorki „Przekrój”, w środy „Polityka” i „Tygodnik Powszechny”, w niedzielę Radio Zet, co wieczór „Fakty” i TVN24 – jak można tak żyć? Nie można.

Gapię się na Pałac Kultury i słucham politycznych peror o Giertychu wymierzających sprawiedliwość Kaczorowi, który był premierem, o Tusku, który jest premierem i boryka się z krnąbrnością Kaczora, który jest prezydentem, o Sikorskim znienawidzonym przez oba Kaczory, o Komorow-

skim też przez nie znienawidzonym, ale zdaje się mniej. Podobno na obu Kaczory mają haki – na jednego więcej, na drugiego mniej.

21 LUTEGO

KACZORY ZDOBEDĄ WIOSNĘ? A ZWŁASZCZA JESIEŃ? Kaczory są jak Małysz – zawsze mogą wrócić w olimpijskiej – na dodatek – formie? Wątpię, ale ich żywotność zasługuje na uwagę. Kaczor, który był premierem, dał w jednym z tygodników – kiedyż to było? Miesiąc czy tylko trzy tygodnie temu? – wywiad, który dalej – choćby wczoraj w Zetce – jest walcowany z uporem godnym lepszej sprawy. Swoją drogą, gość ma dar magnetyczny. Całymi tygodniami, a może i miesiącami, przepada bez wieści, nie odzywa się, potem wraca, ogłasza rozmowę, w której folguje swoim równie nienaruszalnym, co wrodzonym, a może nawet wiekuiwym fobiom, słowem – gada to, co zawsze gadał, a rezonans ma niezmierny.

Przykuwa uwagę – niektórzy powiadają: tanimi i chuligańskimi sposobami. Tak jak – dajmy na to – w jakichś happeningach pseudowanguardowych czy – jak się teraz mówi – niszowych bywają „performerzy” (bo przecież nie „twórcy”), co „przykuwają uwagę widzów”, obrzucając ich na przykład nieczystościami w sensie ścisłym, tak i były premier gra nieczysto, fauluje, brudne chwytuje stosuje; ma swoistą, bo wroga, nikczemną i mierzającą, ale jednak charyzmę – w sumie zwraca uwagę, bo oburza.

22 LUTEGO

POSIADANIE ALBO ISTNIENIE, ALBO TYLKO sugerowanie istnienia jakiejś tajnej wiedzy było zawsze domeną Kaczorów. Haki, teczki, papiery, ściśle tajne meldunki, prześwietlone życiorysy to jest ich ulubiona substancja.

Gdy przeto Kaczor, który był premierem, sugeruje, że Tusk – który jest premierem i który miał być prezydentem – odpuścił kandydowanie, ponieważ zna wyniki jakichś tajnych, a nawet arcytajnych badań – to jest kacza norma.

Gdy pada sugestia, że liczne haki na Bronisława Komorowskiego zawarte są w aneksie do Raportu o likwidacji WSI – jest to klasyczne kacze narzecze. Język bezkost-

ny, ale cudnie melodyjny: na razie wprawdzie potwierdzić istnienia haków na Komorowskiego w aneksie nie można, bo to ściśnięta tajemnica, ale nawet jakby się istnienie takich haków nie potwierdziło, to „Komorowskiego i tak kompromituje obrona WSI, które były prostą kontynuacją komunistycznych wojskowych specusłużb. Każdy Polak powinien się zastanowić, zanim zgłasza na kogoś takiego”.

Swoją drogą, ilu Polaków po przeczytaniu tego rodzaju przestrogi zgłasza na Komorowskiego od ręki i bez namysłu? Ja na pewno.

Haki na Komorowskiego to jest jednak banał – albo są, albo ich nie ma, a jak nie ma, to są inne.

Prawdziwie ciekawe, głęboko oryginalne i nawet w kaczej retoryce na wskroś nowatorskie i w swym nowatorstwie przez media całkowicie przeoczone było ogłoszone przez byłego premiera istnienie haka na Sikorskiego. Specjalnie mówię: istnienie haka, nie hak, nie hak sam w sobie, ponieważ jest to hak, którego nie ma, a raczej odwrotnie – jest to hak, który jest do tego stopnia, że go nie ma. To znaczy nie ma go jednego dnia, nazajutrz już jest. Potem znowu nie i ponownie tak. W pewnym sensie jest to hak wieczny tulacz. Raz tu, raz tam, raz z nami, raz przeciwko nam. Hak nad hakami. Matka wszystkich haków. Hak ten, widmo tego haka polega (podobno!) na schwytanym szpiegu, hak ten jest szpiegiem, którego Sikorski z ostentacyjnym brakiem patriotyzmu, a nawet z całym charakterystycznym dlań kosmopolityzmem (nie mówiąc o braku zawodowej czujności) nie chciał schwytać, a raczej schwytał, nie chciał zamknąć, a pragnął przekierować. Jak mówi Pismo: Kto szpiega pojmałszy, nie zabiwszy go, a choćby do lochu nie wtrąciwszy, werbować próbuje – władzy niejakej sprawować nie może.

W każdym razie taki hak wypłynął na powierzchnię. Istnieje on tedy? Istnieje, ale objęty jest tak ściśle, że nigdy niezdejmowaną tajemnicą państwową. Jest, ale nigdy go nie ujrzymy. Hak, a nawet nie hak. Nie hak? Nie. Nie hak, a co innego. Jaki przeto kształt ma to, co Kaczor ma na Sikorskiego? Kształt odwróconego szpiega? Skąd, przecież szpiega nie odwrócono. Czyli wszystko jasne? W miarę. Jak mówi poeta: „Bywają haki, które mędrzec zwierza przyjaciółom domu, bywają takie, których odkryć nie idzie nikomu”.

MAGAZYN LUDZI WYJĄTKOWYCH



W marcowym numerze **SUKCESU** w prezencie dla Ciebie próbka najnowszego zapachu **Dsquared SHE WOOD** dla niej



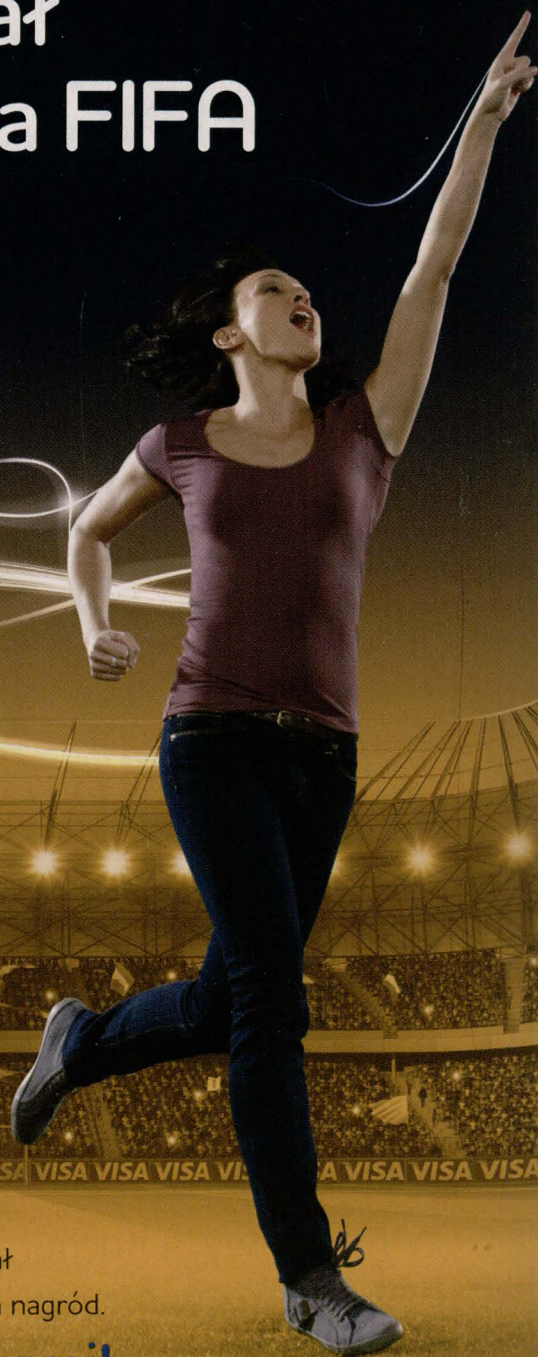
SZUKAJ SUKCESU Z ZAPACHEM

VISA



WORLDWIDE PARTNER

Płać kartą Visa i wygraj wyjazd na finał Mistrzostw Świata FIFA w piłce nożnej



Płać kartą Visa. Dzięki temu możesz wygrać wyjazd na finał Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej oraz wiele atrakcyjnych nagród.

Rejestruj swoje transakcje i wygraj!

Odwiedź stronę www.visa.pl i poznaj szczegóły.



Żyje się lepiej. Visa